„DEMOKRACJA WALCZĄCA" W AKCJI

Tusk i Żurek próbują wsadzić opozycję do więzienia

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 45/654 3–9 LISTOPADA 2025
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Czy los Ukrainy mógł być inny? – analizuje Lech Mażewski

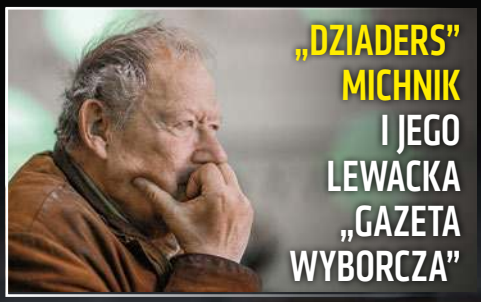

„DZIADERS" MICHNIK I JEGO LEWACKA „GAZETA WYBORCZA"

Dlaczego polscy politycy nadal rozbrajają Polaków?

Dynastia Trumpów rządzi światem

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

eprasa.pl

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

ROCZNA SUBSKRYPCJA DoRzeczy+ GRATIS

Zainwestuj w akcje Do Rzeczy S.A

Twoje media. Wspólna sprawa.

Paweł Lisicki
REDAKTOR NACZELNY TYGODNIKA „DO RZECZY"

Rafał A. Ziemkiewicz
PISARZ I PUBLICYSTA TYGODNIKA „DO RZECZY"

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka"). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom Maklerski INC S.A.

eprasa.pl 46513f5f87

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Sekretarz generalny NATO musi się mylić

23 października, występując w telewizji Fox News, sekretarz generalny NATO Mark Rutte stwierdził, że wrześniowe naruszenie polskiej przestrzeni powietrznej przez rosyjskie drony „nie było celowe". Teoretycznie ta wypowiedź powinna wywołać w Polsce szok.

Przecież od samego początku, kiedy pojawiła się informacja o naruszeniu polskiej przestrzeni powietrznej przez obce obiekty, czyli od 10 września, tak polskie dowództwo sił zbrojnych, jak Biuro Bezpieczeństwa Narodowego, a także ogół polityków rządowych i opozycyjnych (z jednym chlubnym, acz tylko kilkugodzinnym wyjątkiem ministra Marcina Przydacza) głosiły niczym dogmat, że Polska stała się ofiarą celowego ataku Rosji. Zdaniem Sztabu Generalnego to był akt agresji.

Nie mniej jednoznacznie mówił szef BBN, prof. Sławomir Cenckiewicz. Nie tylko, że przyjmował on jako niepodważalną tezę o celowym ataku, lecz także cieszył się, że doprowadziła ona do zjednoczenia obozu władzy i opozycji: „Antypolska akcja, której dopuściła się Federacja Rosyjska, w jakiś sposób zintegrowała polską elitę polityczną [...]. Spory, często bardzo agresywne, jeszcze w dniu poprzedzającym atak dronowy na Polskę w zasadzie ustały i główne ośrodki władzy w Polsce w jeszcze lepszej atmosferze ze sobą rozmawiają".

Ci, którzy – jak niżej podpisany – powątpiewali w celowość ataku rosyjskiego, wskazując na oczywisty brak motywu, mieli do wyboru to, że albo są nieświadomymi ignorantami, albo płatnymi przedstawicielami obcych służb. Tym bardziej teraz jasne stanowisko sekretarza NATO powinno wywołać wstrząs. Bo jeśli Mark Rutte mówił prawdę, to nasi wojskowi i politycy się mylili. Jeśli Mark Rutte ma rację, to ogół polskich elit politycznych i wojskowych uczestniczył w operacji propagandowej i się ośmieszył.

Trzeba zadać kilka pytań. Po pierwsze: Czy Mark Rutte jest wiarygodny? Po drugie: Dlaczego do jego słów nie odniósł się żaden z wyższych rangą polskich oficerów, którzy mówili o celowym akcie agresji? Dlaczego słów Marka Ruttego nie skomentował również szef BBN? Po trzecie, zakładając, że Mark Rutte mówi prawdę: Kto w Polsce politycznie wygrał na opowieści o celowym rosyjskim ataku, a kto wystąpił w roli użytecznego narzędzia?

Do tej pory sekretarz generalny NATO zajmował stanowczą i jednoznacznie krytyczną postawę wobec Rosji. Nie przypominam sobie żadnej jego wypowiedzi, która wskazywałaby na wątpliwości. Jest on wręcz jedną z twarzy polityki antyputinowskiej. Trudno mi zatem uwierzyć, że nagle w sprawie dronów nad Polską Mark Rutte zdradził i uległ rosyjskim wpływom. Z pewnością dysponuje on odpowiednimi środkami, żeby twierdzenie polskich wojskowych o celowym ataku zweryfikować. Oczywiście istnieje teoretycznie możliwość, że z nieznanych powodów Rutte postanowił skłamać. Ale z jakich? Czyżby przestraszył się nagle Moskwy? Ktoś na niego wywarł presję? Jest to jednak nieprawdopodobne, bo wciąż jest on zwolennikiem twardej rozprawy z Moskwą. Dlatego wniosek jest jednoznaczny: polscy wojskowi i politycy wprowadzili nas w błąd.

Odpowiedź na drugie pytanie jest stosunkowo prosta: milczenie jest właściwą postawą, kiedy nie ma się dobrej odpowiedzi. Polscy wojskowi i politycy (plus wszelkiej maści eksperci) musieliby ogłosić, że Mark Rutte się myli. Nie da się ukryć, że to ryzykowne. Jak ma się mylić w tak ważnej sprawie sekretarz generalny sojuszu? Przecież podważałoby to zaufanie do NATO. Jeśli sojusz nie jest w stanie rozpoznać tego, co od razu rzekomo ustalili Polacy, to jak można opierać na nim swoje bezpieczeństwo? Druga opcja – uderzenie się we własne piersi i przyznanie do błędu – też nie jest lepsza. Przypomnę, że ogół polskich elit politycznych głosił tezę o celowym ataku jako rzecz niebudzącą wątpliwości. Powiedzieć, że się myliliśmy, oznaczałoby poważne zakwestionowanie własnej wiarygodności na przyszłość. W takiej sytuacji lepiej się nie wychylać i liczyć na to, że ludzie nie zauważą.

Co do trzeciej kwestii też rzecz wydaje się jasna. Od początku głównym beneficjentem politycznym opowieści o celowym ataku Rosji był premier Donald Tusk. Dramatycznie tracąc poparcie, dokładnie tego potrzebował. W sytuacji bezpośredniego zagrożenia dla państwa ludzie w naturalny sposób gromadzą się wokół rządzących. Wystarczyło jedynie przekonać społeczeństwo, że Polska stała się ofiarą „celowego aktu agresji". To, że taką opowieść poparły w większości lewicowo-liberalne media, nie było zaskoczeniem; zręczność Tuska polegała na tym, że ową narrację wspierały również duże media prawicowe i główne ośrodki opozycyjne, na czele z BBN. Nic dziwnego zatem, że w październikowych badaniach zaufania do rządu pierwszy raz od miesięcy nastąpiło odbicie.

Tak, przemilczeniu słów Marka Ruttego nie ma się co dziwić. Zbyt wielu zbyt dużo zainwestowało w to, by jego wersja nie była prawdziwa. ©℗

eprasa.pl 46513f5f87

TEMAT TYGODNIA

14 WOJCIECH GOLONKA
IMPERIUM TRUMPÓW RZĄDZI ŚWIATEM
Więzy krwi, biznes i polityka

KRAJ

18 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
„DEMOKRACJA WALCZĄCA" W AKCJI
Tusk i Żurek próbują wsadzić opozycję do więzienia

20 ROZMOWA Z HENRYKIEM DOMAŃSKIM
ATAKI PIS NA KONFEDERACJĘ SĄ ZROZUMIAŁE

22 ANDRZEJ KRZYSTYNIAK
NIEMIECKA PRACA U PODSTAW NA ZIEMIACH ODZYSKANYCH

24 RADOSŁAW WOJTAS
SAMOZBIORY, CZYLI ZERWIJ I KUP

26 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
POWRÓT NA ETAT

KULTURA

28 WIESŁAW CHEŁMINIAK
ROZUMNI SZAŁEM
Romantycy pozwolili sobie marzyć

32 PIOTR GOCIEK
ZADANIE DLA KAŻDEGO

34 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Z PONUREGO KRAJU

NIE PRZEGAP

36 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

40 PIOTR SEMKA
CZY UKRAINA TO „KRAJ BANDEROWSKI" I CO TO OKREŚLENIE OZNACZA?
Polemika z Łukaszem Warzechą

44 LECH MAŻEWSKI
CZY LOS UKRAINY MÓGŁ BYĆ INNY?

48 JAROSŁAW LEWANDOWSKI
DLACZEGO POLSCY POLITYCY NADAL ROZBRAJAJĄ POLAKÓW

50 PAWEŁ CHMIELEWSKI
JAK AMERYKAŃSCY DEMOKRACI KORUMPUJĄ KOŚCIÓŁ KATOLICKI

52 FILIP MEMCHES
KONSERWATYWNE OBLICZE ADAMA MICHNIKA?

HISTORIA

54 ROZMOWA Z MARKIEM KORNATEM
W OCZEKIWANIU NA NOWY KONCERT MOCARSTW?
Appeasement kiedyś i dziś

ŚWIAT

58 KRYSTIAN KAMIŃSKI
GROBOWIEC IMPERIÓW ZNÓW DRŻY
Afganistan w sercu eurazjatyckiej gry

60 MACIEJ PIECZYŃSKI
JAK KREML WALCZY Z LGBT

64 PIOTR WŁOCZYK
ŚWIATOWY ZAKAZ „LEASINGOWANIA" BRZUCHÓW?

EKONOMIA

66 JACEK PRZYBYLSKI
CUD MILEIA 2.0
Sojusznik Trumpa umacnia władzę

70 ŁUKASZ WARZECHA
ANTYCHIŃSKI SYNDROM

STYL

74 JOANNA BOJAŃCZYK
CO MÓWI UBRANIE
„Niech nas widzą" w Zamku Królewskim

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (57), PRZYBYLSKI (63), GABRYEL, WARZECHA (69), KOMUDA (76), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 46513f5f87

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **D. Dipasupil/FilmMagic/Getty Images (fotografia z 2016 roku)**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumeratapraszy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Pochwała Konfederacji?

Przeżyłem już na tym świecie pół wieku, nie zdziwi mnie już nic. Ani Rafał Trzaskowski deklarujący wzięcie udziału w Marszu Niepodległości, ani Mateusz Morawiecki ganiący Zielony Ład, ani PSL głosujące za związkami partnerskimi. Nie dziwi mnie również Donald Tusk chwalący publicznie Konfederację. Bo czymże innym była jego wypowiedź o dalekowzroczności polskiej klasy politycznej? Pan premier mówił jakiś czas temu na konferencji prasowej, że ma „gorzką, ale satysfakcję", bo jego „partnerki i partnerzy w Brukseli" mówią, że Polska wyprzedziła w myśleniu Europę, bo byliśmy „najszybciej ostrzegającymi przed dramatycznymi skutkami przesady albo takiej zielonej ideologii, albo źle pojętej polityki migracyjnej".

Nie chcę tu sięgać po cytaty o biednych ludziach szukających swego miejsca na ziemi czy o tym, że możemy przyjąć każdą liczbę uchodźców, nie będę się wyzłośliwiał, napiszę tylko tyle – w demokracji czasem warto wsłuchać się w głos narodu. Polacy od początku mówili głośno, że nie chcą u siebie uchodźców, nie chcą wariactwa zielonej ideologii. Czy pan premier już zrozumiał, że maska zakładana na okoliczność kampanii wyborczej, niczym na bal karnawałowy, już nie wystarczy? A może karnawał trwa i maska już jest w użyciu?

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Naprawdę czarny charakter?

Szanowni Państwo,
chociaż koszt produkcji paczki papierosów i litra spirytusu z oczywistych powodów jest objęty tajemnicą handlową, to nieoficjalnie wiadomo, że wynosi on 1–3 zł. Łatwo więc obliczyć, jak ogromny haracz każdego dnia wpłacają do państwowej kasy nikotyniści i zwolennicy wina do obiadu. W obecnej sytuacji rekordowego zadłużenia kraju ich słabość do używek nabiera specjalnego znaczenia.
Proszę sobie wyobrazić, że pewnego pięknego dnia nie zostanie zakupiona ani jedna paczka papierosów, ani jedna butelka wina. Błyskawicznie runą państwowe finanse i pensji nie dostaną ani nauczyciele i urzędnicy, ani pielęgniarki i lekarze, ani śmieciarze i motorniczy, ani żołnierze i policjanci, jednym słowem – cała budżetówka. Zabraknie też pieniędzy na wszelkie szczytne zasiłki „800+", „Babcia+", „Ukrainiec+".

Rzekomo rychły wybuch wojny wymaga także potężnych pieniędzy na zbrojenia. W najbliższym czasie można więc spodziewać się podwyżki cen używek pod płaszczykiem dbałości o zdrowie.
Biorąc to wszystko pod uwagę, rola nikotynisty jest nie do przecenienia. Nabiera wręcz cech patriotyzmu. Dlatego zamiast wypędzać nikotynistów z kawiarni, ogródków, a nawet własnych balkonów i spychać na społeczny margines, warto ich dowartościować, więcej nawet: „dopieścić".

Nie taki to czarny charakter, jak go malują!

Z poważaniem
Ewa Kowynia

eprasa.pl 46513f5f87

NA PIERWSZY OGIEŃ

Tusk znów mocno trzyma lejce

PIOTR SEMKA

Między bajki można włożyć rozważania o potencjalnej zmianie premiera" – pisze publicysta tygodnika „Polityka". „Nikt po wystąpieniu Tuska [na konwencji PO] nie mógł mieć wątpliwości, że lider Koalicji Obywatelskiej jest jeden i to on poprowadzi ją do wyborów, zarówno jako przywódca partii, jak i szef rządu".

Jeszcze parę tygodni wcześniej na łamach „Polityki", „Newsweeka" czy nawet „Gazety Wyborczej" ukazywały się spekulacje, czy Wielki Donald nie ciągnie aby koalicji rządowej w przepaść. Co bardziej wolnomyślicielscy kibice koalicji snuli nawet rozważania o zastąpieniu Tuska Radkiem Sikorskim. Ale jak już parę razy to się działo, czarodziej z Gdańska wymyślił całą sekwencję działań, które przypomniały wszystkim, kto jest samcem alfa w obozie antykaczyzmu.

Z zamrażarki wyciągnięto sprawę sprzedaży jednej z działek na terenie przyszłego Centralnego Portu Komunikacyjnego i większość mediów liberalnych rzuciła się na to jak zgłodniałe brytany na świeże mięso. Działo się tak, mimo że cała sprawa jest ewidentnie dęta. Prokuratura czekała trzy miesiące z wszczęciem śledztwa. Śledztwo wszczęto dopiero, gdy o zarzutach wobec byłego ministra Roberta Telusa napisała Wirtualna Polska. Maciej Lasek i obecne władze CPK czekali niemal 600 dni ze złożeniem zawiadomienia do prokuratury w tej sprawie – zupełnie tak, jakby chcieli, by było już za późno, żeby uzyskać billingi albo dane o lokalizacji telefonów bohaterów całej historii. Nie przeszkadza to jednak publicystom prorządowym rozpisywać się o tym, że rzekomo mit CPK został skompromitowany raz na zawsze.

Jak prezent na tacy nawinęła się też Tuskowi sprawa wiceszefa Nowej Nadziei Konrada Berkowicza, który nie zapłacił za część swoich zakupów w sklepie IKEA. Ale i tu nikt jakoś w mediach nie zauważył, że Donald Tusk oburzył się na przypadek Berkowicza na swoim profilu X dokładnie 16 minut po tym, jak pierwsza informacja o skandalu ukazała się na profilu Mariusza Gierszewskiego z Radia Zet, który ujawnił cały incydent.

Skąd Tusk wiedział, że to informacja sprawdzona, a nie np. jakiś fake? Trudno nie ulec wrażeniu, że premier miał pełną wiedzę, że taka wiadomość pojawi się na portalu Radia Zet. Czyżby w policji ktoś wiedział, że każde doniesienie o jakimkolwiek incydencie, w którym pojawia się nazwisko polityka opozycji, może zainteresować współpracowników medialnych szefa obecnego rządu?

Tak czy inaczej, Tusk kolejny raz pokazał, że za pomocą paru dość wątpliwych sensacji można stworzyć wrażenie przejścia do ofensywy. Na dodatek na korzyść mocnej pozycji Tuska jako zbawiciela obecnej koalicji działają ostatnie sondaże. Nowa Lewica, Polskie Stronnictwo Ludowe i Polska 2050 Szymona Hołowni nie przekraczają progu wyborczego. To daje Tuskowi pozycję tresera z solidnym batem wobec koalicyjnych partnerów. Jest już jasne, że jedyną szansą dla tych politycznych słabeuszy jest wspólna lista, przy ustalaniu której o wszystkim decydować będzie sam Wielki Lider Koalicji Obywatelskiej. ©℗

FOT. MARK SCHIEFELBEIN/AP/EAST NEWS

POROZUMIENIE TRUMPA Z XI

Prezydent USA po pierwszym od sześciu lat spotkaniu z przywódcą Chin ogłosił w zeszły czwartek zawarcie jednorocznego porozumienia handlowego. Donald Trump i Xi Jinping uzgodnili, że USA obniżą średnie cła na chińskie towary z 57 do 47 proc., a Chiny przez rok nie wprowadzą zapowiadanych restrykcji na eksport metali ziem rzadkich, niezbędnych do produkcji nowoczesnych sprzętów, od smartfonów po uzbrojenie. Trump zapowiedział też współpracę z Chinami w sprawie wojny na Ukrainie. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 46513f5f87

dwaj panowie g

Uwaga, ratuj się kto może, żurkowcy szykują kolejny wniosek o uchylenie immunitetu. Tym razem ma to być ni mniej, ni więcej, tylko sam Mateusz Morawiecki. Podobnie jak Ziobro miał on stać na czele grupy przestępczej. Zważywszy, że był przełożonym Ziobry, który też miał być szefem grupy przestępczej, wychodzi na to, że premier Mateusz musiałby być capo di tutti capi. Żurkowcy nie chcą się jednak już teraz wystrzelać z całej amunicji i z wnioskiem będą jeszcze przez chwilę zwlekać.

Jest jednak jeszcze jeden problem. Szefem zarówno Morawieckiego, jak i Ziobry jest prezes Kaczyński. Jednak podwładni Żurka na razie bezradnie rozkładają ręce – nie ma wyjścia na Jarka. Ciśnienie jest jednak ogromne. Tuszymy więc, że wyjście się znajdzie. Przypomnijmy, że grupa, która zrabowała media publiczne, sama siebie określała jako „Wejście". Skoro jest wejście, to musi być też wyjście.

Po wielkim sukcesie konwencji programowej PiS w partii strzelają korki od szampana, a poparcie wspina się na nieznane dotąd wyżyny. No dobrze, a teraz dość żartów i będzie na serio. Po konwencji programowej PiS w partii panuje głębokie przekonanie, że właściwie nie wiadomo, po co to wszystko było. Złośliwi wspominają coś o targowisku próżności. Cóż za rzadki moment: komentariat i partia w czymś się zgadzają.

Szczególny żal budzi tu i ówdzie wśród działaczy fakt, że wśród ogłaszanych na konwencji konkretów nie przebiła się koncepcja europosłanki Anny Krupki, która chce zorganizowania w Polsce letnich igrzysk olimpijskich w 2044 r., na stulecie powstania warszawskiego. Nie jesteśmy pewni, czy podzielamy ten żal, bo pamiętamy, że poprzednie olimpijskie obietnice PiS raczej bywały wykorzystywane przeciw partii. Ale co my tam wiemy o sporcie? Może tylko tyle, że Krzysztof Stanowski to znany piłkarz. A nie?

Skoro jednak mowa o niecodziennych obietnicach, to odnotujmy, że z kolei na Wielkiej Konwencji Zamieniającej KO w KO obiecano budowę w Polsce Centrum Operacji Satelitarnych, cokolwiek to znaczy. Jesteśmy skłonni uwierzyć. Donald Tusk ma wielkie doświadczenie satelitarne. Jako satelita Berlina oczywiście.

Bardziej nas niepokoi, że DPO (Dawna Platforma Obywatelska) pracuje nad „programem na złotą dekadę Polski". To jest wiadomość, po której z kraju emigrować powinni zacząć już nie celebryci, których zniesmaczył wybór Karola Nawrockiego na prezydenta, ale wszyscy inni, to znaczy normalni.

W każdym razie po jednej i drugiej imprezie jesteśmy przekonani, że w Polsce nic się nie zmieniło: najwięcej dyskutuje się o rzeczach, które nie istnieją. Na przykład takich jak program. Czasem nawet o rzeczach, które nie istnieją podwójnie, gdyż dyskutuje się o rzeczach, które podobno są dyskutowane, podczas gdy one nie są dyskutowane. Chcecie przykład? Cóż, np. pakt senacki na prawicy. Nikt, dosłownie nikt, z nikim o tym w żaden sposób nie gada.

Z cyklu „nikt nie pyta, my odpowiadamy". Czy jest zaniepokojenie w szeregach PiS z powodu tzw. afery CPK, to znaczy afery działkowej? No jest. Ale o czym mało kto wie, jeszcze większe zaniepokojenie panuje wśród łódzkich działaczy PZPJPO (Partii Znanej Poprzednio Jako Platforma Obywatelska). Otóż zaniepokojenie wywołane jest obawą, że teraz trzepane będą wszystkie kwity związane z inwestycjami wokół CPK. A tak się składa, że lokalni działacze zaangażowani są lub nie, być może, ewentualnie, nie wiemy tego na pewno, a raczej chyba nie wiemy i tak sobie konfabulujemy, w ciekawe przedsięwzięcia hm… publiczno-prywatne, których celem jest to, aby CPK rosło w siłę, a ludziom – zwłaszcza niektórym – żyło się dostatniej. I w sumie my też czekamy na trzepanie tych kwitów. Znacie nas. Lubimy się taplać.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Musimy przyznać, że jesteśmy trochę skonfundowani, gdyż przyrost patriotycznych kanałów na YouTube przekracza nasze możliwości percepcji. Najnowszy to ten od trzech muszkieterów TAK (Tulicki, Adamczyk, Karnowski, ale Michał). Uważamy, że jego nazwa jest zbyt skromna i nie oddaje sedna przedsięwzięcia. Naszym zdaniem kanał powinien nazywać się TujestjeszczebardziejwPolsceniżwPolsce24.pl.

Tymczasem w wielkim świecie prestiżowych imprez. Forum w Krynicy. To już nie to samo co kiedyś. Drzewiej obserwowaliśmy tam w kuluarach, a dokładniej w toaletach, pozostałości białego szaleństwa w postaci sreberek przypalanych zapalniczką. W tym roku było bardziej konserwatywnie i – rzeklibyśmy – grzeczniej. Owszem, jakieś zajęcia w podgrupach miejsce miały, ale bez ekscesów. Najbardziej zaś obleganą osobą w polskim Davos był Paweł Szefernaker. Kolejka po selfiki była naprawdę okazała.

W jednej z warszawskich galerii handlowych natknęliśmy się na Marcina Mastalerka, który jeszcze do niedawna trząsł Pałacem Prezydenckim. I mamy pewien dylemat, jak ocenić jego obecny stan. Facet zdecydowanie się poprawił, czy, jak mawiały nasze ciotki, nie chcąc nam robić przykrości słowami, „ale utyłeś" – zmężniał. Jedna z teorii mówi, że przybieranie na wadze to oznaka dobrobytu. Druga wręcz przeciwnie – że otyłość w społeczeństwach rozwiniętych to oznaka przewlekłej biedy. Będziemy tę kwestię nadal badać. ©℗

prasa.pl 46513f6f87

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Przepalona kasa

Po takim „politycznym weekendzie" jak ostatnio – jednocześnie wielki Kongres Programowy PiS oraz „zjazd zjednoczeniowy", na którym PO „wyprowadziła sztandar" i powstała nowa partia – tygodniki takie jak nasz powinny mieć temat na okładkę i kilka „fołołapów" w następnych tygodniach. Tymczasem oba wydarzenia ledwie dostarczyły materiału na wzmiankę. PiS urządził 131 „paneli tematycznych". Z czystego prawdopodobieństwa wynika, że musiały tam paść jakieś mądre słowa, mimo zauważalnej prawidłowości, że im kto wyżej w partyjnej hierarchii (czytaj: w łaskach Prezesa), tym w większej liczbie paneli musiał się wypowiedzieć – ale do szerokiej publiczności dotarło z tego chaosu tyle, że jak PiS odzyska władzę, to da wszystkim wszystko, na czele „dochodem gwarantowanym" za samo istnienie i powrotem Jacka Kurskiego do TVP.

Natomiast „nowa partia", będąca efektem zjednoczenia rządu, ma się nazywać Koalicja Obywatelska (nowość, nieprawdaż?) i składać oprócz dotychczasowej PO z dwóch jej mikroskopijnych przystawek, dotąd koalicyjnych, które obie razem zmieściłyby się na jednej kanapie. Formalne ich wchłonięcie i utworzenie „nowej" partii pod starą nazwą oraz być może z kolejnym logo, bo puste serduszko już się opatrzyło, nie daje oczywiście PO żadnej wartości dodanej – raczej ujemną, bo PO wzięła w ten sposób na siebie liczne kompromitacje Barbary Nowackiej w resorcie edukacji i cwaniactwo resztówki po Nowoczesnej, która sztuczką z formalnym rozwiązaniem się i zjednoczeniem z KO chce wykręcić się od spłacenia pozaciąganych na lans długów.

Obie imprezy miały wypasioną formę, dały liderom okazję do długich przemówień i powtórzenia w nich mniej więcej tych samych co zawsze tez i bon motów – najwyraźniej obaj są przekonani, że uchował się jeszcze w Polsce ktoś, kto ich dotąd nie słyszał, a chce – i obie nie dały politycznym rywalom absolutnie nic. Tylko właściciele wynajmowanych hal i dostawcy oświetlenia mają prawo uważać, że poszło świetnie. ©℗

MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Misterium iniquitatis

W swym „Dzienniku wojennym" Józef Czapski opowiada o rozmowie z por. Józefem Zieleckim, uwolnionym z sowieckiego lochu śmierci (dzięki, trzeba to przyznać, paktowi Sikorski-Majski). Porucznik opowiadał, że śmierci się nie bał, ale najbardziej się martwił, że „nikt z najbliższych nawet się nie dowie, jak umarł" i „jeszcze to, że będą strzelać z tyłu – że to zdradzieckie". Mówił: „Wolałbym już, żeby strzelali mi otwarcie w piersi".

Niestety, po dziś dzień pisze się, że w katowniach NKWD, a potem UB ludzi „rozstrzeliwano". To kłamstwo. Rozstrzeliwali się nawzajem Hiszpanie w czasie wojny domowej, przy czym – jak otwarcie przyznaje komunistyczny autor, Michel del Castillo – była różnica. Egzekucje dokonywane przez nacjonalistycznych powstańców odbywały się niemal w majestacie inkwizycji: proces polowy, zarzuty, ksiądz (którego zdecydowana większość skazanych prosiła o spowiedź). Egzekucje czerwonych „republikanów" były erupcjami ślepego „ludowego gniewu", rewolucyjnej wścieklizny.

Tam jednak generalnie rozstrzeliwano. W katowniach NKWD i UB ludzi po prostu mordowano, strzałem w tył głowy, na ogół znienacka, co nie tylko rozstrzelaniem, lecz także w ogóle egzekucją trudno nazwać. Niestety, nawet oficjalne biografy ofiar często powielają do dziś stalinowski język: „rozstrzelany w 1937", „rozstrzelany w 1940". To, że tego nie zauważamy, ta swoista niewidzialność komunizmu – to jeszcze jeden dowód na metafizyczny charakter jego zła.

Inna rzecz, że oprócz demonicznego bolszewizm miał również wymiar najbardziej przyziemny. Pius XI pisał w „Divini Redemptoris", że spycha ludzi głębiej niż w czasy klasycznego pogaństwa, z całym jego okrucieństwem. Komunizm to regres do barbarzyństwa, na pogranicze człowieczeństwa. Dlatego jego „idee" można było realizować w taki sposób. ©℗

eprasa.pl 46513f5f87

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIECZEŃ RZYMSKA

O politycznej pasji młodych Włochów

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

O godz. 7.30 przed wejściem do elitarnego liceum w Turynie pojawiła się grupka prawicowych aktywistów w wieku lat 16, rozdająca ulotki agitujące przeciwko subkulturze maranzy, młodocianych gangów złożonych w sporej części z migrantów lub dzieci migrantów. Prowokacja się udała. Lewicowi licealiści rzucili się na kolporterów, a potem na przybyłą na miejsce policję, bo ta zatrzymała jednego z agresywnych uczniów. Nie było żartów. Trzech policjantów doznało obrażeń. Potem zideologizowana gówniarzeria zorganizowała pochód pod hasłem „W naszym mieście i szkołach nie ma miejsca dla faszystów" i natarła na pobliskie biuro prawicowej partii Bracia Włoscy premier Giorgii Meloni.

Do podobnych incydentów z licealistami w roli głównej dochodzi w Italii kilkadziesiąt razy rocznie, nie mówiąc o nagminnym okupowaniu szkół. Najczęstszym powodem jest walka z faszyzmem, a ostatnio z syjonizmem. Trudno się rozpolitykowaniu agresywnej gówniarzerii dziwić, skoro nawiedzeni nauczyciele często prowadzają uczniów podstawówki na imprezy quasi-polityczne, jak choćby piątkowe strajki i manifestacje w obronie świeżego powietrza, wykoncypowane przez boską Gretę szwedzką.

Polityczni aktywiści szkolni potem rozwijają działalność i skrzydła na studiach. Ostatnio ich ofiarą padł popularny lewicowy parlamentarzysta, często komentujący wydarzenia we włoskich telewizjach, Emanuele Fiano. Zaproszony został na słynny Uniwersytet Ca' Foscari w Wenecji jako szef organizacji „Lewica dla Izraela" na dyskusję poświęconą rozejmowi w Gazie. W trakcie imprezy do auli wdarli się studenci z propalestyńskiego kolektywu Sumud z transparentem „Syjoniści precz z uniwersytetów" i megafonami, przez które dosłownie dyskusję zagłuszyli.

Fiano skomentował: „Ostatnim zagłuszanym Fiano był mój ojciec w 1938 r., gdy miał 13 lat". Wówczas Mussolini wprowadził haniebne ustawy rasowe. O siebie Fiano się nie bał. Od 15 lat ma ochronę, bo za poglądy i pochodzenie ciągle grożą mu śmiercią. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 46513f5f87

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

ODEJŚCIE PO ANGIELSKU

Świat nie zrozumiał, ludzie zawiedli. Z „Tańca z gwiazdami" odpadła Agnieszka Kaczorowska, która w zamyśle miała towarzyszyć „gwieździe", aktorowi Marcinowi Rogacewiczowi. Sęk w tym, że to Aga była w tym duecie prawdziwą gwiazdą, która wykorzystała swoje pięć minut do samego spodu. Para trafiła na parkiet w oparach skandalu (słupki oglądalności wystrzeliły), ponieważ jeszcze przed programem spekulowano, że i ona, i on porzucili swoich małżonków i są razem. Udział w show to potwierdził, a Kaczorowska i Rogacewicz nie szczędzili sobie romantycznych gestów. „Wygląda jednak na to, że ich cotygodniowa demonstracja czułości przejadła się głosującym, którzy tym razem nie okazali im wystarczająco dużego wsparcia. Para nr 7 musiała opuścić parkiet, poprzedzając to górnolotną przemową złotoustej Agnieszki. Poradziła ponad 2 mln oglądających, by »byli dla siebie dobrzy i życzliwi«. Nie przeszkodziło jej to 10 sekund później podważyć kompetencji części innych uczestników. Ostentacyjnie wyminęła ich, chwytając rękę swego wybranka serca i ruszając z nim w kierunku balkonu" – relacjonuje serwis Pudelek. „Odpadnięci" nie chcieli przyjmować gratulacji ani udzielać wywiadów, ewidentnie mając problem z werdyktem widzów. Jako pierwsi spośród wszystkich wyeliminowanych uczestników nie wzięli też udziału w transmisji na żywo na Instagramie po zakończonym odcinku. Niedługo później Agnieszka opublikowała wpis na swoim profilu. „Dziękujemy. Za to, co dostajemy w tysiącach wiadomości... za energię, która staje w kontrze do hejtu, za życzliwość, za moc, za wiarę w nas... to, co do nas ślecie, powoduje, że cały dzień się wzruszamy. Jesteśmy absolutnie poruszeni. Dziękujemy za wspólny czas przez ostatnie tygodnie. To była dla nas najpiękniejsza przygoda z możliwych... bo była RAZEM. O prawdzie, szczęściu i miłości. Pomimo wszystko. Czas na powrót do domu. Taniec pozostanie... bo teraz oboje go kochamy. Szkoda, że już go nie zobaczycie... a może kiedyś...?" – napisała, sugerując, że to nie musi być koniec przygody z „TzG". Odejść też trzeba umieć.

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

BEZ EDWARDA

Niedawno odbył się ślub roku. „Kurzopki", czyli Kasia Cichopek i Maciej Kurzajewski, oficjalnie stały się małżonkami. Na uroczystość zaproszono licznie przedstawicieli zarówno świata mediów, jak i polityki – i to z różnych stron „barykady". W ślubie wzięli udział m.in. Edward Miszczak, Joanna i Jacek Kurscy oraz Beata Mazurek z PiS. „Młodzi" zaplanowali też wspólne świętowanie, a tam dyrektora programowego Polsat już zabrakło. Powód jego nieobecności ujawniła Agnieszka Hyży w rozmowie z Jastrząb Post. – Miał być, natomiast pan Edward Miszczak jest naprawdę bardzo zapracowaną osobą. Rozmawialiśmy kilka dni temu i rzeczywiście wiem, że jakieś inne zobowiązania go zatrzymały. Natomiast, znając pana Edwarda, zapewne wysłał życzenia, kwiaty i w odpowiedni sposób uhonorował parę. Więc na pewno spełnił, że tak powiem, swój obowiązek – stwierdziła.

STRASZNO, STRASZNO

Krystyna Janda wraz z mężem Edwardem Kłosińskim pod koniec lat 80. kupili w Milanówku wymagającą remontu willę z lat 20. W międzywojniu mieszkał tam słynny śpiewak operowy Stanisław Gruszczyński. – Myśmy kupili dom, który wybudował Stanisław Gruszczyński, to był śpiewak operowy, kiedyś miał kontrakt w La Scali i był naprawdę bogatym człowiekiem, zbudował ten dom nadzwyczajnie, ale zaczął tracić głos. Bardzo się to tragicznie skończyło, bo on zmarł w Milanówku zapomniany na takiej kupie węgla – wspominała aktorka w programie „Daję słowo". Po wojnie posiadłość służyła jako szpital dla warszawiaków ewakuowanych z obozu w Pruszkowie. Jeden z pokoi miano przeznaczyć na „umieralnię" – kładziono tam osoby, dla których nie było ratunku. Janda wspomina, że gdy wprowadzili się do dworku, zaczęły się dziać rzeczy. – Myśmy się o tym wszystkim dowiedzieli dużo później, jak urodziłam dziecko i nocami nie spałam, bo je nosiłam [...]. Często coś spadało, tłukła się porcelana, ktoś biegł po schodach, wydawało mi się [...]. Była taka dziewczyna pomagająca mnie i mamie w opiece nad dziećmi i mówiłam do niej: Basiu, ja ci dziękuję, bo słyszałam, jak zbiegasz w nocy, żeby mnie zastąpić, a ona mówiła: Krysia, ja w ogóle nie wstawałam – wyznała Janda. Od jednej z sąsiadek aktorka dowiedziała się, że w ogrodzie pogrzebano pacjentów ze szpitala. Wtedy uznała, że czas sięgnąć po inne metody. – Musimy coś zrobić, ja się zaczynam bać! Psy wyją nocami, ciągle zdarza się coś dziwnego [...]. Wezwałam księdza z sąsiadującego z nami kościoła milanowskiego. Spojrzał na dom w pełnym rozkwicie remontu, wziął [krucyfiks] do ręki [...]. Basia szła za mną, trzymając wodę święconą rozlaną na talerzu. Przechodziłyśmy z pokoju do pokoju, żegnałyśmy się i kropiłam wszystkie kąty. Tak obeszłyśmy cały dom – wspomina. Dopiero po tej interwencji mieszkańcy zaznali spokoju. ©℗

eprasa.pl 46513f5f87

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak tam, wróciliście już z tegorocznego grobbingu w małych ośrodkach? Musimy wam powiedzieć, iż nic tak nas pesymistycznie nie nastraja do świata, iż niemal nic tak dobrze nie ilustruje różnic pomiędzy powiatową Polską rangi B a strzeżonymi osiedlami w wielkich miastach tier 1, jak podejście do grobbingu i Halloween.

Bo z jednej strony na prowincji, jak wiadomo, istnieje poważne zapóźnienie względem cywilizacji i kultury, a co za tym idzie, pewne trendy są obecne tam albo znacznie później, albo są wypierane przez lokalne zwyczaje i nie mogą się przyjąć, albo są po prostu celowo ignorowane przez januszów o bujnych i szerokich wąsach, a wąskich i prostych umysłach.

Dlatego też to, co dzieje się w niewielkich ośrodkach, to tradycyjny grobbing ze zniczami i chryzantemami w obecności księdza. Śpiewają smutne piosenki, a wszystko to podlane takim churchingowym sosem i opowiadaniem o umieraniu – no jest to bardzo nieprzyjemne, co tu dużo mówić.

A w większych ośrodkach, jeśli ktoś ma osobodzieci i reprezentuje odpowiedni poziom, to w otoczeniu sąsiedzkim organizuje zabawy typu trick or treat, osobodzieci chodzą od drzwi do drzwi, płatają psikusy, wszyscy się częstują cukierkami, mają zabawne kostiumy, w pobliżu nie ma żadnego księdza, nie istnieje ryzyko zawłaszczenia tej zabawy przez churching. A jak ktoś nie ma osobodzieci, to może się przyglądać z życzliwym zainteresowaniem, wyprowadzając na spacer psiecko, ewentualnie można w ramach zabawy prosić o smakołyk dla psiecka – pełna dowolność, zero presji, każdy może zrobić to, na co ma ochotę.

Jedno święto się skończyło, a nadchodzi zaraz kolejne – tym razem, uwaga! – narodowe. A jak wiecie, razem ze Świętem Niepodległości 11 listopada czeka nas kolejna edycja Marszu Niepodległości, czyli wszyscy fashyści z całego tego kraju zjadą się do Warszawy, aby zamanifestować swój patriotyzm, nacjonalizm i ksenofobię.

Jako iż jesteśmy starszymi millennialsami, to kojarzymy pewne próby podejmowane w przeszłości, aby odebrać święta narodowe fashystom i wystylizować je zgodnie ze świeckim duchem współczesnego patriotyzmu, który polega np. na zbieraniu kup po psieciach (a tych jest coraz więcej, a więc to bardzo ważne!) czy kasowaniu biletów w tramwajach (nazwa umowna, iż teraz się to robi zbliżeniowo). Pamiętamy inicjatywy z czekoladowym orłem, piękne czasy to były, nawet jeśli prezydent Bronek był trochę boomerem xD.

A tegoroczny Marsz Niepodległości odbędzie się pod hasłem „Jeden naród, silna Polska". Wiecie, kto już w historii mówił o jednym narodzie, prawda…? A o sile, tężyźnie, kulcie fizyczności? Skąd też w ogóle pomysł w tej prawicowej narracji, że Polska koniecznie ma być silna? Nie może raczej być ciepła, troskliwa, wyrozumiała, dobroduszna i serdeczna? Wiadomo, że przy takim prezydencie, skupionym na swoich mięśniach, taka nie będzie, ale w takim razie mamy o co walczyć w przyszłości, oczywiście w ramach wyznaczonych przez standardy demokracji. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Kultowy model

No ale jak Robert mógł nie wiedzieć o tej działce dla CPK?! Wytłumacz mi to, Marcin!

Jarku, nie denerwuj się. Nie powiadomiono go, to mógł nie wiedzieć. Jako minister.

Jako minister mógł nie wiedzieć, ale jako on sam wiedział? Co ty mi tu…

W zasadzie nie jest takie całkiem ważne, co wiedział jako on, bo działał jako minister. Znaczy – nie działał.

Czy ty mnie masz za idiotę? Widzisz, co to jest?

Telefon… Chyba nokia 3310, kultowy model!

Może być nawet 33 miliony. Przez to się rozmawia! Dzwoni się i powiadamia!

No, ale ta nokia ma baterię na kilka dni. A Robert ma nowy telefon i mogła mu się akurat bateria skończyć… ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„[…] najbliższe dwa lata do wyborów 2027 spędzimy pod atakiem rosyjskiej myśli »geopolitycznej« w wydaniu PiS".

KLEMENTYNA SUCHANOW, *publicystka, na platformie X*

eprasa.pl 46513f5f87

ŚMIERTELNE ŻNIWO HURAGANU MELISSA

Kilkadziesiąt osób zabitych, zniszczone porty, domy, szpitale, biblioteki, komisariaty policji, mosty oraz drogi – to tragiczny bilans huraganu Melissa, który w ubiegłym tygodniu przeszedł przez archipelag Bahamów. Tylko na Haiti w wyniku powodzi wywołanej przez huragan zginęło co najmniej 30 osób, w tym 10 dzieci.

Na Jamajce Melissa okazała się najbardziej niszczycielskim huraganem od 1851 r., czyli od czasu, gdy zaczęto prowadzić tego typu rejestry. Najbardziej na wyspie ucierpiał region Saint Elizabeth. W zeszły czwartek władze potwierdziły, że zginęło tam co najmniej pięć osób. Szacowano również, że mniejszym i większym zniszczeniom mogło ulec nawet 90 proc. budynków w całym kraju. Rząd ogłosił więc całą wyspę „obszarem klęski żywiołowej". W wyniku uderzenia żywiołu prądu pozbawionych zostało ponad pół miliona mieszkańców Jamajki.

Z kolei na Kubie konsekwencją uderzenia Melissy były m.in. powodzie błyskawiczne. Pod wodą znalazło się m.in. drugie największe miasto na wyspie: Santiago de Cuba. Według rzecznika kubańskiego rządu niemal 80 proc. kraju w wyniku huraganu zostało bez prądu. ***(jap)*** ©℗

FOT. MATIAS DELACROIX/AP/EAST NEWS

eprasa.pl 46513515f87

eprasa.pl 46513f5f87

Rodzinne imperium

Wojciech Golonka

Świetnie prosperująca dynastia Trumpów skapitalizowała znaczącą sieć wpływów o zasięgu międzynarodowym, stanowiącą – na dobre i na złe – kolosalny potencjał na przyszłość, cokolwiek ona przyniesie

Wpływowe rodziny w amerykańskiej polityce nie są nowością, by wspomnieć choćby najsławniejszą z nich, ród Kennedych, wciąż obecny na Kapitolu i w amerykańskiej administracji. Na tym tle rodzina Donalda Trumpa nie jest zatem wyjątkiem, jednak wyróżnia się z kilku powodów. Począwszy od faktu, że to Trump, bezsprzecznie i stanowczo, dzierży dziś stery władzy wykonawczej wciąż najpotężniejszego państwa na ziemi, a to właśnie cała jego najbliższa rodzina jest, do pewnego stopnia, zaangażowana w jego działania polityczne lub biznesowe. Działanie członków tej rodziny bywa zresztą zaskakująco daleko idące, pozostając jednocześnie dyskretne. Ponadto dynastia ta jest w zasadzie już od lat zaangażowana w wielomiliardowe inwestycje, w których wątki polityczne i finansowe przeplatają się i napędzają wzajemnie, spektakularnie pomnażając rodzinny majątek. Kwestią otwartą pozostaje natomiast, którzy z członków jego familii mogliby docelowo – i w jakiej perspektywie czasowej – spróbować swych sił w polityce, przede wszystkim w wyścigu do Białego Domu. Innymi słowy, niewiadomą pozostaje, co właściwie stanie się z rodzinnym imperium po zejściu z politycznej sceny nestora rodu.

Na brak potomków Donald Trump narzekać nie może – ze swych trzech związków doczekał się ich łącznie pięcioro. Najstarszych troje – Donald Jr., Ivanka oraz Eric – to dzieci z małżeństwa z Ivaną Trump (1949–2022), modelką rodem z Czechosłowacji. Tiffany to z kolei jego córka z aktorką Marlą Maples (urodzoną w 1963 r.), a Barron, najmłodszy, 19-letni syn prezydenta, to jego dziecko z obecną pierwszą damą USA, Melanią Trump (urodzona w 1970 r. w Słowenii). Tych pięcioro dzieci, z czego czworo w połowie słowiańskiej krwi, należy zatem do trzech różnych pokoleń Amerykanów – pierwszych troje to przełom lat 70. i 80., Tiffany to lata 90., a Barron to już rocznik 2006. Ta różnorodność odbija się w ich odziaływaniu u boku Donalda Trumpa, tym bardziej że jego najstarsza wnuczka, Kai Trump, z którą prezydent ochoczo pogrywa w weekendy w golfa, jest w zasadzie w wieku jego najmłodszego syna.

DONALD JUNIOR

Urodzony w 1977 r. Donald Jr. Trump to poniekąd, obok niezwykle wpływowego zięcia prezydenta, Jareda Kuschnera, jedna z dwóch szarych eminencji w najbliższym otoczeniu Donalda Trumpa, a zarazem, wraz z Erikiem i Ivanką, jego główny zastępca w prowadzeniu rodzinnych interesów. Zastępstwo to jest związane nie tylko z naturalną zmianą pokoleniową w dynastii Trumpów, lecz także z wymogiem transparentności, na którą w 2017 r. Donald Trump zdecydował się, obejmując urząd prezydenta USA i rezygnując z zarządu firm zrzeszonych w jego konglomeracie, The Trump Organization.

Od strony poglądów: w 2023 r. Donald Jr. wznowił regularnie swój podcast „Triggered", o orientacji mocno prawi-

eprasa.pl 46513f5f87

Prezydent USA Donald Trump obejmuje pierwszą damę, Melanię, jego synowie – Barron, Donald Jr., Eric – oraz córka Tiffany biją mu brawo po złożeniu przez niego przysięgi, 20 stycznia 2025 r. FOT. SHAWN THEW/REUTERS/FORUM

Trumpa

Na brak potomków Donald Trump narzekać nie może – ze swych trzech związków doczekał się ich łącznie pięcioro

cowej, stanowczo antywoke, z silnymi akcentami antysystemowymi, wpisany w ostatnią kampanię wyborczą jego ojca i pozwalający również na szersze wypromowanie wschodzących gwiazd Trumpowego ruchu MAGA. I tak w maju 2024 r. jego gościem był J.D. Vance, a Donaldowi Jr. przypisuje się kluczową rolę w przekonaniu ojca do uczynienia zeń swego kandydata na urząd wiceprezydenta USA. Wybór ten okazał się strzałem w dziesiątkę – już w trakcie kampanii wyborczej sam Trump okazał się Vance'em zachwycony – a wdzięczny ojciec mianował swego pierworodnego, wraz z jego bratem Erikiem i J.D. Vance'em, honorowymi współprzewodniczącymi swego zespołu odpowiadającego za przygotowanie przejęcia władzy w powyborczym okresie przejściowym. Nie była to jednak rola czysto honorowa – jak donosiła agencja Associated Press, Donald Jr. „należał do ścisłego ośrodka decydującego o nominacjach na najwyższe stanowiska w nowym Białym Domu, pozostawiając na nich swój wyraźny odcisk".

Co warte podkreślenia, podobnie jak pozostałe dzieci obecnego prezydenta Donald Jr. przejawiał wobec ojca dotychczas wzorową lojalność i dyskrecję, ciesząc się jednocześnie jego szczególnym zaufaniem, skutkującym m.in. nieoficjalnymi misjami, które mu się powierza.

Natomiast z rejestru życia osobistego o posmaku polityczno-celebryckim: po rozwodzie z modelką Vanessą Haydon, z którą ma pięcioro dzieci, Donald Jr. związał się ze starszą od siebie o osiem lat Kimberly Guilfoyle, ongiś żoną Gavina Newsoma w czasie, gdy ten był burmistrzem San Francisco, dziś gubernatora Kalifornii uchodzącego za najbardziej rozpoznawalnego przeciwnika Donalda Trumpa, z szansami na przyszłą prezydenturę z ramienia demokratów. Jej związek z Donaldem Jr. wprawdzie nie przetrwał próby czasu – para rozstała się w ubiegłym roku – niemniej Guilfoyle, od lat bliska klanu i zaangażowana w różne kampanie Trumpa, została przez obecnego prezydenta obdarzona posadą ambasador USA w słonecznej Grecji. Vanessa z kolei związała się niedawno z Tigerem Woodsem, zapewne ku uciesze dziadka, Kai może bowiem teraz ćwiczyć pod okiem jednego z najbardziej utytułowanych golfistów wszech czasów.

ŻYDOWSKI INWESTOR DYPLOMATĄ

W przypadku najstarszej córki Trumpa, Ivanki, mówiąc o wpływach, należałoby w pierwszym rzędzie wspomnieć o jej mężu Jaredzie Kuschnerze, grającym pierwsze skrzypce w polityce izraelskiej i bliskowschodniej Białego Domu za czasów pierwszej prezydentury Trumpa, który wrócił na scenę polityczną przy okazji żmudnego procesu zakończenia wojny w Gazie. Otóż urodzona w 1981 r. Ivanka w 2009 r. poślubiła Jareda, syna żydowskiego dewelopera z New Jersey, Charlesa Kuschnera, z którym ma troje dzieci. Co istotne, Ivanka przeszła na religię męża, tj. judaizm, co Donald Trump podkreślał z dumą, przemawiając niedawno w izraelskim Knesecie, budząc poklask publiczności, a jednocześnie zgrzyt u chrześcijan na świecie bądź co bądź zirytowanych podobną laudacją faktycznej apostazji.

eprasa.pl 46513f5f87

Warto w tym miejscu zrobić dygresję na temat przekonań religijnych całego rodu. Będąc w Egipcie, Napoleon wyraził przekonanie, że gdyby miał rządzić muzułmanami, stałby się wyznawcą islamu. Nie znając intencji ludzkich, na pierwszy rzut oka można by przypuszczać podobne pragmatyczne nastawienie u nestora rodu, skądinąd niezwykle pospolite u polityków, choć w jego przypadku rzeczywistość może być bardziej złożona. Donald Trump bezsprzecznie darzy judaizm szczerą sympatią, ale robi to być może przede wszystkim z sympatii do samych żydów, w tym do swojej rodziny.

Z kolei jego życzenia świąteczne – bożonarodzeniowe czy wielkanocne – bywają autentycznie chrześcijańskie i nawet bardziej katolickie niż kazania niejednego biskupia; i z pewnością darzy on katolicyzm, pierwotną religię swej żony i teściów, religię wielu swych najbliższych współpracowników oraz wielu Amerykanów, autentyczną życzliwością. Natomiast jego osobisty chrystianizm, w zasadzie ponad podziałami różnych denominacji protestanckich, oprócz ewidentnej elastyczności obyczajowej, jest jednak specyficzny – publicznie nie wstydzi się on deklarować, że nie przebacza wrogom, a w swych relacjach i świadectwach, jak wskazuje katolicki filozof Edward Feser, Trump wręcz promuje postawę nieustępliwego piętnowania swych wrogów, a nawet porzucił przyjaciół, którzy nie chcieli się odgrywać na swych wrogach. Otóż, jeśli tego typu postawa może być jak najbardziej słuszna u polityka wobec wrogów państwa i ładu państwowego (którego wrogowie nie są zatem osobistymi wrogami) i do pewnego stopnia dopuszczalna w biznesie, w ramach ostrej rywalizacji konkurencji, to – ma się rozumieć – nie można z niej wytyczyć zgodnej z Ewangelią zasady dla relacji międzyludzkich jako takich.

W każdym razie echo tej dwuznaczności odnajdujemy u Donalda Jr., który nie „nadstawia drugiego policzka", choć trudno oczekiwać, aby ktokolwiek pod bezpardonowym ciągłym obstrzałem, jak jego rodzina, bardziej łagodniał, niż twardniał wobec swych przeciwników.

Wracając do Ivanki, zajmująca się zarówno deweloperką, po ojcu, jak i kobiecą modą, po matce, za czasów pierwszej prezydentury Trumpa była jego starszym doradcą. Przede wszystkim to jednak jej mąż, Jared, był wówczas autorem Porozumień Abrahamowych mających za zadanie znormalizować stosunki krajów arabskich z Izraelem, i jest, obok Steve'a Witkoffa, również nowojorskiego dewelopera, obecnie specjalnego wysłannika prezydenckiego do spraw wojen wszelakich (ale przede wszystkim na Ukrainie i w Strefie Gazy), współautorem osiągniętego zawieszenia broni między Hamasem a Izraelem, przy udziale państw arabskich i Turcji, kończącego na razie (i na jak długo?) dwuletnią wojnę w Palestynie. Znamienne jest to, że małżeństwo Kuschnerów nie brało w ogóle udziału w trzeciej kampanii wyborczej Trumpa – z jednej strony para wycofała się z amerykańskiej polityki po zamieszkach na Kapitolu 6 stycznia 2021 r., z drugiej prawdopodobnie była to celowa strategia wizerunkowa sztabu w związku z rosnącymi w USA antyizraelskimi nastrojami na skutek polityki wojennej Beniamina Netanjahu w Gazie – eksponowanie wówczas Kuschnerów mogłoby jedynie rozsierdzić część elektoratu MAGA, nieprzepadającego za hasłem: „Po pierwsze Ameryka, ale najpierwszy Izrael".

Zarówno Kushnerowi, jak i Witkoffowi zarzuca się konflikt interesów w postaci miliardowych inwestycji krajów Zatoki Perskiej, których, jako pośrednicy i brokerzy, są beneficjentami

Sam Jared Kuschner, ogłoszony zresztą niedawno miliarderem, zajmuje się zatem na co dzień swoją firmą Affinity Partners, inwestującą w amerykańskie i izraelskie firmy, powrócił jednak na scenę polityczną wraz z negocjacjami mającymi zakończyć wojnę w Palestynie. Był w tym pewien paradoks – po osiągnięciu porozumienia Jared i Ivanka, wraz ze Steve'em Witkoffem, przemawiali na wiecu w Tel Awiwie, reprezentując prezydenta Trumpa i Amerykę, nie mając jednak jakiejkolwiek oficjalnej afiliacji w amerykańskiej administracji.

Zarówno Kushnerowi, jak i Witkoffowi zarzuca się zresztą konflikt interesów w postaci miliardowych inwestycji krajów Zatoki Perskiej, których, jako pośrednicy i brokerzy, są beneficjentami. Obydwaj odpowiadali jednak, że to właśnie ich głęboka sieć regionalnych powiązań umożliwiła dopięcie porozumienia i przywrócenia zaufania po tym, jak Izrael dokonał zamachu na negocjatorów Hamasu przebywających w Katarze – Trump umożliwił wówczas obu Amerykanom, wbrew przyjętym w USA zwyczajom dyplomatycznym, bezpośrednie negocjacje z Hamasem, celem zagwarantowania, że Izrael nie wyłamie się z opracowywanego porozumienia. Ta taktyka okazała się skuteczna, choć pokój w Gazie pozostaje niezwykle kruchy, będąc dopiero praktycznie na samym początku 20-punktowego planu Trumpa…

W regularną natomiast politykę, choć głównie prestiżową, w miejsce Jareda poszedł jego ojciec, Charles, również miliarder. Skazany w przeszłości za przestępstwa podatkowe i manipulowanie świadkami Charles Kuschner został w 2020 r. ułaskawiony przez Donalda Trumpa, a w 2023 r. okazał się wdzięcznie jednym z najhojniejszych darczyńców wyborczych, na poziomie miliona dolarów. Zobowiązany Trump mianował go z kolei ambasadorem USA we Francji (i wobec księstwa Monako), gdzie Kuschner zdążył już wywołać zgrzyt dyplomatyczny, krytykując brak adekwatnych działań francuskiego rządu wobec rosnącego w kraju antysemityzmu.

CICHY ERIC, GŁOŚNA LAURA

Eric Trump (urodzony w 1984 r.) zdaje się na pierwszy rzut oka najmniej przebojowym z dzieci Donalda Trumpa z jego pierwszego małżeństwa, choć odgrywa, obok Donalda Jr., kluczową rolę w zarządzaniu interesami rodzinnymi, dorywczo doradzając także ojcu w polityce. Eric jednak właśnie otworzył usta, a jego słowa usłyszała cała Ameryka – jego świeżo wydana książka „Under siege" („Oblężeni") opowiada o instrumentalizacji wymiaru sprawiedliwości w polowaniu na rodzinne imperium Trumpa celem jego politycznej anihilacji, która – jak wiadomo – skończyła się głośnym fiaskiem

eprasa.pl 46513f5f87

demokratów. Książka, która wyprzedaje się w okamgnieniu, jest obecnie bestsellerem numer jeden listy „New York Timesa", a promujący ją w wywiadach łagodny z pozoru Eric okazuje się zaskakująco ciętym polemistą i twardym charakterem.

Warto dodać, że oprócz klasycznych dla klanu Trumpów inwestycji nieruchomościowych Eric wraz ze starszym bratem nadzorują World Liberty Financial, platformę do wymiany kryptowalut, zarządzaną na co dzień przez Zacha Witkoffa, syna wspomnianego już Steve'a, i dwóch innych partnerów. W kontekście tej działalności oraz fluktuacji cen kryptowalut na skutek różnych deklaracji samego Donalda Trumpa krytycy imperium mówią o nieetycznym zacieraniu się granicy między polityką a finansami.

Pewne natomiast jest, że nieco inna granica – ta między polityką a mediami – jest bardzo cienka w przypadku małżonki Erica, Laury, z którą ma dwoje dzieci. Laura bowiem od 2021 r. współpracuje, choć z przerwami, z prawicową telewizją Fox News, gdzie prowadzi obecnie swój własny program, ale jeszcze w trakcie kampanii z 2024 r. była współprzewodniczącą Partii Republikańskiej, odpowiedzialną za pozyskiwanie funduszy i kontakt z wyborcami.

O wiele bardziej medialnie cicha i niezwiązana bezpośrednio z polityką jest natomiast Tiffany Trump (ur. 1993), zamężna z Michaelem Boulosem, synem libańsko-amerykańskiego miliardera Massada Boulosa, który w trakcie kampanii wyborczej zabiegał dla Trumpa o głosy społeczności arabskich w Ameryce. Jeśli teść Tiffany miał być pierwotnie w Białym Domu starszym doradcą Trumpa do spraw arabskich i Bliskiego Wschodu, to ostatecznie w kwietniu tego roku dostał tekę prezydenckiego doradcy do spraw Afryki – jak widać, w familii liczy się w pierwszym rzędzie lojalność, a stanowiska, w miarę potrzeb, dostosują się do ludzi, których główne doświadczenie w tym kręgu zazwyczaj wiąże się z operatywnością na rynku nieruchomości. Co ciekawe, matka Tiffany, Marla Maples, choć rozwiedziona z Trumpem od 1999 r., pośredniczyła z kolei w nawiązaniu sojuszu wyborczego między Trumpem a Robertem F. Kennedym, który okazał się dla obu doskonałym posunięciem. To bowiem z nią Kennedy skontaktował się tuż po zamachu na Trumpa w Butler, w lipcu 2024 r., prosząc o umożliwienie bezpośredniego kontaktu ze swoim ówczesnym oponentem w wyścigu wyborczym.

BARRON „OKTAWIAN"?

Na liście dzieci Trumpa pozostał nam jeszcze najmłodszy Barron, którego matka, Melania, w sposób szczególny chroniła od zgiełku polityki w trakcie pierwszej prezydentury jego ojca, a który w 2024 r. realnie przyczynił się do jego historycznego powrotu do władzy. Otóż to Barron radził i nalegał, aby jego ojciec udzielił wywiadów czołowym amerykańskim podcasterom, z Joe Roganem na czele, zważywszy na popularność, którą cieszą się u młodego pokolenia wyborców. Rzeczywiście, bardzo długie, swobodne wywiady, w których Trump odpowiadał na wszelakie pytania bez ograniczeń czasowych, budząc sympatię, uzyskały wtedy milionowe zasięgi. Natomiast sztab wyborczy jego rywalki podchodził do tego typu występów zbyt asekuracyjnie, obawiając się katastrofy wizerunkowej, i w konsekwencji stawiał zaporowe warunki, stąd ostateczne wrażenie było takie, że Kamala Harris ten odcinek wyborczego starcia o młodzież w Internecie oddała walkowerem. Ten ewidentny sukces Barrona w parze z pewną powagą tego młodzieńca o naturalnej dostojnej aparycji zrodził w Internecie wokół jego osoby legendę o młodym Oktawianie, który niemo obserwuje polityczną rzeczywistość, a pewnego dnia – najlepiej po dwóch kadencjach J.D. Vance'a, a potem kolejnych dwóch Marca Rubia – wymierzy sprawiedliwość za wszelkie krzywdy, które deep state wyrządził rodzinnemu imperium.

Trudno jednakże orzekać dziś cokolwiek o potencjalnym przejęciu politycznej schedy po ojcu przez jego dzieci. Wprawdzie Donald Jr. i Eric deklarowali w przeszłości możliwość zawalczenia o urząd prezydencki, jednakże jakikolwiek start prawyborczy z kandydatami wagi ciężkiej, pokroju właśnie Vance'a czy Rubia, oznaczałby niepożądane przepychanki i pranie brudów w ruchu MAGA, już i tak nadwyrężonego niejednoznaczną polityką samego Trumpa. Obaj synowie są jednak wystarczająco młodzi, aby poczekać na swoją chwilę, która równie dobrze mogłaby nadejść dopiero za kilka kadencji. Wszak, dla przypomnienia, George W. Bush zawitał do Białego Domu w 2001 r., po dwóch kadencjach Billa Clintona, z którym to walkę o reelekcję przegrał w 1992 r. jego ojciec, George H. Bush. Z kolei młodszy brat George'a Jr., Jeb Bush, walczył, ale bez powodzenia, o nominację w prawyborach republikańskich w 2016 r.

Wracając do obu najstarszych synów Trumpa: Czy zdecydowaliby się oni w tym czasie np. na karierę w Kongresie? W rzeczywistości nie mieliby ku temu motywacji finansowej, zważywszy na ich niezwykle korzystne położenie osobiste, a kariera kongresmenów, choć pozwala wypromować mało znanych polityków, nieuchronnie ich obciąża dokonywanymi stale wyborami oraz okolicznościowymi wypowiedziami. Oni zaś, aby zaistnieć na scenie politycznej, tej klasycznej ścieżki zaszczytów zupełnie nie potrzebują, stąd, podobnie jak ich ojciec, skazani są od razu na celowanie w najwyższe stanowisko prezydenta (lub wiceprezydenta) lub pozostanie na zawsze w bliskim otoczeniu kogoś, kto zdoła po tę władzę sięgnąć, być może z błogosławieństwem ich ojca.

Nie zmienia to faktu, że świetnie prosperująca dynastia Trumpów skapitalizowała znaczącą sieć wpływów o zasięgu międzynarodowym, stanowiącą – na dobre i na złe – kolosalny potencjał na przyszłość, cokolwiek ona przyniesie.

Wprawdzie Donald Jr. i Eric deklarowali w przeszłości możliwość zawalczenia o urząd prezydencki, jednakże jakikolwiek start prawyborczy z kandydatami wagi ciężkiej, pokroju Vance'a czy Rubia, oznaczałby niepożądane przepychanki i pranie brudów w ruchu MAGA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 46513f5f87

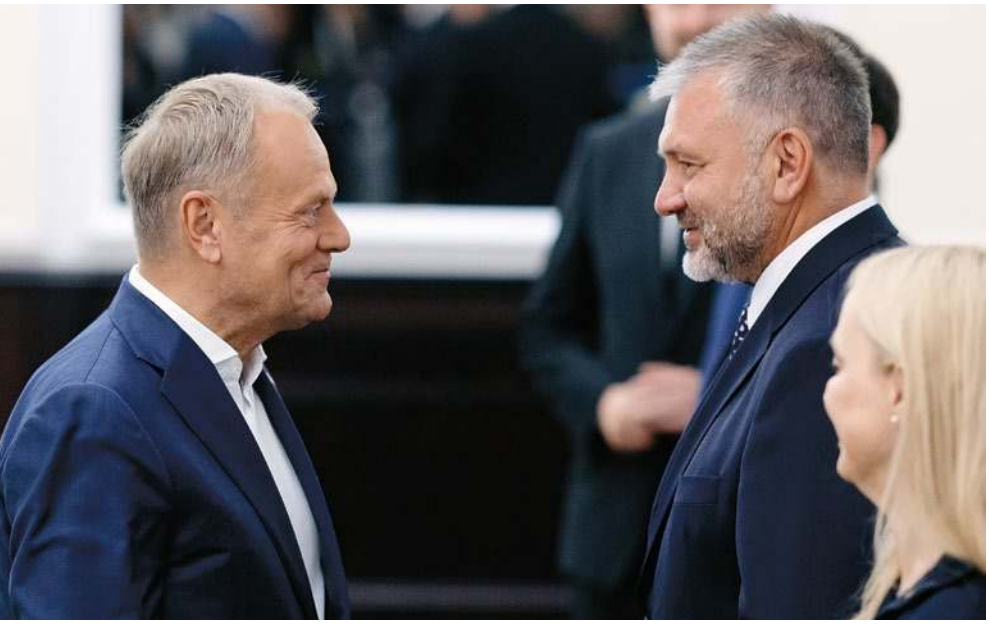

FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

Zemsta Tuska rękami Żurka

Rafał A. Ziemkiewicz

Donald Tusk już drugi raz stanął przed tym samym problemem: wygrał wybory, opowiadając niestworzone historie o nadużyciach PiS, a po przejęciu władzy okazało się, że nic takiego nie miało miejsca. A zatem nakazał: jak nic nie znajdziecie, to zmyślcie, ale zemsta musi się dokonać

Zemsta, zemsta, zemsta na wroga!" – skandują bohaterowie dramatu naszego narodowego wieszcza i gdyby nie fakt, że dalej jest o Bogu, pasowałoby to skandowanie idealnie do elit stojących za Donaldem Tuskiem. Można jednak dalszy ciąg sławnego cytatu sparafrazować: swego czasu w felietonie napisałem, że w wykonaniu formacji Tuska powinien on brzmieć „z sensem, a choćby i bez sensu".

Nie trzeba bowiem być prawnikiem, żeby stwierdzić, że ogłoszone z wielką pompą, jako ukoronowanie długotrwałych, wielowątkowych śledztw, akty oskarżenia tuskowej prokuratury przeciwko byłym ministrom, Michałowi Wosiowi i Zbigniewowi Ziobrze, to dokumenty wydmuszki. Nic więcej, niż tylko PR-owskie artefakty, służące wyłącznie wyprodukowaniu „faktu prasowego" i uruchomieniu usłużnych wobec rządu mediów, z całą czeredą dyżurnych „ekspertów" i „autorytetów", do agregowania propagandy: winni odpowiedzą za swe nadużycia! Skończyła się bezkarność, nie będzie w Polsce świętych krów! Każdy złodziej zostanie ukarany! Proces rozliczeń – jak to swego czasu mówił Waldemar Pawlak – trwa i trwa mać! Media, oczywiście, zgodnie z oczekiwaniem władzy, podchwytują temat i budują społeczną emocję, bo przecież z obsługiwania emocji żyją. I mało kto sięga do przyczyny wzmożenia, by stwierdzić, że sam pierwotny „news" jest „fake newsem".

RZECZYWISTOŚĆ ŻÓŁTYCH PASKÓW

Przedstawicielowi mojego pokolenia kojarzyć się to może z odebraną za młodu tresurą w marksizmie, który był ideologiczną podstawą PRL. Wtłaczano nam do głów, że to, i to, bo, jak udowodnili mełamedowie marksizmu, niezbicie wynika z takich a takich słów Marksa. I nikt, poza skrajnymi zakapiorami, do samego Marksa nie sięgał. Ale kto to zrobił, doznawał olśnienia, że Marks napisał coś zupełnie innego i cały ten wielki gmach marksistowskich akademii, kongresów i opracowań nie ma żadnych podstaw.

Polityczny przemysł, który zbudował Tusk na emocji „rozliczeń", funkcjonuje podobnie, odwołując się nie do faktów czy prawa, a do „żółtych pasków" w prorządowej telewizji i opinii wspomnianych ekspertów, zamienianych przez owe paski w powtarzane jako powszechnie znana prawda „faktoidy". Słowo „rozliczenia" biorę w cudzysłów, gdyż jest ono w tym propagandowym dyskursie używane fałszywie. Nie chodzi tu bynajmniej o rozliczanie czegokolwiek – ta czynność wymagałaby zaistnienia, a nie tylko zainsynuowania jakichś wymagających wyjaśnienia i ewentualnego wymierzenia sprawiedliwości deliktów. W dyskursie władzy zaś „rozliczenia" są propagandowym maskowaniem zwykłej, prymitywnej nienawiści, o charakterze – zdaniem większości komentatorów – plemiennym (z czym osobiście się nie zgadzam: w istocie ma ona charakter klasowy czy, mówiąc ściślej, klasistowski). Uczciwszy proporcje, równie sensownie byłoby mówić o „rozliczaniu" przez niemiecką NSDAP zbrodni żydowskich. Zbrodni, któ-

eprasa.pl 46513f5f87

re dla ówczesnych odbiorców mediów, nie tylko niemieckich i nazistowskich, były przecież oczywiste: Żydzi odpowiadali za wielki kryzys finansowy i powszechne zubożenie, za rewolucję bolszewicką, za zadanie niemieckiej armii zdradzieckiego „ciosu w plecy" w Wielkiej Wojnie, a także za stworzenie działającej globalnie „zorganizowanej grupy przestępczej", udokumentowanej dziennikarskim śledztwem, którego rezultaty – znane tak powszechnie, że niewymagające dalszych weryfikacji – opublikowano pt. „Protokoły mędrców Syjonu".

PRAWNA EKWILIBRYSTYKA

Jeśli ktokolwiek uważa, że przesadziłem, porównując mechanizm racjonalizowania antysemickiej nienawiści tamtych czasów z mechanizmem racjonalizowania instynktu zemsty zakwestionowanych elit III RP na tych, którzy tak mocno je swego czasu nastraszyli, może bez trudu zweryfikować sprawę u źródeł. O ile bowiem stronnictwo tuskowe poprzestaje na mnożeniu bardzo emocjonalnych haseł i obrazowych porównań (na czele ze zrównaniem przez ministra Żurka Zbigniewa Ziobry z Alfonsem Capone), o tyle opozycja stara się nagłośnić, jakie konkretnie zarzuty kryją się pod owymi okrzykami. Nie jest to wdzięczne zadanie, ponieważ akty oskarżenia, wciąż zresztą tylko ogłoszone, a nie przyjęte przez żaden sąd, liczą sobie po kilkaset stron, pełne są żargonu i utopione w celowo powikłanej retoryce, mającej ukryć faktyczną nicość efektów „wielowątkowych śledztw". Niemniej na profilach internetowych stowarzyszeń Ad Vocem czy Ordo Iuris oraz na osobistych profilach opozycyjnych prawników, takich jak mecenas Bartosz Lewandowski, znajdzie każdy dokładne, prawnicze omówienia wyprodukowanych w prokuraturze zarzutów. Na użytek tego tekstu ograniczę się do stwierdzenia, że bazują one na wymyślonej na użytek „rozliczeń" figurze „korzyści politycznych", których osiąganie kreatywny prokurator Tuska uznał za jednoznaczne z osiąganiem „korzyści osobistych".

Na mocy tej innowacyjnej, nieznanej nie tylko polskim, lecz także żadnym na świecie kodeksom wykładni polityk, który zadysponował publiczne pieniądze na publiczne cele, jeśli zdaniem prokuratury realizacja tych celów przyniosła mu „korzyść polityczną" (cokolwiek to znaczy), może być oskarżony o ich zagarnięcie, tak jakby wsadził te pieniądze do własnej kieszeni. Na tej właśnie zasadzie Marcin Romanowski za zakup z Funduszu Sprawiedliwości wozów strażackich dla OSP, Michał Woś za zakup z tegoż samego funduszu systemu Pegasus dla CBA oraz sam Zbigniew Ziobro za sfinansowanie z budżetu ministerstwa remontu i przebudowy budynku prokuratury oskarżeni zostali przez rząd Tuska nie o niegospodarność – co miałoby pozór sensu, ale nie byłoby wystarczająco spektakularne jak na potrzeby kampanii propagandowej „postępu rozliczeń" – ale właśnie o użycie funduszy publicznych dla osiągnięcia osobistej korzyści politycznej. Pozostałe dziesiątki stron zarzutów wywiedzionych z tego podstawowego – nadużycia władzy, poświadczanie nieprawdy, działanie w zorganizowanej grupie przestępczej etc. – to już tylko wtórne racjonalizacje, nabudowywane na oczywistym fałszu w podobny sposób, w jaki partyjne akademie marksizmu-leninizmu wywodziły legitymizację kolejnych działań partii komunistycznej z nieistniejących w istocie wskazań Marksa.

Czy Tusk ma siłę, aby przekuć fikcję aktów oskarżenia w procesy, w których, jak za Stalina, w oczywisty sposób absurdalne zarzuty byłyby „udowadniane" przez „zaufanych" sędziów?

W przygotowaną zawczasu dramaturgię ogłaszania kolejnych etapów „rozliczenia" wpadł, z pozoru, istny dar niebios (a raczej: portalu wirtualnapolska i redaktora Jadczaka) – autentyczny skandal, sprzedaż w ostatnich dniach rządów PiS 160-hektarowej działki niezbędnej w projekcie CPK zaprzyjaźnionemu z ówczesnym ministrem biznesmenowi. Charakterystyczne, że ten skandal, prawdziwy, potraktowany został na tle zmyślonych zdawkowo. Donald Tusk oznajmił (kłamliwie, co łatwo udowodniono), że prokuratura bada sprawę już od dawna i „też" doczeka się ona wyjaśnienia, dorzucił kilka antypisowskich bon motów – i tyle, cały aparat władzy pozostał nadal skupiony na Ziobrze. Nietrudno domyślić się dlaczego: biznesmen, jak szybko sprawdzono, okazał się równie zaprzyjaźniony z obecną władzą, której sponsorował kampanie wyborcze i Campus Polska.

ZEMSTA MUSI SIĘ DOKONAĆ

Trudno o bardziej dobitne podkreślenie, jak bardzo „rozliczenia" oderwały się od oczekiwań uzdrowienia życia publicznego i zabrnęły w – raz jeszcze użyjmy słów wieszcza – „rajską dziedzinę ułudy". Donald Tusk już drugi raz stanął przed tym samym problemem: wygrał wybory, opowiadając niestworzone historie o nadużyciach PiS, a po przejęciu władzy okazało się, że nic takiego nie miało miejsca. Po roku 2007, kiedy kilkadziesiąt uruchomionych z hukiem prokuratorskich śledztw i prace dwóch sejmowych komisji nic nie dały, Tusk się cichcem wycofał – na co mógł sobie pozwolić, bo trwała świetna koniunktura, przekładająca się przez długi czas na zadowolenie z jego rządów. Post factum uznano to w jego kręgu za „zaniechanie, przez które PiS wrócił do władzy". Teraz Tusk nakazał: jak nic nie znajdziecie, to zmyślcie, ale zemsta musi się dokonać.

Pytanie, czy Tusk ma siłę, aby przekuć fikcję aktów oskarżenia w procesy, w których, jak za Stalina, w oczywisty sposób absurdalne zarzuty byłyby „udowadniane" przez „zaufanych" (jak to ujął minister Żurek) sędziów, a sprokurowane w ten sposób wyroki egzekwowano? Czy pompowany propagandowo balon „rozliczeń" pęknie w pewnym momencie – w zderzeniu z prawdziwym sądem, albo np. w chwili, kiedy Tusk zdoła załatwić sobie jakieś stanowisko i immunitet w UE, pozostawiając wykonawców zleconej brudnej roboty samym sobie? Czy zapamiętamy Tuska jako autokratę, który zdołał zniszczyć polską demokrację i suwerenność, przy okazji zmuszając Europę do zrzucenia maski i otwartego wsparcia dla krańcowego bezprawia oraz nieskrywanego podboju suwerennego kraju rękami lokalnych kolaborantów – czy tylko jako wielkiego oszusta i pajaca?

Nie traćmy nadziei, że jednak to drugie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 46513f5f87

Z prof. Henrykiem Domańskim, socjologiem z Polskiej Akademii Nauk
rozmawia Ryszard Gromadzki

Ataki PiS na Konfederację są zrozumiałe

RYSZARD GROMADZKI: Czy po październikowych konwencjach Prawa i Sprawiedliwości oraz Koalicji Obywatelskiej można mówić, że ugrupowania Kaczyńskiego i Tuska osiągnęły upragniony efekt konsolidacji?

PROF. HENRYK DOMAŃSKI: Takie było założenie obu tych konwencji. Bardziej jeśli chodzi o Koalicję Obywatelską, bo po pierwsze, dokonało się formalne połączenie z Platformą dwóch elementów składowych KO, tzw. przystawek, a także poszedł przekaz, że partia pod przywództwem Tuska ma się dobrze pomimo przegranych wyborów prezydenckich, odnosi sukcesy i wciąż ma zdolność przyciągania innych sił politycznych, czego dowodem jest zjednoczenie z dwiema mniejszymi partiami. Po drugie, konwencja miała podziałać mobilizująco na elektorat, pokazać mu, że Koalicja Obywatelska jest gotowa do kolejnej „bitwy o Polskę", czyli wyborów parlamentarnych w 2027 r., i nie ustąpi. Tusk wie, że sama Platforma wyborów nie wygra, dlatego obsesyjnie odwołuje się do idei bloku politycznego, który będzie walczył z PiS o zwycięstwo. Konsolidowanie tego bloku było więc głównym przesłaniem wydarzenia w Warszawie.

W wypadku konwencji Prawa i Sprawiedliwości chodziło o coś innego. Było to symboliczne otwarcie kampanii wyborczej, oparte na trwałych, substantywnych podstawach. Mam na myśli panele tematyczne, które miały miejsce w trakcie konwencji, gdzie w przeciwieństwie do konwencji Koalicji Obywatelskiej dyskutowano o konkretnych działaniach, które trzeba podjąć na rzecz rozwiązania problemów, z którymi borykają się gospodarka, finansowanie państwa czy funkcjonowanie systemu prawnego. Było to zarysowanie programu wyborczego dostosowanego do obecnych realiów. To podstawowa różnica między obydwoma konwencjami.

Wielu komentatorów, wcale niezwiązanych z obozem rządzącym, zwracało uwagę, że konwencja PiS w Katowicach była raczej teatrem pozorów, a debata, która się podczas niej toczyła, była jakościowo zdecydowanie słabsza niż ta, która miała miejsce w 2015 r. Konwencję zdominowali partyjni rutyniarze, których wystąpienia nie mogły wnieść nic nowego. Czy PiS dramatycznie nie doskwiera zużycie przywództwa, brak świeżej krwi?

Nie wiem, nie śledziłem konwencji w Katowicach aż tak dokładnie. Byłem tam zaproszony w roli panelisty, ale z powodu choroby nie mogłem w niej uczestniczyć. A z tą „świeżą krwią" sprawa jest skomplikowana. Konwencja nie była przecież castingiem kandydatów do nowego przywództwa w PiS, nie po to ją zorganizowano. Chodziło przede wszystkim o sformułowanie podstaw programowych dostosowanych do rzeczywistości, niezbędnych do budowy programu politycznego, który byłby wdrażany przez PiS. W przeciwieństwie do Koalicji Obywatelskiej, która żadnego programu nie ma i nawet nie próbuje go stworzyć. Co do „świeżej krwi", to nie oczekiwałem, że efektem konwencji będzie wskazanie wprost następcy Jarosława Kaczyńskiego. Prezes Kaczyński zdaje sobie sprawę, że czas jego przywództwa w PiS powoli dobiega końca, i wie, że sprawowanie dożywotniej kontroli nad partią nie ma sensu.

Skoro tak jest, to dlaczego wciąż nie może zdecydować się na przekazanie władzy? Czy wynika to z obawy, że wskazanie następcy doprowadziłoby do rozpadu PiS spowodowanego walką frakcji?

Chodzi mi o to, że konwencja to co innego, niż kiedy Jarosław Kaczyński rozmawia w kuluarach i wysyła różne sygnały. Kiedy spotyka się z kimś w siedzibie PiS na Nowogrodzkiej i uzasadnia, że jego najlepszymi następcami byliby… i tu padają dziś dwa nazwiska: Przemysława Czarnka i Mateusza Morawieckiego. Zakulisowe rozmowy mają jednak zupełnie inną siłę sprawczą niż usankcjonowanie wyboru podczas konwencji. Trudno sobie wyobrazić, że w przemówieniu zamykającym konwencję Kaczyński powiedziałby: „Kończąc, chciałbym jeszcze nadmienić, że moim następcą będzie Morawiecki czy Czarnek". Nic o tym nie wiemy, ale być może takie rozmowy były prowadzone i takie sygnały były wysyłane. Więc z tą „świeżą krwią" sprawa jest bardzo skomplikowana. Odnotowałbym, że zaplecze PiS, jeśli chodzi o potencjalnych następców Jarosława Kaczyńskiego, jest nieporównywalnie lepsze niż w przypadku Donalda Tuska, gdzie takich następców w ogóle nie ma i być nie może. Z oczywistych powodów.

Przyjmując, że konwencja PiS w Katowicach była dla wyborców tego ugrupowania sygnałem konsolidacji, to czy tego efektu natychmiast nie pogrzebał, mówiąc żargonem piłkarskim, „samobój" związany z aferą KOWR? Jeśli potwierdzą się okoliczności sprzedaży gruntów, na których miałyby zostać ulokowane strategiczne inwestycje Centralnego Portu Komunikacyjnego, to postawi to PiS w bardzo złym świetle.

Prawdopodobnie takie były pierwsze reakcje odbiorców stacji telewizyjnych czy radiowych. Czynnikiem neutralizującym negatywne konsekwencje tej sprawy są reakcje przywódców PiS. Zawieszenie byłego ministra rolnictwa Roberta Telusa

eprasa.pl 46513f5f87

i jednego z jego zastępców w prawach członków partii i zapowiedź powołania specjalnej, wewnętrznej komisji w PiS dla zbadania „afery", to reakcja natychmiastowa. Poza tym cała sprawa nie jest tak jednoznaczna, jak przedstawiają ją media prorządowe. Przede wszystkim nie musi być tak, że były szef resortu rolnictwa i wiceminister w tym resorcie bezpośrednio czerpali korzyści z tej sytuacji, czyli nie musiało dojść do aktu namacalnej korupcji, co zawsze jest najbardziej negatywnie oceniane przez opinię publiczną. W dodatku po kilkunastu godzinach wiceprezes Dawtony ujawnił, że KOWR miał prawo odkupu działki po tej samej cenie. Dlaczego ekipa Tuska z tego nie skorzystała, żeby przyspieszyć prace związane z CPK? Myślę, że nie poprawi to notowań Prawa i Sprawiedliwości, ale nie sprawi też, że wzrosną notowania KO.

Od wielu tygodni PiS i Konfederacja bezpardonowo się atakują. Czy ten podsycany ciągle konflikt nie przekreśla perspektywy ewentualnej koalicji obu ugrupowań po wyborach parlamentarnych w 2027 r.?

Jeśli chodzi o Prawo i Sprawiedliwość, to te ataki są zrozumiałe, bo do tej pory to PiS uchodził i prawdopodobnie nadal ma takie przekonanie, że on dominuje na prawej stronie sceny politycznej. Pojawienie się konkurenta, mimo wszystko dość nagłe, pomimo że sukcesy sondażowe Konfederacji trwają od jakichś dwóch lat, powoduje, że należy go zwalczać. Ponadto PiS zdaje sobie sprawę, zwłaszcza po wypowiedziach Mentzena pod adresem prezesa Kaczyńskiego, że posiadanie takiego koalicjanta byłoby jeszcze gorszą sytuacją niż w 2007 r., kiedy PiS rządził z Samoobroną i Ligą Polskich Rodzin. Tu akurat partia Jarosława Kaczyńskiego ma sprawdzone doświadczenia i są one bardzo zniechęcające. Można chyba powiedzieć, że nawet Samoobrona i LPR nie były wobec PiS tak agresywne jak Konfederacja.

Agresja Konfederacji wobec PiS, o której pan mówi, może wynikać z przekonania, że w istocie to partie Kaczyńskiego i Tuska stoją na straży układu zawartego przy Okrągłym Stole i bez detronizacji PiS nic w Polsce nie da się zmienić?

Przywódcy Konfederacji w większości są młodymi ludźmi, więc działa tu na pewno efekt pokoleniowego radykalizmu, co sprawia, że wydaje im się, że mogą wszystko i to oni ostatecznie wygrają. Z tego bierze się bezkompromisowy charakter ich wypowiedzi, niebranie pod uwagę konsekwencji tego, co się deklaruje. Działa tu także pewnego rodzaju nieracjonalność czy brak wyobraźni, który przejawia się w dążeniu do podkreślania własnej samodzielności i podmiotowości politycznej, a w konsekwencji przekonania, że będą sami mogli realizować to, co głoszą. Na przykład likwidację etatystycznego ich zdaniem państwa PiS czy przyjęcie kursu w stronę nieskrępowanego kapitalizmu wolnorynkowego, momentami w wydaniu XIX-wiecznym, zupełnie nieprzystającego do rzeczywistości. Nazwałem to nieracjonalnością, ale są młodzi, więc może rzeczywiście w to wierzą. W dodatku Mentzen jest przedsiębiorcą, dlatego pewnie tym bardziej wierzy w sens ograniczenia zadań rządu do roli „nocnego stróża". Jakby nie brali pod uwagę, że forsowany przez nich model kapitalizmu wolnokonkurencyjnego jest nie do zaakceptowania przez większość społeczeństwa. Kiedy na drugi plan zejdzie jeszcze kwestia ukraińska, bo w końcu nastąpi jakieś zawieszeni broni, co pociągnie za sobą uporządkowanie napływu Ukraińców do Polski, i zostaną zrealizowane postulaty Konfederacji, które niosły ją do sukcesu, jej rzeczywista siła polityczna zostanie zweryfikowana – raczej na jej niekorzyść.

Trzeba być dużym optymistą, żeby zakładać, że kwestia ukraińska w Polsce zostanie rozwiązana do wyborów w 2027 r.

Problem ukraiński być może nie rozwiąże się w ciągu dwóch lat, choć wszystko jest tu możliwe. Mam na myśli wojnę oczywiście. Ale się opatrzy w świadomości społeczeństwa polskiego, bo to się już dokonuje. Ludzie przestają epatować traktowaniem Ukrainy jako obrońcy naszych interesów i granic przed Rosją. A przede wszystkim coraz to różne partie – z wyjątkiem Lewicy – włączają się do krytykowania obecności Ukraińców w Polsce i kosztów z tym związanych. Nawet premierowi Tuskowi i niektórym politykom Platformy przytrafia się taka krytyka, nie mówiąc już o PiS. Z tego punktu widzenia oczekiwania Mentzena, być może także Bosaka, należy traktować jako wygórowane.

Na scenie politycznej, na prawo od Konfederacji, jest jeszcze jeden gracz, Konfederacja Korony Polskiej. W ostatnim sondażu CBOS partia Grzegorza Brauna wyraźnie przekroczyła pułap 9 proc. poparcia. Jeśli ten wynik potwierdziłby się w wyborach parlamentarnych, to zapewniłby Koronie 40–50 mandatów w Sejmie, a tym samym istotny wpływ na polską politykę.

W moim przekonaniu wynik Korony na poziomie powyżej 9 proc. jest nieprawdopodobny. Według jeszcze bardziej „ostatniego" badania IBRiS wynosi on 5,5 proc. Śledzę rozkłady zmiennych (cech) identyfikujących respondentów w komunikatach CBOS. Próby, na których przeprowadzane są jego badania, nadreprezentowane są w kategoriach, które sprzyjają takim radykalizmom. Jeżeli do Sejmu rzeczywiście trafiłaby tak liczna reprezentacja Korony, to bez względu na to, czy rządziłby PiS czy Platforma, wszystkie głosowania byłyby na korzyść strony prawicowej. Dla praktyki rządzenia byłoby to o tyle istotne, że osłabiłoby to siłę Prawa i Sprawiedliwości, ponieważ Braun jest człowiekiem bezkompromisowym i pewnie chciałby realizować swoją politykę. Ponadto trzeba pamiętać, że nie stoi za nim żadna struktura partyjna. Sukcesy Brauna biorą się z tego, że to on sam cieszy się sympatią czy wręcz estymą ze strony pewnej części społeczeństwa. Jego wystąpienia w kampanii prezydenckiej przysporzyły mu wielu zwolenników. Ale brakuje mu zaplecza w postaci organizacji, które dawałoby siłę polityczną.

Ale taki spontaniczny ruch społeczny wokół Brauna właśnie się tworzy. Lider Korony nazywa go „szerokim frontem gaśnicowym".

Byłbym sceptyczny co do skuteczności poczynań frontu Korony. Ten mechanizm można porównać do kształtowania się Polski 2050, która też miała przywódcę, dzięki któremu ta formacja odnosiła sukcesy, osiągając w niektórych sondażach ponad 20 proc. poparcia, ale nie stała za nią żadna siła polityczna. Był to jeden z czynników obniżenia się preferencji wyborczych dla tej partii do poziomu 1–2 proc. Myślę, że podobnie może być z Braunem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Henryk Domański
– socjolog, profesor nauk humanistycznych, były dyrektor Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk.

eprasa.pl 46513f5f87

Niemieckie puzzle

Andrzej Krzystyniak

Państwo polskie nie chce dostrzec niemieckiego rewizjonizmu. Ziemie Odzyskane nie były prezentem od Niemców, jak by nam wmówić chcieli niektórzy z niemieckich polityków. Nasi zachodni sojusznicy nigdy z nich nie zrezygnują

Całkiem niedawno sporą część polskiej opinii publicznej oburzyła wiadomość, że w Gliwicach delegacja niemieckich parlamentarzystów spotka się z uczniami tamtejszych szkół w celu upamiętnienia „wypędzonych Niemców". Oburzenie niektórych komentatorów stanowiło sygnał, że właśnie przekroczona została pewna niebezpieczna granica, bo oto w Polsce Niemcy upamiętnią wraz z polską młodzieżą „krzywdę" wysiedlenia po 1945 r. Nic bardziej mylnego, ta granica, niebezpieczna dla integralności polskiego państwa, została już dawno przekroczona. Niemcy nigdy nie zapomnieli o utraconych na rzecz Polski swoich wschodnich terenach, oficjalnie nazywanych do niedawna w Polsce Ziemiami Odzyskanymi.

Dorobek zespolenia tychże terenów jest od czasów odzyskania przez Polskę niepodległości – cóż za paradoks – zwyczajnie marnotrawiony. Na Ziemiach Odzyskanych od kilkunastu lat trwa przywracanie, a wręcz wynoszenie na piedestał niemieckiej historii, ukazywanie wyższości niemieckiej kultury nad „polskim zacofaniem". Ujawnianie rzekomych polskich represji na autochtonach. Przykładem może być Śląsk, gdzie „regionaliści" wprost oskarżają państwo polskie o represje na autochtonach po 1945 r.

Oczywiście tak się dzieje nie tylko na Śląsku. Coroczne upamiętnianie niemieckich ofiar przez polskie władze wraz z, rzecz jasna, przedstawicielami Niemiec ma miejsce w Gdyni, gdzie odbywają się uroczystości ku czci ofiar zatopionego przez Sowietów okrętu niemieckiej marynarki wojennej Wilhelm Gustloff.

Skuteczność i swoboda działalności na obszarze Polski niemieckich związków i stowarzyszeń muszą zadziwiać. Czasami już samo ich nazewnictwo budzi w Polakach niemiłe skojarzenia, jak np. stowarzyszenie pn. Ziomkostwo Prus Wschodnich, działające na terenie Warmii i Mazur. Na stronie internetowej organizacji możemy dowiedzieć się m.in., że Ziomkostwo Prus Wschodnich (Landsmannschaft Ostpreußen) zrzesza wypędzonych i przesiedlonych mieszkańców Prus Wschodnich, ich potomków, późnych przesiedleńców oraz ludzi, którzy czują się związani z Prusami Wschodnimi oraz ich dziedzictwem kulturowym. Stowarzyszenie składa się z 38 wspólnot powiatowych (Kreisgemeinschaften), które odpowiadają wschodniopruskim powiatom, i 16 grup w niemieckich landach (Landesgruppen). Główna siedziba organizacji znajduje się w Hamburgu.

W roku 2020, czyli w stulecie plebiscytu na Warmii i Mazurach (wygranym przez Niemcy), Ziomkostwo organizowało uroczystości upamiętniające, wraz z konferencją naukową, choć ze względu na panującą wówczas pandemię wydarzenie miało charakter wyłącznie internetowy. Podczas wykładów mogliśmy dowiedzieć się m.in. o niesprawiedliwym „podziale Niemiec" po 1945 r. na „żądanie Józefa Stalina". Niesprawiedliwym, rzecz jasna, bo niebiorącym pod uwagę wyników plebiscytu z 1920 r. Dodajmy, że głównymi zadaniami biura Ziomkostwa Prus Wschodnich w Olsztynie są pielęgnacja wschodniopruskiego dziedzictwa kulturowego, wspólnej tożsamości wszystkich mieszkańców Prus Wschodnich oraz bliska współpraca ze stowarzyszeniami mniejszości niemieckiej w regionie.

W niemieckiej opowieści dotyczącej polskich Ziemi Odzyskanych można dostrzec przemycaną dosyć drobiazgowo narrację o wyższości cywilizacyjnej Niemiec względem Polski i Polaków. Zacofanie, brak przemysłu i niczym nieuprawnioną chęć zagrabienia niemieckich ziem, która towarzyszy Polakom od końca drugiej wojny światowej. Karolina Kuszyk, w książce „Poniemieckie", opisuje, jak po 1945 r. Polacy osiedlali się na Ziemiach Odzyskanych albo raczej jak poprzez pozostawione przez Niemców przedmioty codziennego użytku zetknęli się po raz pierwszy z „wyższym rozwojem cywilizacyjnym".

W wywiadzie udzielonym w 2019 r. „Deustche Welle" opowiada, że „ostateczny impuls do pracy nad książką dała jej duża miska, która świetnie sprawdzała się w domowej kuchni. Nigdy nie zwróciliśmy uwagi na to, że na jej odwrocie jest fabryczny stempel z małą swastyką. Dopiero mój mąż, Niemiec, zobaczył ją kiedyś przez przypadek i mocno się zdziwił, bo naczynia ze swastykami są w normalnym niemieckim domu nie do wyobrażenia, natomiast w polskim domu jakoś ta miska się uchowała". Trudno o lepszy komentarz dla polskiego zacofania, gdzie nawet niemiecka miska z „małą swastyką" okazała się nie do zastąpienia w polskim domu.

Z innego z wywiadów udzielonego portalowi Kulturforum przez autorkę książki „Poniemieckie" pod znamiennym tytułem „Das Deutsche erbe ist Hoch im Kurs", czyli „Niemieckie dziedzictwo jest wysoko cenione", dowiemy się, jak to Niemcy pozostawili wiele przedmiotów codziennego użytku od mebli po sztućce, bez których polscy osadnicy nie byliby w stanie przetrwać.

NIE DO POMYŚLENIA

Wyobraźmy sobie coś, co jest dziś nie do pomyślenia: że w Niemczech jakiś naukowiec, historyk itp. opublikuje książkę, w której opisze, jak Niemcy wykorzystali zrabowane w Polsce w czasie okupacji dobra – a z samej Warszawy wywieźli ponad 40 tys. wagonów różnorakich zrabowanych Polakom dóbr – nie tylko dzieła sztuki, lecz także takie przedmioty jak np. sztućce czy porcelana. Opisze również, jak przypadkiem natknął się na jakiś banalny w sumie przedmiot pochodzący z Polski, podczas wizyty u znajomych czy rodziny. Oczywiście będzie to naukowiec zatrudnio-

eprasa.pl 46513f5f87

ny w jakiejś polskiej placówce badawczej jako tłumacz literatury czy też historyk.

Niestety, nic takiego nie będzie miało miejsca. Państwo polskie nie potrafi nawet w małym procencie pochwalić się tym, jak podźwignęło z ruin zniszczone wojennym niemieckim szaleństwem miasta, takie jak: Wrocław, Gdańsk, Szczecin, gdzie chyba trudno było wśród ruin i zgliszcz o niemieckie przedmioty zdatne do użytku, a przywrócenie godnego życia, rozwoju, by nie rzec cywilizacji, zależało od Polaków.

Jednak „rozwój" polskich ziem zachodnich do dzisiaj leży na sercu niemieckiemu państwu. Wspólne programy, współpraca, jednoczenie się gospodarcze i kulturowe regionów trwają w najlepsze od wielu już lat. Przy czym nietrudno zauważyć, że to strona polska występuje raczej w roli petenta, pretendującego do partnerstwa dla zasobniejszego sąsiada. Wspólna Koncepcja Przyszłości dla polsko-niemieckiego obszaru powiązań, w skrócie Wizja 2030, to dokument powstały w 2016 r., który jest „przykładem bardzo efektywnych i obiecujących planów polsko-niemieckiej współpracy" i określa ich realizację w 2030 r. Jednak po bliższej analizie zwraca uwagę, że zawarte projekty służą raczej przyłączeniu i coraz to bliższej współpracy polskich regionów pogranicza z Niemcami niż odwrotnie. Co bardziej przenikliwi mogliby dosyć trafnie uznać, że chodzi o podporządkowanie polskich regionów niemieckim interesom.

NIEMCY NIE ZREZYGNUJĄ

Na polu kulturowym ciekawym zjawiskiem jest fakt, jak wyjątkowo sprawnie na Ziemiach Odzyskanych prowadzona jest dekomunizacja, przeprowadzana często bez głębszej refleksji. O ile potrzeba usunięcia komunistycznych symboli z przestrzeni publicznej jest w Polsce bezdyskusyjna, o tyle należy sobie zadać pytanie, czy na ziemiach zachodnich komunistyczne symbole „braterstwa broni polsko-radzieckiego" w przypadku ich rozmontowania nie wytworzą luki zapełnianej później przez upamiętnianie wspomnianych ofiar zatopienia okrętów niemieckiej marynarki typu „Steuben"? Czy w związku z tym nie znaleźliśmy się między młotem a kowadłem?

Profesor Adam Wielomski w reakcji na usunięcie pomnika „polsko-radzieckiego braterstwa broni" w Płotach na Pomorzu Zachodnim stwierdził na platformie X: „Akurat, gdyby nie Armia Czerwona, to Pomorze Zachodnie by do Polski nie należało. To był pomnik zdobycia zbrojnego tych ziem dla Polski". Można z tym stwierdzeniem polemizować, natomiast w drugiej części wpisu prof. Wielomski zawarł twierdzenie, któremu trudno odmówić trafności: „Takie działania służą delegitymizacji ziem zachodnich dla polskości, a tym samym służą niemieckiemu rewizjonizmowi". Rewizjonizmowi, którego, dodajmy, państwo polskie nie chce dostrzec. Polska zapłaciła słono za Ziemie Odzyskane przemarszem Armii Czerwonej. Nie było to bynajmniej wyzwolenie, nie były również Ziemie Odzyskane prezentem od Niemców, jak by nam wmówić chcieli niektórzy z niemieckich polityków. Jak widać jednak po niemieckich działaniach na polu gospodarczym i kulturowym, nasi zachodni sojusznicy nigdy z nich nie zrezygnują.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

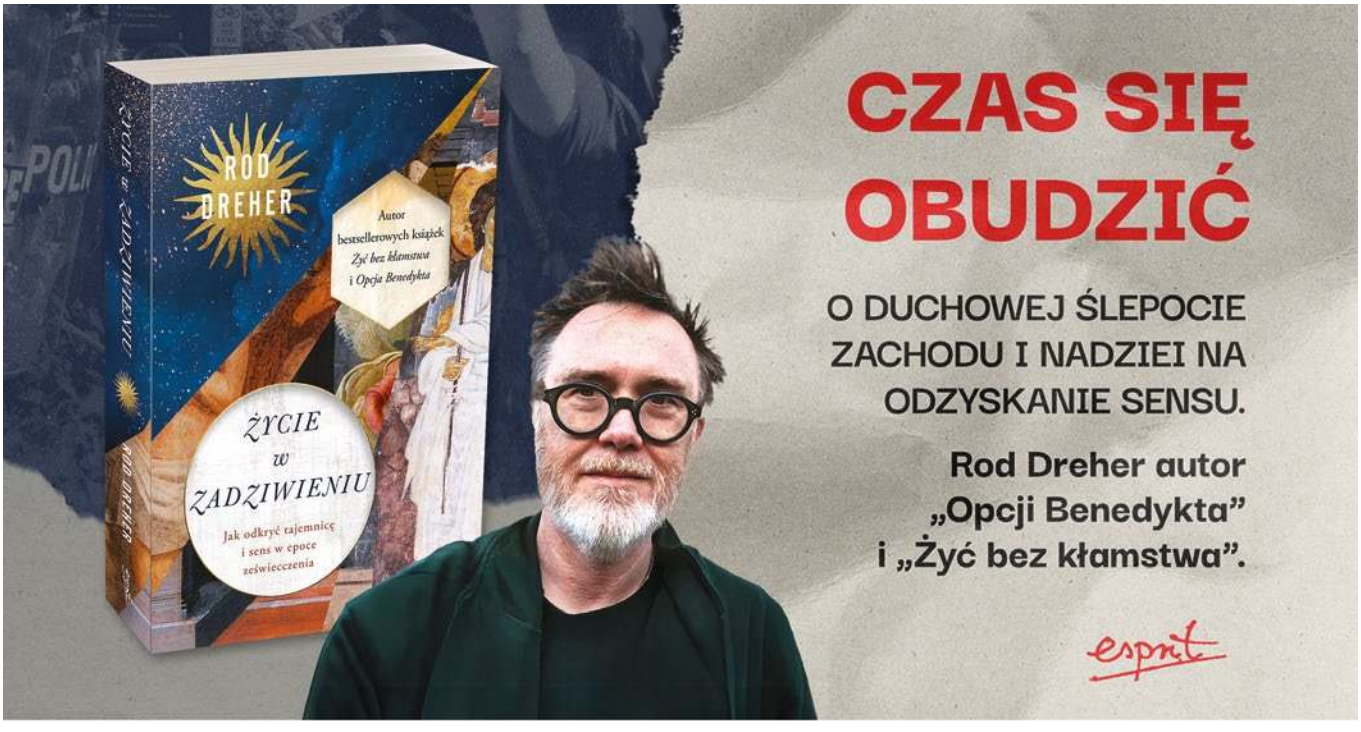

Zamów na **www.esprit.com.pl** lub pod numerem telefonu: **12 262 35 51**

eprasa.pl 46513f5f87

FOT. WOJCIECH OLKUSNIK/EAST NEWS

Prosto z krzaka

Radosław Wojtas

Przyjedź i weź, ile tylko potrzebujesz. Za darmo. Byle się nie zmarnowało. Dramatycznie niskie ceny skupu niektórych owoców i warzyw sprawiają, że rolnicy rezygnują ze zbiorów i oddają owoce swojej ciężkiej pracy za darmo. Ale samozbiory mają także drugie oblicze. To dobry model biznesowy, który producentom gwarantuje wyższy zysk niż w hurtowym skupie, a odbiorcom – znacznie niższe ceny niż w dyskontach, gwarancję pochodzenia i świeżości oraz kontakt z naturą. Moda przyszła z Zachodu

W ciągu kilku pierwszych dni października niewielkie Gałkowice pod Sandomierzem odwiedziły setki ludzi. – Przyjeżdżali nawet z Czech i ze Słowacji, z Pomorza, Zakopanego i Wrocławia – mówił Maciej Siekiera, rolnik, który w Gałkowicach ma dużą, ponaddwuhektarową plantację papryki przemysłowej. I to właśnie papryka była powodem całego zamieszania. Pan Maciej stanął w tym roku przed trudnym wyborem: zebrać plony i spróbować sprzedać, zostawić i pozwolić, żeby zgniły, czy rozdać, ile tylko się da. Policzył, że decydując się na opcję numer jeden, sporo do interesu dołoży – na opłacenie dniówki pracownika trzeba w tym roku sprzedać 500 kg papryki. Nie chciał, by warzywa się zmarnowały. Ile tylko się dało, tyle zebrał własnymi siłami, bez zatrudniania ludzi, a resztę postanowił rozdać. Ogłosił więc w Internecie, że każdy może przyjechać, wejść na pole i narwać tyle papryki, ile tylko potrzebuje. – Przez trzy dni rozdaliśmy ok. 60 ton papryki. Tyle zbieraliśmy w ciągu półtora miesiąca – mówił rolnik.

Na filmie udostępnionym w Internecie wzruszony plantator, łamiącym się głosem dziękuje tym, którzy przyłożyli rękę do tego, że warzywa, a zatem i ciężka praca całej rodziny się nie zmarnowały. – Kochani, samozbiory dobiegły końca. Jestem w ciężkim szoku, jak to daleko zaszło, ile tutaj ludzi było. To po prostu przerosło moje najśmielsze oczekiwania. Z całego serca dziękuję wszystkim, którzy nam pomogli, którzy nas wsparli dobrym słowem, pomogli nam to zebrać, żeby to się nie zniszczyło, żeby nie zmarnować tego towaru, żeby ludzie mogli sobie wziąć i zjeść naprawdę zdrową żywność – mówił.

W całej akcji chodziło o coś jeszcze – o zwrócenie uwagi na dramatyczną sytuację producentów warzyw i owoców. Cena niektórych z nich jest w tym roku tak niska, że zbiory zamiast przynosić zysk, generują straty. Dlatego na podobny ruch decyduje się więcej plantatorów. – Megadużo rolników ruszyło moim tropem. A to cebula, pietruszka, marchew, buraczki – mówił Maciej Siekiera. – Do wszystkich tych, którzy obejrzą ten filmik: pamiętajcie, musimy zbudować taką narodową świadomość, że my, rolnicy, jesteśmy ostatnią ostoją spokoju, jesteśmy bezpieczeństwem żywnościo-

eprasa.pl 46513f5f87

wym dla nas wszystkich. Nie dajcie nas zniszczyć, nie dajcie nas zlikwidować. Bo to będzie miało konsekwencje nie tylko dla nas, rolników, ale dla wszystkich – przestrzegał.

KRYZYSOWY MODEL SPRZEDAŻOWY

Papryka przemysłowa, uprawiana z myślą o przetwórstwie, może nie wyglądać równie estetycznie co papryka konsumpcyjna sprzedawana w dyskontach za 4,99 zł za kilogram w promocji i nawet za kilkanaście złotych w cenie regularnej, ale nie oznacza to, że jest mniej smaczna czy że jest pozbawiona wartości odżywczych. A mimo tego polskim plantatorom płaci się w tym roku tylko 60–80 gr za kilogram tych warzyw. – Każdy rolnik liczy na choćby minimalny zysk, więc przed zbiorami przelicza koszty. Wynagrodzenie dla pracowników sezonowych to nie tylko dniówka wypłacana na rękę, lecz także dodatkowe składki, a przy tegorocznych cenach niektórych owoców i warzyw zbiory są zupełnie nieopłacalne. Rolnicy nie chcą jednak dopuścić do tego, żeby plony się zmarnowały. Ja jestem człowiekiem wierzącym i uważam, że nie powinno się niszczyć żywności. Podobnie myśli wielu plantatorów, którzy czasem wolą rozdać za darmo, niż ponieść dodatkowe straty, decydując się na zbiory – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy" Marek Duszyński, przewodniczący Związku Zawodowego Rolnictwa Samoobrona.

Nie każdy musi rozdawać za darmo albo tak jak małżeństwo Saganów z Niewirkowa na Lubelszczyźnie, które nie znalazło kupców na pomidory z kilkunastu hektarów, poprosić ludzi odbierających warzywa, by przekazać w zamian jakąś darowiznę na rzecz Kościoła. Samozbiór daje szansę na zysk. Może niewielki, ale przynajmniej niegenerujący dodatkowych kosztów. „Na 20 ha pola czeka świeża cebula – żółta i czerwona. Magazyny skupowe są przepełnione! Przyjedź z rodziną i znajomymi – zbierasz, ile chcesz, prosto z pola! Pomóż nam uratować plony i częściowo odzyskać wkład w pracę i uprawę. Do zobaczenia!" – czytamy w jednym z internetowych ogłoszeń. Cena – 60 gr za kilogram. Cebula z oznaczeniem „produkt polski" w „tanim" dyskoncie – 4,99 zł za kilogram.

– W tym roku problem niskiej ceny dotyczy głównie warzyw. Przede wszystkim papryki, ale źle sytuacja przedstawia się także w przypadku m.in. cebuli, marchwi, ziemniaków, kapusty, kalafiorów, brokułów – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy" Witold Boguta, prezes zarządu Krajowego Związku Grup Producentów Owoców i Warzyw. Z czego to wynika? – Nie z kolosalnej nadprodukcji, bo takiej nie mamy. Zbiory są wyższe od ubiegłorocznych, ale nie rekordowo wysokie. Problemem jest rosnący import, i to w dużej mierze spoza Unii Europejskiej. Sieci handlowe i firmy przetwórcze zaopatrują się w te produkty, a polscy rolnicy nie mają gdzie sprzedać swojej produkcji, a jeśli już ktoś chce kupić, to proponuje ceny uwłaczające godności – dodaje.

KAŻDY WYGRYWA

Witold Boguta podkreśla, że samozbiory to dobry model sprzedażowy, który wcale nie musi oznaczać minimalnego zysku. Każda ze stron może tu tylko zyskać. Rolnik sprzeda drożej niż hurtowym odbiorcom oferującym często ceny grubo poniżej progu opłacalności, a klient i tak kupi taniej niż w dyskoncie, bo uniknie kilkusetprocentowej marży pośredników. A do tego ma pewność, że kupuje polski, świeży produkt od lokalnego dostawcy. – Jako związek realizujemy działania promocyjne na rzecz organizowania samozbiorów. W naszym wypadku dotyczy to głównie owoców jagodowych, ale nie tylko, bo również jabłek i innych owoców. Producent, który się na to decyduje, często organizuje dodatkowe atrakcje na swoim gospodarstwie. Są to np. działania edukacyjne dla dzieci. A więc ludzie przyjeżdżają całymi rodzinami po to, aby kupić świeże owoce, odpocząć, a przy okazji taka wycieczka ma walor edukacyjny, bo dzieci z miasta, które nigdy nie widziały sadu, dowiadują się, gdzie rosną owoce, jak rosną, jak się je uprawia. Samozbiory od lat są organizowane w Europie Zachodniej, w Stanach Zjednoczonych, teraz zyskują popularność również w Polsce. I bardzo dobrze – mówi prezes Krajowego Związku Grup Producentów Owoców i Warzyw.

Rolnicy ogłaszają się w mediach społecznościowych – na profilach poświęconych warzywnictwu czy sadownictwu, a także np. w grupach lokalnych, by trafić do mieszkańców swojego regionu czy dużych miast położonych nieopodal. Na portalu myzbieramy.pl można znaleźć ogłoszenia z całej Polski. Borówki, wiśnie, porzeczki, truskawki, jabłka, maliny, orzechy, cukinie, buraki, dynie, ziemniaki... Oferta jest bogata, ceny sporo niższe, towar świeży i ekologiczny. „Od 2017 roku tworzymy portal, który łączy ludzi z naturą. Wierzymy, że wspólne zbieranie owoców i warzyw to nie tylko świetny sposób na aktywny wypoczynek dla rodzin, ale też realna pomoc dla rolników. Dzięki nam owoce i warzywa nie marnują się na polach, a producenci otrzymują uczciwą zapłatę za swoją pracę" – czytamy na stronie.

WYKOPKI JAK DAWNIEJ

Ten model biznesowy może nieźle działać. „Michał zaprasza na samozbiory od kilku lat i ma już wierne grono zbieraczy, którzy co sezon wracają po smak lata prosto z sadu. Na co więc czekasz?" – zachęca facebookowy profil (27 tys. obserwujących) portalu MyZbieramy. Informuje, że w gospodarstwie pana Michała można zbierać jabłka kilku dojrzewających w różnym czasie odmian: rubin, mutsu, ligol, szampion, gloster, golden, cortland, starkrimson, starking, lobo, a także gruszki i śliwki, a we wrześniu uczestniczyć w wykopkach ziemniaków. Po wszystkim można rozpalić ognisko i piknikować u gospodarza nawet przez kilka godzin. Wszystko do ustalenia.

Inny rolnik, pan Maciej, zaprasza na nostalgiczną podróż – wykopki ziemniaków jak przed laty. Stary ursus, kopaczka, a za nią zbieracze z wiklinowymi koszykami. Można się poczuć jak na wakacjach u dziadków na wsi. Popołudnie spędzone na tym mazowieckim gospodarstwie kosztuje 60 zł i obejmuje: kopanie ziemniaków i marchwi, podjadanie malin, borówek i winogron prosto z krzaczków, karmienie kur i królików, przejazd ciągnikiem, ognisko z pieczonymi ziemniakami, dynią i kiełbaskami. Menu – oczywiście – w klimacie wiejskim: pieczone ziemniaki z masłem i solą, pieczone warzywa, kiełbaski, chleb, kiszone ogórki...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 46513f5f87

Powrót na etat

FOT. ADOBE STOCK

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Potrzeba stabilizacji, uregulowanie godzin pracy, stały kontakt z ludźmi. To tylko niektóre z argumentów przytaczanych przez osoby wracające do pracy na etacie

Dane z Centralnej Ewidencji i Informacji o Działalności Gospodarczej pokazują, że w pierwszej połowie 2025 r. zamknięto 99,8 tys. jednoosobowych działalności gospodarczych (minimalny wzrost o 0,1 proc. w porównaniu z analogicznym okresem roku ubiegłego) i zawieszono 179,4 tys. firm. Choć nie mamy do czynienia z nagłym zwrotem na rynku pracy w kierunku powrotu na etat, to zjawisko rezygnacji z własnej działalności na rzecz „biura" jest zauważalna. Łukasz Kozłowski, główny ekonomista z Federacji Przedsiębiorców Polskich, wyjaśnia, że przyczyn należy upatrywać na kilku płaszczyznach. „Najczęściej jest to związane z rachunkiem korzyści i kosztów związanych z prowadzeniem jednoosobowej działalności gospodarczej – pamiętajmy jednak, że nie zawsze zamknięcie jest związane z niepowodzeniem czyichś planów biznesowych, lecz także np. zmianą pracy i formy zatrudnienia. To kwestia bardzo indywidualna" – mówi. „W niektórych przypadkach osoby prowadzące mały biznes faktycznie dochodzą do wniosku, że to im się przestaje opłacać, że efekt w stosunku do włożonego wysiłku jest zbyt mały […]. Najczęściej zamykają się młode firmy – im dłużej dany przedsiębiorca utrzymuje się na rynku, tym większe jest też prawdopodobieństwo jego dłuższego nieprzerwanego funkcjonowania" – zauważa w rozmowie z portalem mamstartup.pl.

Osoby rezygnujące z własnej działalności mają różne motywacje. Filip przez cztery lata pracował z domu. – Najpierw pracowałem dla firmy z innego kraju. Później zacząłem prowadzić działalność freelancerską – produkcja w branży mediowej. Po latach pracy na własny rachunek uznałem, że już mi wystarczy i muszę znaleźć pracę u kogoś, żeby wrócić do stabilizacji psychicznej – opowiadał na kanale „Akademia Rekrutacji". – Przyznam, że było sporo stresu na różnych płaszczyznach. Czy nie będę odebrany jako ktoś, kto wraca na tarczy i szuka byle czego, aby przeżyć. Miałem obawę, która ani razu się nie potwierdziła, że przedsiębiorcy, z którymi będą prowadził rozmowy, będą patrzyli na mnie z góry […]. Zauważyłem jednak coś innego, że łatwiej było mi rozmawiać, rozumiejąc, że koszty muszą być równoważone przychodami – wskazał.

Przejście na etat łączyło się z konkretnymi obawami. – W emocjonalnym aspekcie zmieniania bycia przedsiębiorcą na pracę u kogoś bałem się, że nie poradzę sobie w pracy w biurze albo że ktoś będzie mi mówić, co mam robić. Żadna z tych

eprasa.pl 46513f5f87

rzeczy się nie sprawdziła, a wręcz cieszę się, że jestem odpowiedzialny za konkretną część projektu. Podoba mi się, że mam pewną strukturę, którą nie ja muszę wymyślać, a jest stworzona dla mnie. Dla mnie wychodzenie z domu i spędzanie czasu wśród ludzi w biurze jest dużym powodem do radości – zauważa mężczyzna.

Potrzeba bezpośredniego, codziennego kontaktu z ludźmi odegrała istotną rolę także w przypadku psycholog i coacha Anny Schattovits. – Chęć bycia w naturze była jednym z powodów zawieszenia działalności. Nie chciałam być przyklejona do komputera cały czas. Chciałam być bliżej ludzi. Moja działalność była związana z pracą on-line, ponieważ prowadziłam gabinet coachingowy i bardzo dużo webinarów dla firm. W zasadzie cały czas musiałam być przy komputerze […]. Bycie z żywym człowiekiem, wbrew pozorom, bo jestem psycholożką, było bardzo rzadkie – opowiada psycholog specjalizująca się w pracy z pracownikami branży IT. – Prowadziłam działalność gospodarczą przez prawie cztery lata. Cały czas łączyłam ją z pracą na etacie. Już od roku wiedziałam, że potrzebuję zmiany. Że łączenie działalności z etatem uszczupliło moje zasoby – i finansowe, i psychiczne, i fizyczne. Obawiałam się odpuścić. Miałam przekonanie, że tak dużo zrobiłam […]. Trzymałam obie prace, z lęku i ambicji. Nie da się tak łatwo przerzucać między zadaniami. Czasami miałam tak, że po spotkaniu biznesowym musiałam się przerzucić na sesję coachingową. Dwa różne światy, to było bardzo obciążające dla mojego systemu poznawczego – tłumaczyła w podcaście „MOVE SPACE". Postawiła na etat.

ODKRYWANIE NORMALNEGO ŻYCIA

Okazuje się, że dla influencerów, których życie jawi się niekiedy jako pasmo sukcesów i przyjemności, działalność w Internecie (związana z koniecznością założenia firmy i rozliczenia się jak każdy inny) również nie zawsze stanowi spełnienie marzeń. Mieszkająca we Francji Polka, Julia Mendes, jakiś czas temu zrezygnowała z pracy w mediach społecznościowych jako głównego źródła zarobków. Znalazła „normalne" zatrudnienie. Po czasie przyznała, jak wielką ulgę odczuła. „Minęło już kilka miesięcy, odkąd przestałam działać na pełen etat w social mediach. I wiecie co? To była jedna z najlepszych decyzji, jakie mogłam podjąć" – zauważa na Instagramie (ponad 100 tys. obserwatorów), który jest teraz hobby. „Czasem trzeba po prostu pozwolić odejść czemuś, co sprawia, że powoli się topimy. Dziś czuję się lekko. Spokojnie. Fantastycznie. Ostatnie dwa miesiące były… jakby to ująć... ciekawe, ale mimo tej windy emocjonalnej, zmęczenia, natłoku nowych informacji, stałych godzin pracy i nowego rytmu dawno nie czułam się tak »wolna«" – pisze 31-latka.

Internauci kpili z influencerki, że to, co dla niej jest odkryciem, to normalne życie milionów ludzi

W ubiegłym roku plotkarskie media rozpisywały się o Paulinie Hornik (ponad 400 tys. followersów na IG). Pomimo prężnej działalności w Internecie ogłosiła powrót do pracy na etacie. – Plusy i minusy chodzenia do pracy. Od tygodnia pracuję w salonie kosmetycznym, więc opowiem wam, co wywnioskowałam. Pierwszym plusem jest organizacja czasu. Ze względu na to, że osiem godzin poświęcam na pracę w salonie, resztę dnia muszę sobie zagospodarować, żeby nie tracić tego czasu. Dlatego wieczorem planuję sobie dzień, co mam zrobić do konkretnej godziny, i naprawdę tego czasu jest całkiem sporo. Znalazłam miejsce, gdzie mam szansę rozwoju, mam szansę uczenia się nowych rzeczy, i czuję, że mam szansę rozwinąć tam skrzydła bardziej. Cieszę się, bo to coś, czego brakowało mi, kiedy pracowałam tylko w domu. Po trzecie ludzie. Pracuję z naprawdę fajnymi dziewczynami i dobrze mi się spędza czas wśród ludzi. Nie czuję się taka wyizolowana jak wtedy, kiedy pracowałam tylko w domu. Naprawdę pomogło to mojej psychice – opowiadała w jednym z nagrań.

Wskazała też na minusy. – Mało czasu wolnego. Osiem godzin spędzam tam, więc nie mogę być taka elastyczna, żeby się umówić z kimś z dnia na dzień, zaplanować coś następnego dnia. Muszę wiedzieć dużo wcześniej takie rzeczy. Po drugie – zmęczenie. Jak wiecie, ja dwa, trzy lata nie pracowałam w normalnej pracy, nie chodziłam gdzieś na parę godzin, tylko pracowałam w różnych miejscach – zdalnie, na wyjazdach, w domu. Na ten moment to tyle minusów – podsumowała.

„Wyznanie" Hornik stało się przedmiotem ostrej dyskusji. Internauci kpili z influencerki, że to, co dla niej jest odkryciem, to normalne życie milionów ludzi. „Brawo, odkryłaś życie!", „Nie no, to jest jakiś hit, niektórzy to chyba w innej rzeczywistości żyją", „Typiara, co tłumaczy coś, co cała reszta świata wie i przerabia na co dzień" – to niektóre z komentarzy. Influencerka odniosła się do krytyki. – Mam nadzieję, że kiedyś zrozumiecie, iż macie wybór. Żyjemy w XXI w., gdzie dzieciaki potrafią sprzedawać rzeczy w Internecie i zarabiać na tym pięć lub sześć tysięcy miesięcznie. To, że wy chodzicie do pracy na 12 godzin pięć albo sześć dni w tygodniu, to nie jest wasz przymus [...]. Jeżeli wy przychodzicie do pracy i narzekacie, jak wam jest ciężko i macie słabe życie, to zmieńcie to po prostu – stwierdziła.

MĘCZĄCE MASAŻE

Okazuje się, że po kilku miesiącach pracy w luksusowym spa jako masażystka i kosmetolog Hornik zrezygnowała. „Przez pół roku pracowałam w spa jako masażystka i kosmetolog. Zajmowałam się tam zabiegami na twarz, na ciało, masażami. Praca sama w sobie sprawiała mi dużo frajdy i naprawdę lubiłam to, co robię. Miałam bardzo duże możliwości rozwoju, więc dla kosmetologów to jest super. Polecam wam pracę w spa, bo tam nauczycie się wszystkiego i będziecie mogli podjąć decyzję, co dalej chcecie robić" – przekazała.

W pewnym momencie masowanie klientów stało się dla niej męczące. „No i ja właśnie taką decyzję podjęłam. Myślę, że nawet dalej mogłabym pracować w spa, ale po prostu w pewnym momencie masaże zrobiły się dla mnie bardzo ciężkie. Uważam, że jeśli w jakimś miejscu czujemy się źle, to lepiej jest po prostu odejść i dać szansę komuś innemu" – podsumowała. Po zmianie salonu nadal pracuje w zawodzie, ale etat łączy z instagramową działalnością.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 46513f5f87

Rozumni szałem

Wiesław Chełminiak

Romantyzm narodził się w posępnej, północnej części Europy. Rozbujał wyobraźnię Anglików, zmienił germańską mentalność, stał się wyznaniem wiary polskich patriotów. Ale najpiękniej rozkwitł pod francuskim niebem, zyskując akceptację salonów

Nowy film o Chopinie lansuje tezę, że geniusz z Żelazowej Woli był najjaśniejszą gwiazdą romantycznego Paryża. To mile łechce naszą narodową dumę, jednak Francuzi (również uznający geniusza z Żelazowej Woli za swojaka) mają innych faworytów. Obiektywnie wypada zaś przyznać, że w metropolii, w której Fryderyk spędził najbardziej twórcze lata i odszedł do wieczności, stężenie talentów na kilometr kwadratowy w połowie XIX w. osiągnęło poziom rzadko w historii spotykany. Jednocześnie prestiż wolnych zawodów wystrzelił w obłoki.

Kto chciał zaistnieć na europejskim targowisku próżności lub choćby ogrzać się w blasku cudzych sukcesów, przybywał nad Sekwanę. „Kiedy zważyć na tych wszystkich wybitnych i sławnych ludzi, których można tu znaleźć, Paryż jawi się panteonem żywych. Tworzą tu nową sztukę, nową religię, nowe życie, to tu działają szczęśliwie twórcy nowego świata" – zachwycał się Heinrich Heine. Muzyka już w dwóch poprzednich stuleciach dostarczała estetycznych wzruszeń nie tylko elitom, ale dopiero romantyzm postawił jej autorów i wykonawców na cokole. Kompozytor doścignął poetę.

Warto zauważyć, że Chopin jak na beneficjenta mentalnej rewolucji miał gust cokolwiek staroświecki. Dysputy o polityce, religii i filozofii go nudziły, świat trubadurów i kult średniowiecza były mu najzupełniej obce. Całkiem możliwe, że nie wierzył w ideę braterstwa sztuk. Historyk Adam Zamoyski nazwał Fryderyka „romantykiem powściągliwym", który tworzył dzieła poruszające, ale w codziennym życiu od okazywania emocji stronił.

ATEŃSKI SPLENDOR

Tegoroczny Konkurs Chopinowski uświetniła wystawa „Życie romantyczne", pierwsza tak obszerna prezentacja dokonań kręgu, w którym obracał się twórca mazurków. Lwia część eksponatów pochodzi ze zbiorów remontowanego Musée de la Vie Romantique w Paryżu. Mieści się ono u stóp wzgórza Montmartre, w pobliżu placu Pigalle, dziś w najlepszym razie kojarzonego z podkasaną muzą i tanimi hotelikami. Dwieście lat temu tę dzielnicę nazywano Nowymi Atenami, gdyż w kamienicach w stylu neoklasycznym zamieszkiwali uczeni, literaci tudzież artyści. Bliskość opery i konserwatorium przyciągnęła też wielu muzyków. Nie od parady Paryż lat 30. i 40. XIX w. znany był jako „Pianopolis".

Życie towarzyskie kwitło w salonach. Jednym z najpopularniejszych zarządzał malarz Ary Scheffer, z pochodzenia Holender. Człek oczytany, meloman, pracuś i liberał dobrze widziany na dworze orleańskim. Jego specjalnością były portrety, sceny historyczne i religijne. Ilustrował Dantego, Szekspira, Byrona, Scotta i Goethego. Już choćby z tego tytułu uchodził za lidera szkoły romantycznej. Za życia fetowany, jednak z czasem sława zwietrzała. Krytycy sztuki, uznający nowatorstwo za podstawowe kryterium oceny artysty, lekceważą Scheffera. Widzą w nim epigona nurtu sentymentalnego, kojarzonego z epoką ancien régime'u.

Obok pawilonu, w którym mieszkał z rodziną, Holender miał w ogrodzie dwie pracownie. Mniejsza z powodzeniem mogła służyć zarówno do prezentacji dzieł, jak i przyjmowania (w każdy piątek) gości. Fryderyk pozował sąsiadowi, często go odwiedzał. Zabawiał zebranych grą na pianinie. Scheffer kibicował narodom walczącym o wolność, znał wielu polskich

eprasa.pl 46513f5f87

Film „Chopin, Chopin!" lansuje tezę, że geniusz z Żelazowej Woli był najjaśniejszą gwiazdą romantycznego Paryża FOT. JAROSŁAW SOSIŃSKI/AKSON STUDIO

emigrantów. W jego pracowni bywał poeta Zygmunt Krasiński – z kochanką Delfiną Potocką, a potem żoną Elizą z Branickich, którą gospodarz uczył rysunku. „Scheffer otwiera nową erę w malarstwie. Oddaje niewidzialne, maluje duszę we wszystkich jej odcieniach" – przekonywała siostrę. Krasiński, zauroczony obrazem „Chrystus w Ogrójcu", ryciną „Cienie Franceski z Rimini i Paola Malatesty ukazujące się Dantemu i Wergiliuszowi" poświęcił im natchnione strofy.

Korespondencja Polaka i Holendra również jest uduchowiona.

Imponująca kolekcja dzieł własnych, cudzych i memorabiliów po śmierci Scheffera została podzielona: niektóre artefakty spadkobiercy wystawili na aukcji, część trafiła do Dordrechtu, gdzie malarz się urodził. Reszta stała się podstawą zbiorów Musée de la Vie Romantique. Duch Fryderyka, jeśli gdzieś krąży, to raczej tu niż w warszawskim pałacu Ostrogskich, czyli siedzibie Muzeum Chopina. Nie ma bowiem dowodu, by kompozytor kiedykolwiek przekroczył próg podupadłej natenczas magnackiej rezydencji.

W KRĘGU PRZYJACIÓŁ

Z dawnej posiadłości Scheffera przywieziono nad Wisłę kilka pamiątek po George Sand, która przez dziewięć lat była muzą Fryderyka. Portret pędzla Auguste'a Charpentiera schlebia niskiej i pulchnej pisarce. Brak urody nadrabiała energią. Malowała akwarele, utalentowany plastycznie był również jej syn, Maurice, sprawca ostatecznego rozstania pary. Córka, Solange, została z Chopinem do końca. Jej mąż, rzeźbiarz Jean-Baptiste Clésinger, wykonał maski pośmiertne, odlew lewej dłoni kompozytora i nagrobek na cmentarzu Père-Lachaise.

Najbardziej krotochwilnym z eksponatów jest wachlarz z karykaturami rodziny i przyjaciół Sand, odpoczywających na łonie natury. Fryderyk przysiadł na kolanach gospodyni pod postacią kolibra, „którego cudowny śpiew leczy kolkę i odciski". Dwa konterfekty przypominają inną gwiazdę salonu Scheffera. Pauline Viardot wykonała partię solową z „Requiem Mozarta podczas pogrzebu polskiego przyjaciela. Chopin, zafascynowany głosem oraz inteligencją Hiszpanki, skomponował kołysankę dla jej pociechy, z którą bawił się równie chętnie jak z dziećmi Sand.

Blisko z Fryderykiem był także uczeń Holendra, akwarelista Teofil Kwiatkowski. Młody weteran powstania listopadowego dobrze sobie radził na trudnym, francuskim rynku sztuki. W Polsce za jego sztandarowe dzieło uchodzi „Polonez Chopina. Bal w Hôtel Lambert", obraz będący ilustracją dziwnego snu kompozytora. Nie dziwota, że Kwiatkowski uchodzi za prekursora symbolizmu. W Nowych Atenach mieszkał i tworzył najsłynniejszy malarz z kręgu Sand, Eugéne Delacroix, guru artystów indywidualistów. Fryderyk nie był fanem jego sztuki, lecz mieli identyczne poglądy na muzykę i modę. Francuz kolekcjonował kamizelki, a Polak – rękawiczki. Razem spędzali letnie tygodnie w Nohant. Mało kto wie, że oprócz słynnego, niedokończonego portretu George i Fryderyka (jedna połowa znajduje się w Luwrze, a druga w Danii) Delacroix uwiecznił przyjaciela na monumentalnym plafonie zdobiącym kopułę Biblioteki Senatu w Pałacu Luksemburskim. Przedstawił autora „Etiudy Rewolucyjnej" jako Dantego.

Na koniec ciekawostka: u Scheffera można było spotkać jego młodego kuzyna Ernesta Renana. Ten historyk i filozof w przyszłości miał zasłynąć z książek, uznających Stary Testament za zbiór mitów i zabobonów, a Jezusa za zwykłego człowieka. Fryderyk, jak się zdaje, podzielał jego sceptycyzm wobec religii. Krytykował mistyczne odloty Mickiewicza. Pogodził się z Bogiem dopiero na łożu śmierci.

Wystawa w Muzeum Chopina mimochodem ujawnia romantyczne obsesje, typu strach przed pochowaniem żywcem. Ponoć właśnie dlatego kompozytor uparł się, by po stwierdzeniu zgonu wykroić mu serce. Praktyką mniej makabryczną było kolekcjonowanie pukli włosów bliskich lub sławnych nieboszczyków. Owe świeckie relikwie umieszczano w pierścionkach, bransoletkach lub medalionach. Zamek Ostrogskich szczyci się posiadaniem zasuszonych kwiatów, którymi obłożono martwego Fryderyka. O maskach pośmiertnych i odlewach kończyn była już mowa.

PROZA Z RYNSZTOKA

Nie tylko Polacy żyją rocznicami. Jubileuszowe rekonstrukcje bitew napoleońskich zepchnęły w cień inicjatywy poświęcone kulturowej rewolucji, która zmieniła Europę bardziej niż krwawa epopeja Boga Wojny. Reputacja Beethovena – wzoru bezkompromisowego artysty cierpiętnika – nie doznała uszczerbku. Gorzej z Byronem: w tym przypadku sława skandalisty wyraźnie przewyższyła sławę natchnionego poety. Fanów sztuki odwołującej się do emocji ucieszyły retrospektywy Turnera, Fuselego i Friedricha.

Francuzi potraktowali sprawę mniej ortodoksyjnie, kręcąc czteroodcinkowy animowany serial „L'armée des romantiques" (w Polsce opatrzony banalnym tytułem „Paryscy romantycy"). Niewidzialną narratorką jest Cecile de France (nomen omen) okrzyknięta onegdaj nowym wcieleniem Marianny. Aktorka, obdarzona przez naturę przenikliwym głosem, pomstuje na burżujów, opresyjne reżimy Burbonów, Orleanów i „Napoleona Malutkiego", który oszukał lud, wzorem stryja ogłaszając się cesarzem.

Serial, wyreżyserowany przez Amelie Harrault i Dana Francka, pomyślano jako hołd dla generacji, która pragnęła zmienić świat i nawet odniosła na tym polu sporo sukcesów. Victor Hugo, Alexandre Dumas, Hector Berlioz, George Sand czy Eugène Delacroix, urodzeni pod koniec XVIII lub na początku XIX w., na sławę nie czekali długo. Inna rzecz, że była to sława – przynajmniej na początku – dwuznaczna.

eprasa.pl 46513f5f87

„Rzeź na Chios" i „Śmierć Sardanapala" wywołały zgorszenie neoklasycystów. Ingres, artysta wszak nietuzinkowy, mówił o „rzezi malarstwa". Delacroix szokował publiczność dynamizmem i śmiałą kolorystyką. Po skandalu estetycznym nadszedł polityczny. Rząd kupił „Wolność prowadzącą lud na barykady", by ukryć obraz przed publicznością. Uznano, że przesłanie dzieła jest nadmiernie buntownicze.

W muzyce kamieniem milowym romantyzmu była „Symfonia fantastyczna" Berlioza. Wśród przybyłych na premierę twórcy animacji zauważyli Chopina, który jednak dotarł nad Sekwanę dopiero 10 miesięcy później. W sumie drobiazg, ponieważ Polak jest tu postacią drugorzędną. Taki już los artystów uznanych za introwertyków. Gdyby Fryderyk skomponował choć jedną operę, miał temperament showmana i naturę skandalisty, Francuzi na pewno spojrzeliby nań życzliwszym okiem. O mechanizmach rządzących rynkiem kultury więcej wiedziała muza Polaka. Sand, cierpiąca na nieznośną łatwość pisania, była – mówiąc wprost – grafomanką. Jej utwory miały jednak spory oddźwięk, zwłaszcza protofeministyczna powieść „Lelia". Daremnie konserwatywna krytyka ostrzegała przed książką, która „śmierdzi rynsztokiem i prostytucją". Czytelnicy wiedzieli swoje.

ROZPALIĆ DUSZĘ

„Pokolenie 1800" miało wspólnych idoli. Pierwszym był Napoleon (Wielki), drugim Szekspir, który udowodnił, że przeszłość może być kapitalnym źródłem natchnienia. Hugo i Dumas jeszcze przed trzydziestką stali się mistrzami historycznej prozy. Nie ustrzegło ich to przed problemami z cenzurą. Rysownik Honoré Daumier karmił swoją wyobraźnię polityką bieżącą. Obrazek, przedstawiający króla Ludwika Filipa jako gruszkę, sąd wycenił na sześć lat więzienia dla autora.

Imiennik karykaturzysty, Balzac, gra w serialu rolę cokolwiek błazeńską.

Gaduła, snob, niedoszły prawnik, pechowy biznesmen z ambicjami zostanie Napoleonem pióra, uważał się za naukowca tudzież filozofa.

Pisał nocami, używając pióra kruka i pochłaniając hektolitry kawy. Po sukcesie „Fizjologii małżeństwa" okrzyknięto go ulubionym pisarzem kobiet, co bynajmniej nie było pochlebstwem. Jako pierwszy literat w historii wpadł na pomysł stworzenia uniwersum: te same postaci pojawiały się w różnych powieściach. Potomni przypięli Balzakowi łatkę realisty. Jako romantyka zdradza go słabość do muzyki Chopina, wątków irracjonalnych i na wpół obłąkanych bohaterów. Obsesyjną miłość do pani Hańskiej uznajmy za kaprys w duchu epoki.

Portret Chopina z 1847 r. Malował Ary Scheffer

FOT. DORDRECHT MUSEUM/WIKIPEDIA

Twórców dzieł „rozpalających duszę" nie omijały osobiste tragedie. Ponadto często ulegali grzesznym pokusom. Hugo prowadził podwójne życie, Sand zanim zaopiekowała się nieśmiałym „aniołem z Polski", żyła w trójkącie z de Mussetem i jego włoskim lekarzem. Narzekamy na kult przemocy, obecny we współczesnej popkulturze, lecz dwa wieki temu też fascynowano się przestępcami. Znajomek Fryderyka, Eugène Sue, zarobił krocie na „Tajemnicach Paryża", drukowanych w odcinkach w prasie. Inni pisarze też nie gardzili takim źródłem zysku. Dumas dodatkowo zainwestował w teatr, w którym wystawiano sceniczne wersje jego najpopularniejszych utworów. Spektakl „Królowa Margot" trwał ponoć osiem godzin.

SOCJALIŚCI I SPIRYTYŚCI

Romantycy z reguły uchodzili za szczerych republikanów. Z entuzjazmem przyjęli rewolucję lipcową, ich stosunek do reżimów Ludwika Filipa i Napoleona III był już bardziej zniuansowany. No cóż, trudno jednocześnie kontestować i robić karierę. Narrację o ulubieńcach muz, czułych na krzywdę społeczną, włóżmy między bajki. Hugo jak deputowany nie zawahał się, kazał strzelać do tłumu (czego później bardzo się wstydził). Dumas walczył na barykadzie, jednak zwykle jego temperament przejawiał się w skłonności do pojedynków. Artyści częściej niż weny szukali w podłych dzielnicach narkotyków, alkoholu i tanich prostytutek.

O tej mrocznej stronie romantyzmu twórcy serialu wspominają półgębkiem, rejterując w bezpieczniejsze rejony fantastyki. Francuzi mają tu spore zasługi. Literat i esteta Théophile Gautier pod wrażeniem „Syren" Kwiatkowskiego napisał wiersz poświęcony tym niebezpiecznym istotom. Tytuły późniejszych opowiadań mieszkańca Nowych Aten („Stopa mumii", „Awatar", „Klub haszyszystów") mówią same za siebie.

Przyjaciel Gautiera, Gérard de Nerval, był cięższym przypadkiem. Poezja mu nie wystarczała, pasjonował się egzotycznymi religiami, numerologią i ezoteryką. Były to sygnały postępującego obłędu.

Nękany wizjami samozwańczy prorok w końcu odbierze sobie życie, jednak „czarny romantyzm" zdobędzie nowych wyznawców. Nawet Balzac ma metafizyczne ciągoty, a Hugo na starość zagustuje w seansach spirytystycznych. W 1848 r. fani Chopina przejmują władzę. Poeta Alphonse de Lamartine, niegdysiejszy bywalec salonu Scheffera, ogłasza z balkonu paryskiego ratusza powstanie republiki. Niestety, w wyborach prezydenckich dostanie mniej niż jeden procent głosów. Sand, nawrócona na socjalizm, służy rewolucyjnemu rządowi piórem, zakłada partię. Gdy odkryje, że politycy lekceważą feministyczne postulaty, obrażona wróci do Nohant. Balzac o radykałach ma jak najgorsze zdanie, lecz jest już jedną nogą na tamtym świecie. Hugo, zagrożony więzieniem, musi wyemigrować. Napoleon III tyranizuje naród, a pisarz banita własną rodzinę.

Zrujnowany Dumas też nie ma czego szukać nad Sekwaną. Jako niepoprawny awanturnik przyłączy się do Garibaldiego, razem z nim podbije Sycylię i obali neapolitańskich Burbonów. Do końca życia będzie prokurował obyczajowe skandale i oganiał się od wierzycieli. Bonapartyzmowi śmiertelny cios zadadzą Prusacy. Po przegranej wojnie sędziwy autor „Nędzników" może liczyć na entuzjastyczne przyjęcie w ojczyźnie. Zakończenie serialu jest jednak minorowe. Może dlatego, że niemal całe wspaniałe „pokolenie 1800" leży już w grobach? Przygnębiony widokiem zniszczonego Paryża Gautier skwituje romantyzm słowami: „Pozwoliliśmy sobie marzyć".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 46513f5f87

KSIĘGARNIA DO RZECZY

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY

KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 46513f5f87

Ten serial jest przypowieścią o tym, co dzieje się, gdy grzech i kłamstwo triumfują

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Zadanie dla każdego

Piotr Gociek

Niby rutyna: zabójstwa, narkotyki, porwanie, motocyklowy gang. Jednak serialowi „Grupa zadaniowa” bliżej do moralitetów Martina Scorsesego niż do streamingowej średniej

Dwa zdania definiują ten serial: „Dobrzy ludzie podejmują dobre decyzje” i „Trzeba wierzyć, że z ciemności można wyjść ku światłu”. To pierwsze zostaje wyśmiane zaraz po tym, gdy padnie na ekranie. I słusznie. „Grupa zadaniowa” (do obejrzenia w HBO Max) to właśnie opowieść o tym, jak również ludzie dobrzy podejmują decyzje fatalne. A podkreśleniem znaczenia zdania o wydobyciu się z mroku jest oryginalny tytuł. Polska wersja ogranicza znaczenie do spraw zawodowych. Czyli do specjalnej grupy, tytułowej „Grupy zadaniowej”, którą dowodzi główny bohater, zmęczony życiem agent FBI. Wersja oryginalna to po prostu „Task”, czyli zadanie, i ta wieloznaczność jest zamierzona. Nie chodzi tylko o robotę, którą zleciła grupie zadaniowej szefowa; każdy bohater ma tu do wykonania trudne zadanie w sferze duchowej. I o tym jest tak naprawdę nowy serial Brada Ingelsby’ego.

NA ŻYCIOWYM ZAKRĘCIE

Ingelsby to bez wątpienia jeden z najlepszych i najciekawszych scenarzystów pracujących dziś w Hollywood. Pierwszym ważnym filmem w jego dorobku był „Zrodzony w ogniu” („Out of the Furnace”, 2013) z Christianem Bale’em; w 2020 r. pomógł w come backu walczącego z uzależnieniami Bena Afflecka, pisząc scenariusz do filmu „Droga powrotna” („Way Back”). Rok potem przyszedł wielki przełom, bo miniserial Ingelsby’ego „Mare z Easttown” (2021) dla HBO Max stał się sensacją (i okazją do stworzenia wielkiej kreacji przez Kate Winslet. W tym roku Ingelsby wzbogacił dorobek aż o trzy głośne streamingowe produkcje. W Apple TV+ pojawiły się miniserial „Echo Valley” i film „Zaginiony autokar” („The Lost Bus”), a w HBO Max „Grupa zadaniowa”. Ta ostatnia propozycja to bez wątpienia najważniejsza z nich.

W centrum tej opowieści mamy dwóch bohaterów na życiowym zakręcie. Agent Tom Brandis (Mark Ruffalo) próbuje poskładać na nowo życie rodziny po tragedii, którą trudno sobie wyobrazić: jego adoptowany syn stał się zabójcą swojej nowej matki. Teraz w więzieniu czeka na wyrok. Chłopak miał poważne problemy psychiczne, w czasach covidowego lockdownu dostęp do leków był utrudniony, skończyło się tak, jak się skończyło. Brandis zapija w sobie poczucie winy, a przecież ma jeszcze o kogo dbać: dwie córki i wnuka.

Po drugiej stronie prawa żyje Robbie Prendergast (Tom Pelphrey), za dnia pracownik firmy śmieciarskiej, nocą lider grupki desperatów napadających na domy należące do członków motocyklowego gangu Dark Hearts. Cele dobierane są starannie: Robbie okrada tych, którzy przechowują gotówkę zarobioną przez gang na handlu narkotykami. Rok wcześniej opuściła go żona, stracił też

eprasa.pl 46513f5f87

brata. Mieszka z bratanicą, która opiekuje się dwojgiem jego dzieci. Młoda Maeve (świetna rola Emilii Jones) trzyma wszystko na swoich barkach i nie wie o drugim fachu Robbiego. Ten zaś marzy o wielkiej gotówce, która pozwoli mu na wyrwanie się z biedy. Po kolejnym skoku, który kończy się fatalnie (padają trupy, porwane zostaje dziecko), tropem Robbiego ruszy Tom Brandis, postawiony na czele specjalnej grupy operacyjnej. Ale nie tylko on. Zemsty szukają także gangusy na motocyklach, czyli zbiry z Dark Hearts.

ŚWIAT NIEBIESKICH KOŁNIERZYKÓW

Podobnie jak w serialu „Mare z Easttown” trafiamy na amerykańską prowincję Wschodniego Wybrzeża USA. To hrabstwa otaczające Filadelfię, czyli jesteśmy w stanie Pensylwania, który w ostatnich wyborach prezydenckich odbity został przez Trumpa z rąk demokratów. Stało się tak w dużym stopniu dzięki głosom tych, w których świecie rozgrywają się oba seriale Ingelsby'ego napisane dla HBO Max. To świat zubożałej klasy robotniczej, bezradnych blue collars (niebieskich kołnierzyków). Pracują coraz więcej (jeśli w ogóle mają pracę), zarabiają coraz mniej. Carlito z filmu Briana De Palmy marzył o plaży na Karaibach, Robbiemu już nawet pobliska Kanada wydaje się rajem.

Tom Brandis to nietypowy agent FBI. Kiedyś był księdzem, dziś ściga przestępców. Trudno wskazać jedną przyczynę tej zmiany ścieżki; sam Brandis opowiada, że się zakochał i aby poślubić przyszłą żonę, porzucił stan duchowny. Ale im więcej dowiadujemy się o jego przeszłości, tym bardziej widzimy, że musiało dojść także do jakiegoś głębokiego kryzysu wiary. Brandis współpracował najpierw z FBI, oferując pocieszenie rodzinom ofiar. Być może ogrom nieszczęść i cierpienia coś w nim złamał, a może po prostu chciał być bardziej użyteczny, tropiąc potwory, które krzywdzą ludzi takich, jak ci, którym mógł zaoferować jedynie dobre słowo i empatię. Brad Ingelsby czyni mądrze, nie dopowiadając rozmaitych kwestii, jednowymiarowość i jednoznaczność zabijają dobre historie.

Lata kapłaństwa uczyniły z Brandisa świetnego śledczego, bo potrafi czytać w ludziach jak w otwartych księgach. A jednocześnie okażą się dodatkowym

„Grupą zadaniową” dowodzi zmęczony życiem agent FBI Tom Brandis (Mark Ruffalo) FOT. MATERIAŁY PRASOWE

brzemieniem, gdy zderzy się z rodzinną tragedią. Oto on, człowiek, który tak często jeszcze jako ksiądz opowiadał innym o miłosierdziu i przebaczeniu, nie potrafi odnaleźć ich w sobie, gdy idzie o tragedię w jego własnej rodzinie. On, który powtarzał, że prawda wyzwoli, nie potrafi przyznać się najbliższym do swoich uczuć. Zresztą wszyscy pod jego dachem ukrywają prawdziwe uczucia. Wszyscy w tym filmie stoją przed zadaniem odnalezienia w sobie siły, by stanąć w prawdzie.

Jednocześnie jest „Grupa zadaniowa” przypowieścią o tym, co dzieje się, gdy grzech i kłamstwo triumfują. Tam, gdzie nie ma rachunku sumienia i przebaczenia, pojawia się zemsta. Robbie Prendergast mówi swoim wspólnikom, że okrada członków gangu Dark Hearts po prostu, żeby zarobić. Ale w rzeczywistości szuka pomsty na tych, którzy zakatowali jego brata. Od czego zaczęły się zaś kłopoty jego brata? Od złamania męskiej lojalności i pożądania cudzej żony. Powracają w tym serialu obrazy wody: zmywać ma grzechy, dawać (jak chrzest) nowy początek. A jednocześnie cały czas ta woda jest brukana – cudzołóstwem, zbrodnią, narkotykami. Łaska ofiarowywana jest nieustannie odrzucana. Nawet dobrzy ludzie nie podejmują dobrych decyzji. Na szczęście źli – również, więc czeka ich ostatecznie upadek.

To nie jest serial łatwy w oglądaniu. Nie dlatego, że jest drastyczny, ale dlatego, że niemal każda postać niesie ze sobą jakąś traumę, a pokazywane życie nie jest łatwe. Nie ma tu ani krzty romantyzmu, który sprzedawano nam w serialu „Synowie anarchii”, nie ma łatwych happy endów i prostych rozwiązań. „Grupa zadaniowa” jest zatem opowieścią bardzo prawdziwą, a ci, którzy szukają w streamingu i w kinie kolorowego eskapizmu, zakrzykną zapewne, że ponurą i depresyjną. Otóż nie, będę polemizował: przesłanie jest wielce chrześcijańskie, a materiał do przemyślenia dla widza – przebogaty.

KONSEKWENCJE

Dramaty Toma Brandisa i Robbiego Prendergrasta nie rozgrywają się w próżni. Tak jak w „Breaking Bad” czy „Rodzinie Soprano” dostajemy galerię świetnie nakreślonych postaci na drugim planie. Brandis nie potrafi być w chwili próby dobrym ojcem dla dwóch swoich pozostałych dzieci (jedna córka jest dorastająca, druga ma już własną rodzinę), ale ojcuje niedoświadczonym członkom grupy zadaniowej. Do jej powołania doszło bowiem, jeszcze zanim śledztwo w sprawie włamań zamieniło się w sprawę wielokrotnego morderstwa i porwania dziecka. Brandis dostał więc podwładnych niechcianych przez nikogo. Każdy z nich niesie własne traumy i musi dokonać własnych trudnych wyborów.

Po drugiej stronie prawa jest nie mniej ciekawie. Gangusy na motocyklach są postrachem okolicy, ale każdy komuś musi służyć, każdy od kogoś zależy, najbardziej chciwi i okrutni napotykają na swej drodze ludzi jeszcze bardziej okrutnych i mściwych. Kto żyje wedle zasad wilczych, ten trafił do świata bez litości. A jako że w grę wchodzi nie tylko zaginiony dzieciak, lecz także warte fortunę narkotyki, to narasta paranoja. Niejedną czaszkę przyjdzie rozbić, szukając na oślep drogi do prawdy. I jak w porządnym gangsterskim dramacie kluczem do wszystkiego okaże się nie kwestia, kto silniejszy, ale kto, kiedy i dlaczego złamał słowo i odrzucił lojalność.

SERIAL HBO MAX „GRUPA ZADANIOWA” USA 2025

Każdy wybór ma swoje konsekwencje – to właśnie odróżnia filmy i seriale mądre i wartościowe od tych, które dostarczają nam pustych kalorii. „Grupa zadaniowa” to jeden z najlepszych seriali roku i przesłanie ma głęboko chrześcijańskie. Nie tylko dlatego, że przypomina o prawdziwym znaczeniu przebaczenia i miłosierdzia. Także dlatego, że mówi: żyjemy dla innych, oto poświęcenia warte podjęcia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 46513f5f87

Kadr z filmu „Nad Niemnem"
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Z ponurego kraju

Krzysztof Masłoń

Jeden z nielicznych miłośników tego straszliwego grzmota zaśmiecającego od 100 lat umysły polskiej młodzieży, Czesław Miłosz – skądinąd noblista, utrzymywał, że Eliza Orzeszkowa „na pewno wiedziała więcej o mrocznych stronach ludzkiej egzystencji, ale wolała, ze względów, które uważała za wyższe, tej swojej wiedzy nie ujawniać". I biorąc te względy pod uwagę, napisała „Nad Niemnem". Niestety.

Prawem kaduka ta apoteoza ksenofobicznej zaściankowości traktowana jest w Polsce niemal jako arcydzieło. Podkreśla się nawet, że ten żałosny epos kandydował do Nobla, którego na szczęście nie dostał, bo tylko wstydu byśmy się najedli. Świat zresztą poznał się na wątpliwych walorach „Nad Niemnem", nie chcąc tłumaczyć tego tasiemca, popularnego jedynie w Polsce i może na świętej Żmudzi, której nie ma i Bóg raczy wiedzieć, czy kiedykolwiek była. A powieść Orzeszkowej wpisano w wiodącą od Mickiewicza arkadyjską wizję Litwy – ojczyzny, podtrzymywaną po latach przez takiego Konwickiego czy Miłosza właśnie. Choć jako żywo „Nad Niemnem" przynależy raczej do Białorusi. Ale kto by zwracał uwagę na detale?

Tuż przed rozpoczęciem pisania powieści Orzeszkowa tak scharakteryzowała występujące w niej postaci: Benedykt Korczyński – „złamany i zgnieciony wypadkami publiczn[ymi], sprawami majątkowymi i domowymi […], w chwilach zmartw[ień] wąs opuszczający i biorący w usta"; Bolesław (Bolcio) Kirło – „niby romantyk, w głębi rozpustnik i materialista", Maria Kirłowa – „prawie zakonnica"; Klotylda Korczyńska – „namiętna, zazdrosne dziecko"; Ignacy Orzelski – „półidiota", Maria Kiewiczówna – „straszna [?]". Doprawdy trudno pojąć, skąd wziął się ten ostatni znak zapytania. To istne panopticum grafomanka z Grodzieńszczyzny ocenzurowała i jeśli ktoś z zapowiedzi tej wywnioskuje, że przynajmniej jakieś romansidło z podtekstem erotycznym udało się jej sprokurować, ten srodze się pomyli. Aha. Mamy jeszcze Terenię Plińską – „starą pannę, rodzaj chorej na miłośną wariację", jak również parę głównych bohaterów – Justynę i Jana, nudnych jak flaki z olejem.

Jest jednak wśród całej tej hałastry osobnik zgoła innego pokroju, podobno – jak twierdziła pisarka – „lekkomyślny, słaby, bez woli". To Zygmunt Korczyński, rzekomo najgorszy ze wszystkich, naigrywający się z powstania roku 1863 i jego przesłania, zamierzający sprzedać majątek będący dziedziczną własnością i na zawsze wyjechać z tego – cytuję – „ponurego kraju". Do Rzymu, Florencji czy Monachium.

Jego zdaniem patriotyzm to nonsens, do tego szkodliwy, tutejszy lud to bydło, a w ogóle to „tylko szaleńcy i krańcowi idealiści bronią do ostatka spraw absolutnie przegranych […]. Kiedy bank został do szczętu rozbity, idzie się grać przy innym stole. Tym innym stołem jest dla nas cywilizacja powszechna, europejska cywilizacja…". A polskość, cóż, nienormalność i tyle.

Eliza Orzeszkowa była jednak z tych, którzy powtarzają: „Wolę polskie gówno w polu niż fiołki w Neapolu". A o sobie pisała: „Z urodzenia, wychowania i upodobań wieśniaczką jestem". No cóż, to nie grzech wprawdzie, ale i szczycić się nie ma czym. Bohatyrowicze, niby szlachta, ale do szczętu schłopiała, czytać ledwie potrafi. Niejaki Anzelm, uchodzący w tym rodzie za alfę i omegę, ma trzy książki przechowywane po poległym w powstaniu 1863 r. bracie. Są to: oczywiście „Pan Tadeusz" Mickiewicza, „Psałterz Dawidów" Kochanowskiego, no i jeszcze podręcznik uprawy warzyw, drzew owocowych i kwiatów.

Buractwo to, wynoszone przez Orzeszkową pod niebiosa, do czytania jest nieskore, za to wyżywa się w śpiewie, gustując szczególnie w tęsknej piosnce o biednym żołnierzu, który idzie borem, lasem, przymierając z głodu czasem, jak również w „Pieśni Janusza" Wincentego Pola z melodią Chopina. Skąd się tam Chopin wziął, „jakimi drogami, na skrzydłach jakiej miłości i pamięci" przybył nad Niemen? – pyta pisarka. Z pewnością dr Kontek uznałby to, jak najsłuszniej, za niepodobieństwo. Sławny kompozytor był wszak obywatelem Europy, a nie żadnej Polski, której wtedy nie było i, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nigdy już nie miało być.

Bohatyrowicze, zakute łby, wiedzieli jednak swoje. „Panowie to co inszego, do wielkich miast jeżdżą, za granicami przemieszkują, różne zabawy i rozkosze mają… – mądrzył się Anzelm. – A dla nas co? Dla nas ani Paryżów, ani honorów, ani pięknych muzyczek, ani wesołych ansamblów nie ma. Gniazdo nasze – wszystko nasze… i dla tej przyczyny trzymamy się jego zębami i pazurami".

Wywyższając szlachtę zagrodową, poniżyła pisarka dwór, w którym panienki wychowywane są „na Buszmanki […] i wszystko na świecie gotowe jesteście zrobić, byleby was ładnie ufarbowano", a dojrzałe kobiety cierpią na okrągło jak nie na globus, to na migrenę i po lekturze modnych francuskich książek zastanawiają się, „czy wśród Eskimosów istnieje prawdziwa, gorąca, poetyczna miłość".

Naprawdę, pora najwyższa, by usunąć „Nad Niemnem" z listy szkolnych lektur. Jeśli, przynajmniej na razie musi być Orzeszkowa, to niech będzie z „Meirem Ezofowiczem", a nie z ramotą o rzekomym mezaliansie panny Justyny Orzelskiej z Janem Bohatyrowiczem. A swoją drogą, w najbliższych latach w placówkach oświatowych zarządzanych przez Barbarę Nowacką żelaznym obowiązkowym zestawem powinna być triada złożona z „Ludowej historii Polski" Adama Leszczyńskiego, „Sąsiadów" Jana Tomasza Grossa i „Szczerze" Donalda Tuska. A dla profilu humanistycznego w charakterze bonusu – „Bieguni" Olgi Tokarczuk. ©℗

eprasa.pl 46513f5f87

Komfort, ekologia i oszczędność

– wszystko to w jednej pompie ciepła

Pompy ciepła to nowoczesne i wygodne rozwiązania grzewcze, które są nawet pięć razy bardziej efektywne niż urządzenia spalające paliwa kopalne. Dzięki właściwemu doborowi i profesjonalnemu montażowi zapewniają oszczędność i komfort, a dodatkowo łatwo można je połączyć z fotowoltaiką lub magazynami energii, co pozwala na jeszcze niższe koszty użytkowania i zapewnia większą samowystarczalność energetyczną budynków

Zainteresowanie pompami ciepła rośnie, a doświadczenia ich użytkowników są pozytywne – wynika z badania przeprowadzonego przez SW Research w sierpniu tego roku. Zdecydowana większość ankietowanych ocenia ten sposób ogrzewania jako bardzo satysfakcjonujący, zwracając uwagę przede wszystkim na wygodę obsługi (63 proc. ankietowanych) oraz komfort cieplny zapewniany przez instalację (55 proc. ankietowanych).

Do najlepiej ocenianych aspektów należą niskie koszty eksploatacji i intuicyjna obsługa systemu. Ponad połowa respondentów (56 proc. ankietowanych) sfinansowała montaż pompy ciepła ze środków własnych, natomiast 41 proc. skorzystało z dotacji – głównie w ramach programu „Czyste Powietrze".

Większość badanych zadeklarowała również, że ich domy wyposażone są w instalację fotowoltaiczną, co wskazuje na coraz inteligentniejsze korzystanie z odnawialnych źródeł energii. Pompy przynoszą najwięcej korzyści, właśnie gdy w źródłach energii pojawiają się panele. I dodatkowo gdy wiążemy ich instalację z montażem magazynu energii.

KROK W PRZYSZŁOŚĆ

Pompa ciepła to nowoczesny system grzewczy, który cechuje przede wszystkim wygoda – i jest to cecha najwyżej oceniana

przez respondentów badania SW Research (84 proc. zadowolonych z ogółu badanych użytkowników). Urządzenie automatycznie dostosowuje swoją pracę do aktualnych warunków, analizując temperaturę zewnętrzną oraz ustawioną temperaturę oczekiwaną, tak aby zapewnić optymalne warunki cieplne w pomieszczeniach, bez konieczności ręcznego sterowania.

Systemy mogą być sterowane za pomocą aplikacji, dzięki czemu użytkownik ma kontrolę nad parametrami pracy pompy z dowolnego miejsca na świecie. To bezpieczeństwo, wygoda i spokój w codziennym użytkowaniu.

To właśnie z tych powodów coraz więcej właścicieli domów jednorodzinnych decyduje się na montaż tego typu urządzeń. Ale nie tylko tych. Inwestycje zwracają się stosunkowo szybko, zapewniając komfort zarówno zimą, jak i latem, a przy okazji są krokiem do zapewnienia lepszej jakości powietrza zarówno w domu, jak i na zewnątrz, a także lepszego, zdrowszego samopoczucia.

CO OFERUJE POMPA CIEPŁA?

Korzyści z instalacji pompy ciepła jest wiele – począwszy od finansowych, przez środowiskowe, na zdrowotnych skończywszy. Pompa ciepła:

- **podnosi wartość nieruchomości** – niższe koszty eksploatacji budynku, wyższy standard energetyczny, korzystniejsze ubezpieczenia i niższe kredyty w przyszłości;
- **obniża wydatki na utrzymanie domu** – pompa ciepła ogrzewa dom i wodę użytkową, wytwarzając od 3 do nawet 5 razy więcej energii cieplnej w stosunku do tej pobranej z sieci, przy czym nie wymaga zakupu drożejących paliw kopalnych;
- **daje trwały wzrost rentowności inwestycji** – ceny paliw kopalnych dla gospodarstw domowych będą rosnąć w kolejnych latach, zwłaszcza po wprowadzeniu systemu ETS2, przy jednoczesnej stabilizacji, a nawet obniżce cen energii elektrycznej, którą są zasilane pompy ciepła. W efekcie ogrzewanie domu pompą będzie przynosić coraz więcej oszczędności w porównaniu z ogrzewaniem go kotłem;
- **poprawia jakość powietrza** – rezygnując z paliw kopalnych, przyczynisz się do redukcji emisji szkodliwych substancji do otoczenia, co zapewni czyste powietrze w Twoim domu i jego otoczeniu;
- **jest wygodna w obsłudze** – pompa ciepła to urządzenie praktycznie bezobsługowe. Automatycznie dostosowuje się do żądanych funkcji, a jej pracę kontrolujesz w aplikacji mobilnej;
- **daje możliwość chłodzenia latem** – dzięki tej funkcji zaoszczędzisz na montażu klimatyzacji i wykorzystanej do niej energii elektrycznej;
- **zapewnia komfort cieplny** – dobrze dobrana pompa ciepła zapewnia idealnie dopasowaną do Twoich potrzeb temperaturę powietrza w pomieszczeniach, niezależnie od warunków atmosferycznych. Dba również o wysoki komfort przygotowania ciepłej wody użytkowej;
- **pracuje bardziej efektywnie od kotłów także w starszych budynkach** – pompę ciepła z powodzeniem można instalować również w wiekowych nieruchomościach, co potwierdza zrealizowane przez SW Research badanie. To rozwiązanie dostępne dla wszystkich, sprawdzające się w najróżniejszych budynkach, nawet w obiektach zabytkowych.

Chcesz poszerzyć swoją wiedzę o pompach ciepła?
Odwiedź stronę z praktycznymi materiałami i poradami: ***https://www.pompujcieplozglowa.pl/.***

Znajdziesz tam także kalkulator kosztów ogrzewania, który w prosty sposób oszacuje koszty ogrzewania budynku i przygotowania ciepłej wody użytkowej: ***https://polskialarmsmogowy.pl/kalkulator-kosztow-ogrzewania/.***

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 46513f5f87

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Jutro albo pojutrze

★★★★★★

REŻ. KATHRYN BIGELOW „DOM PEŁEN DYNAMITU" („A HOUSE OF DYNAMITE") USA 2025

wyst. Rebecca Ferguson, Idris Elba, Jared Harris

Wydawało się, że to tylko test: może chiński, może północnokoreański. Jednak okazuje się, że rakieta z głowicą nuklearną leci w kierunku Stanów Zjednoczonych. Od Moskwy do Pekinu wszyscy zaprzeczają: „to nie my", ale stawiają jednocześnie w stan gotowości swoje wojska. Czy to akt wojny? Terroryzm? Może próba rakietowa, która wymknęła się spod kontroli? Głowica tymczasem jest coraz bliżej, może spadnie na St. Louis, może na Chicago. Przewidywana liczba ofiar? Dziesięć milionów.

Każde pokolenie dostaje własne filmowe ostrzeżenie. W roku 1959 światem wstrząsnął film „Ostatni brzeg" („On The Beach") według powieści Nevile'a Shute'a, moja generacja pamięta doskonale szok, który wywołała projekcja telewizyjnego filmu „Nazajutrz" („The Day After", w USA pokazany w listopadzie 1983 r., a w telewizji PRL – w styczniu 1984 r.). Teraz Kathryn Bigelow (autorka m.in. filmów „The Hurt Locker. W pułapce wojny" i „Wróg numer jeden") szarpie nerwy pokolenia płatków śniegu wizją atomowej apokalipsy.

Bigelow oszczędza nam widoków zagłady, ale groza bije z każdego kadru opowieści. Czyni to w trzech odsłonach: część pierwsza jest perfekcyjnym dramatem rozegranym w klaustrofobicznej przestrzeni pokoju dowodzenia w Białym Domu. Potem przenosimy się do sztabu i widzimy, jak w tym samym czasie co wywiad i urzędnicy prezydenta na kryzys zareagowało wojsko. Osobno oglądamy rozterki prezydenta USA: Jak zareagować? Ogłosić ewakuację? Odpowiedzieć nuklearnym atakiem? Wstrzymać się do chwili, gdy wiedza będzie pełniejsza? Zegar tyka.

Rebecca Ferguson, Idris Elba i Jared Harris są tu znakomici. Metafora z tytułu (że inwestowanie w broń jądrową jest jak zabawa zapałkami w domu pełnym dynamitu) jest banalna, ale film – głęboko niepokojący. Podobnie jak w fińskim serialu „Konflikt" (pisałem o nim w „Do Rzeczy" 42/2025) widzimy, jak bardzo nieprzygotowany jest Zachód do wojny hybrydowej. Koncepcja Donalda Trumpa, by budować Złotą Kopułę – tarczę antyrakietową dla USA na wzór izraelskiej Żelaznej Kopuły – wydaje się więc tym bardziej oczywista. Bo w to, że Rosja, Chiny, Korea Północna czy Pakistan zrezygnują nagle ze swoich arsenałów w imię światowego pokoju, nikt przecież nie uwierzy. ©℗

GRA TYGODNIA: „POKEMON LEGENDS: Z-A"

Spodziewałem się przestarzałej technicznie gry, która nie wymyśla koła na nowo, i dokładnie to dostałem. Można utyskiwać na kiepskie tekstury i archaiczne mechaniki, ale i tak najważniejsza jest przyjemność z gry. A ta stoi na wysokim poziomie. Jeśli ktoś lubi tę serię, to będzie się bawił świetnie. O dziwo, nie raziło mnie, że cała akcja zamknięta jest w jednym, inspirowanym Paryżem mieście. System walki w czasie rzeczywistym także nieźle się sprawdza, dodaje do rozgrywki sporo dynamiki. Dla fanów – pozycja obowiązkowa. Antyfanów z uprzedzeń nie wyleczy. ©℗

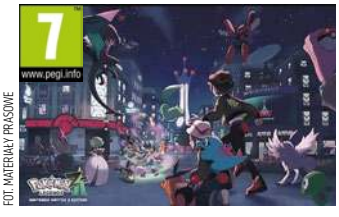

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *jRPG, TPP*
- ***Platforma:*** *Nintendo Switch (1 i 2)*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Game Freak; Nintendo (PL: ConQuest)*

eprasa.pl 46513f5f87

Cierpiał za miliony

KINO

Rockowej dekadencji ciąg dalszy. 76-letni Bruce Springsteen, wyręczając biografów, zapragnął utrwalić po wsze czasy wizerunek swojaka, któremu wystarczyła znajomość dwóch gitarowych akordów, by rzucić na kolana USA i w konsekwencji świat cały (bo Ameryka przecież mylić się nie może). Reguły success story wymagają, by w drodze na szczyt bohater kilka razy się potknął i solidnie poturbował. The Boss wspaniałomyślnie wyraził zgodę na upublicznienie jednego upadku. Miał on ponoć miejsce zimą 1982 r., w trakcie nagrywania albumu „Nebraska". Springsteen zaszył się wtedy na odludziu, na prymitywnym sprzęcie samopas nagrał kasetę demo z nowymi utworami, po czym uparł się, by wydawać je w pierwotnej formie, bez udziału zespołu i studyjnej obróbki. Płyta sprzedawała się znakomicie, lecz autor długo wychodził z depresji. W tej opowieści czarnych charakterów brak, a powody załamania idola pozostają tajemnicze. Na kryzys wieku średniego był wtedy stanowczo za młody.

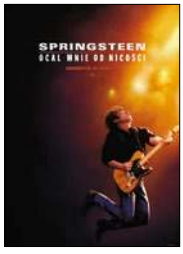

★★☆☆☆☆

REŻ. SCOTT COOPER
„BRUCE SPRINGSTEEN: OCAL MNIE OD NICOŚCI"
USA 2025

wyst. Jeremy Allen White, Odessa Young, Jeremy Strong

Ekranowy Springsteen żyje muzyką. Nie pije, nie pali, od narkotyków trzyma się z daleka, oszczędnie korzysta z przychylności fanek. Jego menedżer to anioł stróż bez skrzydeł. Szefowie wytwórni zgadzają się na wszystkie kaprysy rockmana, bo go szanują po prostu. On z kolei ma poczucie winy, bo przeprowadzka z New Jersey do Kalifornii zatrąca o zdradę ideałów.

Albo bohaterowi przytrafiło się coś naprawdę złego, lecz z tylko sobie znanych powodów woli tego nie ujawniać, albo ściemnia, licząc, że z aureolą męczennika będzie mu do twarzy. Porównanie z Johnnym Cashem nasuwa się samo i jest dla Springsteena miażdżące. Co to za heros, który tworząc „najbardziej osobiste teksty w karierze", potrzebuje protez w postaci „Badlands" i „Nocy myśliwego", czyli filmów mocno pachnących smołą i siarką. Tytuł „Ocal mnie od nicości" sugeruje dramat (jeśli nie tragedię). Ekranowe postaci, z jednym znamiennym wyjątkiem, mają odpowiedniki w realu. Rzecz należy jednak do tego samego gatunku, co „Bohemian Rhapsody" i „Królewna Śnieżka". To baśń z mchu i paproci. Szkoda Stephena Grahama, rola sfrustrowanego taty jest poniżej jego talentu. ©℗

WIECZNOŚĆ I NICOŚĆ

Polscy krwiopijcy są smutni, skłonni do narzekań i mało szkodliwi. Supermoce? Wampirzyca Monia umie żonglować i żuć gumę jednocześnie. Problemy mają ludzkie: samotność, alienacja tudzież desperackie poszukiwanie sensu egzystencji. My przynajmniej możemy umrzeć, dla nich nie ma żadnej ucieczki. Film, nakręcony w trzy dni i dziewięć nocy na tle przemocowych horrorów made in Poland zadziwia jakością. Co nie znaczy, że odkrywa Amerykę. „Kołysanka" Machulskiego była bardziej dowcipna i profesjonalna, lecz brakowało jej prostoduszności. Tu się nią oddycha. Przy okazji padł mit domu spokojnej starości: areny, na której brylują aktorzy weterani (patrz: Gustaw Holoubek w „Księdze wielkich życzeń"). Młoda ekipa Podolskiego dała radę. Czwarta gwiazdka za prezentację ocieplającą wizerunek kibiców Arki Gdynia. ©℗

KINO

★★★★☆☆

REŻ. PAWEŁ PODOLSKI
„ŻYCIE DLA POCZĄTKUJĄCYCH"
POLSKA 2025

wyst. Magdalena Maścianica, Michał Sikorski, Bartłomiej Kotschedoff

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Mezalians na Wawelu

W zaciemnionej przestrzeni Sali Senatorskiej spotykają się dwa światy. Splatają się ze sobą i tworzą niemal teatralną scenografię królewskie renesansowe arrasy z kolekcji Zygmunta Augusta z pracami Magdaleny Abakanowicz.

Zestawienie przestrzennych tkanin-rzeźb z sizalu z XVI-wiecznymi arrasami wykonanymi z wełny, jedwabiu oraz złotych i srebrnych nici w brukselskich warsztatach stwarza – jak piszą kuratorzy – „nowe pole interpretacji dla obu typów dzieł, odsłaniając ich zaskakujące podobieństwa oraz odmienność funkcji, formy i znaczeń [...]. Wystawa stawia także pytania o miejsce sztuki współczesnej w historycznych przestrzeniach rezydencji królewskich oraz o nowe znaczenia, jakie może przyjmować dziedzictwo artystyczne, gdy zostaje zestawione z nowoczesną formą wyrazu".

FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU

I tak oto abakany „Red-Brown", „Lady I", „Lady II", „Queen", „Anita", „Dorota", „Dorota III", „Ètroit", „Abakan with Ropes" sąsiadują z arrasami o tematyce animalistycznej i pejzażowej, m.in. „Wilk pożerający zająca", „Lis pożerający ptaka i królika" oraz monumentalną tapiserią figuralną „Bóg błogosławi rodzinę Noego". ©℗

GDZIE? *Zamek Królewski na Wawelu*
KIEDY? *do 6 stycznia 2026 r.*

eprasa.pl 46513f5f87

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Gdzieś obok nas

Są książki mądre, istotne, niosące ważkie przesłania, a są i błahe, na pozór traktujące o czterech literach Maryni, po które, bywa, sięgamy z przypadku albo dla zabicia czasu. I nagle, nie za często wprawdzie, zakochujemy się w nich, powtarzamy lekturę, potem jeszcze raz, i kolejny. W końcu zaczynamy mówić ich językiem, wcielamy się w powieściowych bohaterów, by wciąż na nowo przeżywać ich perypetie, bądźmy szczerzy, może i niewybredne, by nie powiedzieć prostackie, jednak z jakiegoś tajemniczego powodu wciąż dla nas atrakcyjne i świeże. I tak się jakoś dziwnie składa, że te – można by rzec – poronione książki stają się dla nas duchową strawą znacznie ważniejszą od obsypanych Noblami rzekomych arcydzieł.

Gdybym miał powiedzieć bez jakich tytułów pokrytych kurzem w domowej biblioteczce mógłbym się obyć, wymieniłbym całą ich długą niczym tasiemiec listę, ale na pewno za żadne skarby świata nie pozbyłbym się zaczytanych prawie na śmierć „Przygód dobrego wojaka Szwejka", „Konopielki" czy wiekopomnego poematu Wieniedikta Jerofiejewa „Moskwa – Pietuszki". I na tej właśnie półce z książkami, może i nie klasycznymi, ale na pewno kochanymi, znaleźć muszę miejsce dla przeczytanych właśnie „Dzieci Świętej Małgorzaty" chorwackiego autora Ante Tomicia.

Ta niewielka rozmiarami, absurdalna i niewyobrażalnie śmieszna powieść kończy się epilogiem, „po którym – jak się dowiadujemy – nie możecie już sobie przypomnieć, dlaczego czytaliście tę idiotyczną książkę, zamiast oglądać finał 70. sezonu »Big Brothera«". Odpowiedź jest oczywista. Bo »Big Brother« obraża resztki naszej sfatygowanej przez popkulturę inteligencji, a książka Tomicia przywraca nam nadzieję na to, że w tym porąbanym świecie jest możliwy jakiś ład, i że to, co naprawdę ważne, dzieje się w nas i obok nas, a nie w telewizji czy mediach społecznościowych.

Na przykład komendant policji dalmatyńskiego miasteczka, w którym rozgrywa się akcja powieści, niespecjalnie przejmuje się tym, że za regulaminowe wykroczenia może zostać pozbawiony pracy i wynagrodzenia, ponieważ zawsze może piec cevapy. Te ostatnie, bałkańskie pochodne kebabów, odgrywają zresztą w „Dzieciach Świętej Małgorzaty" wybitną rolę, choć może w stwierdzeniu, że „prawdziwy cevapy to Święty Graal z rusztu", zawiera się nieco przesady. O bałkańskiej kuchni mówi się tu dużo i, oczywiście, ze smakiem, ale jeszcze więcej o miłości czy – mówiąc wprost – o seksie i o ludzkich słabościach, na które najlepiej przymknąć oko. Mieszkańcy przygotowują się do obchodów dnia swojej świętej patronki, orkiestra, której najstarsi muzycy są w zespole od pół wieku, odbywa próby, a poza tym gra się tu w karty, plotkuje o prawdziwych i wydumanych romansach, no i popija rakiją wciąż dalekie od ideału cevapy. Ale w końcu i one stają się takie, jak Bóg przykazał, w czym wydatnie pomaga wyrzucony przez morze uchodźca z syryjskiego Aleppo. A miłość, jakżeby inaczej, „wszystko zwycięża", co potwierdza rykiem osiołek pana Mikuli, szczególnie zainteresowany miłosnymi zapędami bodaj wszystkich członków tej społeczności, której trudno nie polubić. No, niech będzie, że z małymi wyjątkami.

Ante Tomić, znany u nas z wydanego w zeszłym roku „Cudu w Dolinie Podskoków", równie zabawnej historii o rozpadzie patriarchalnego świata, pierwsze swoje opowiadania, zebrane w tomie „Zapomniałem, gdzie zaparkowałem", wydał w roku 1997, a debiutancką powieść „Kim jest mężczyzna bez wąsów" trzy lata później. Jej sceniczna adaptacja wystawiona w Zagrzebiu uznana została za najlepszą sztukę roku. W następnej powieści („Niszta nas ne smije iznenaditi") opisał życie rekrutów w armii. W tym czasie Tomić porzucił uprawiane przez lata dziennikarstwo, skupiając się tyleż na literaturze, ile na satyrze. Ten urodzony w 1970 r. w Splicie autor postrzegany jest dziś jako gawędziarz, komik i satyryk właśnie.

A mnie w trakcie lektury „Dzieci Świętej Małgorzaty" przypomniała się „Kurna chata", stara piosenka Jana Kaczmarka, w której opowiadał, że:

Gdzieś tam prezydent zbiegł w szlafroku
Gdzieś tam przyjęli jako wskaźnik stopę zysku
Pięć wizyt, sześć wyroków
Ktoś przez pomyłkę rekord świata pobił w dysku.

Oj, marzy mi się też taka kurna chata, bez polityków, bez zajmowania się tym, na co i tak nie mamy żadnego wpływu, za to z niewielkim może, ale miłym sercu towarzystwem. Mogłaby taka chata stać w Chorwacji, a niespiesznym pogwarkom o okrągłościach Maryni towarzyszyłaby konsumpcja, nie – cevapy darowałbym sobie, ale już hobotnica ispod peke, naturalnie z białym winem aż sama się prosi. A potem czekałbym na następną książkę Ante Tomicia. ©℗

★★★★★☆
ANTE TOMIĆ „DZIECI ŚWIĘTEJ MAŁGORZATY"
NOIR SUR BLANC, WARSZAWA 2025

eprasa.pl 46513f5f87

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Trzeba orać

Kwartalnik „Nasza Fantastyka" – ryzyko i nadzieja. Wskrzeszony w 2018 r. magazyn „Fenix" padł po dwóch latach, przy księgarni internetowej Esef ukazuje się jeszcze „SFinks" prowadzony przez Wojtka Sedeńkę. Ot, wszystko, poza tym na rynku tylko miesięcznik „Nowa Fantastyka". Tymczasem Jacek Horęzga, fan i wydawca z Brzegu, dokonał rzeczy niemal niemożliwej: nie dość, że nowe pismo się ukazało, to jeszcze trafiło do salonów Empik, co w przypadku nowych inicjatyw nie jest ani łatwe, ani oczywiste. Reszta w rękach czytelników.

Horęzgę poznałem jeszcze w latach 80. XX w., gdy obaj działaliśmy w ruchu klubów miłośników fantastyki. Jego przedsięwzięciu kibicuję jednak nie ze względu na znajomość, ale dlatego, że brakuje nam pism literackich poświęconych fantastyce, a nowy kwartalnik tym przede wszystkim ma się zajmować. W pierwszym numerze jest oczywiście miejsce i na krytykę, i na komiks, ale literatura ma być na pierwszym miejscu. Widzę w tym też świetną wiadomość dla autorów opowiadań fantastycznych, którzy dziś mogą wybierać miejsca premier wąsko: Internet albo nigdzie.

Jacek od paru lat rozkręca wydawnictwo Odmienne Stany Fantastyki (ukazało się już ponad 20 książek), więc nic dziwnego, że na łamach „Naszej Fantastyki" pojawiają się związani z tą oficyną autorzy (jak Luiza Dobrzyńska). Namówił do współpracy Jacka Inglota, wciąż myślącego o fantastyce na poważnie, a nie z filtrami young adult, skaptował Wojtka Szydę, jednego z najciekawszych polskich fantastów, bardzo osobnego i często sięgającego po tematykę metafizyczną lub wprost religijną. Znalazł na łamach miejsce dla Soheia, autora związanego z warszawskim Klubem Tfurców (wyrośli z niego i Grzędowicz, i Ziemkiewicz, i Pilipiuk, i Kołodziejczak).

W pierwszym numerze sporo miejsca poświęcono pożegnaniu niesłusznie zapomnianej polskiej pisarki SF Emmy Popik (odeszła w roku 2025), znalazło się też miejsce na wspomnienie o Macieju Parowskim, od którego śmierci minęło już ponad sześć lat, a którego uśmiech i duch wciąż unoszą się nad wszystkimi, którzy traktują polską fantastykę serio. „Coraz częściej różni nas niemal wszystko, ale łączy przecież nie co innego, jak fantastyka" – pisze Horęzga we wstępie. Oby tak było. ©℗

★★★★☆☆
KWARTALNIK „NASZA FANTASTYKA" NR 1/2025

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Pół tysiąca stron opowieści, reprodukcje kilkudziesięciu obrazów, wkładka z fotografiami. Biografia Józefa Czapskiego, wspaniałego artysty, świadka XX w. Kto nie posiada edycji z roku 2019, ma okazję uzupełnić księgozbiór.

ERIC KARPELES „PRAWIE NIC" NOIR SUR BLANC

„Od furii Normanów zachowaj nas, Panie" – tak modlili się podobno mieszkańcy Francji, ale minęło kilkadziesiąt lat i to właśnie wikińscy najeźdźcy zaczęli decydować o kształcie i przyszłości królestw Zachodu. Oto ich historia.

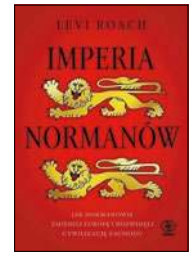

LEVI ROACH „IMPERIA NORMANÓW" REBIS

„Jak szpieguje nas Rosja": od bolszewików do Putina. Dobra wiadomość: prowadzone z iście diabelską inwencją intrygi już dziś nie są tak istotne. Zła wiadomość: Rosja skutecznie używa teraz przeciw Zachodowi innych metod.

SHAUN WALKER „NIELEGAŁOWIE" WYDAWNICTWO PORT

Soros nienawidzi Orbána, bo ten nie tylko go zwalcza, lecz także wyciągnął go z cienia i zdemaskował plany światowej inżynierii politycznej. Mamy dziś starcie świata Trumpa ze światem Sorosa, ale to Węgry pierwsze rzekły: „Nie!". ***recenzuje Piotr Gociek***

GABOR G. FODOR „ORBÁN KONTRA SOROS" WYDAWNICTWO VON BOROWIECKY

KOMIKS TYGODNIA:
SEKRETY I KŁAMSTWA

Debiutancki album znakomitego rysownika, którego podziwiamy za cykle „Rork" czy „Arq". Andreas zwykle sam pisze sobie scenariusze, tu jednak zilustrował krótkie opowieści pióra François Rivière'a. Zaskakujące dopiski/fantazje/reinterpretacje dotyczą dzieł i życia pisarzy, m.in. Verne'a, Lovecrafta, Agathy Christie czy zapomnianego już w Polsce Pierre'a Lotiego.

ANDREAS, FRANÇOIS RIVIÈRE „POŚMIERTNE OBJAWIENIA" KURC 2025

Piotr Gociek

eprasa.pl 46513f5f87

Czy Ukraina to „kraj banderowski” i co to określenie oznacza?

Piotr Semka

Mówienie o państwie ukraińskim jako państwie banderowskim jest uproszczeniem. Na dodatek bywa furtką usprawiedliwiającą zwykły antyukrainizm. Staje się moralnym usprawiedliwieniem zrywania ukraińskich flag czy przykrywania polską flagą murali wyrażających polską solidarność z Ukrainą w walce z rosyjską agresją

Łukasz Warzecha postanowił zająć się tematem ukraińskiego nacjonalizmu w niedawnym tekście „Zamykanie oczu na niewygodną prawdę” („Do Rzeczy” nr 43/2025). Zaczął od podstawowej tezy: „Ukraiński nacjonalizm nie wisi w próżni. Jest systemem zbudowanym na konkretnym historycznym fundamencie – terroryzmu, zbrodni, współpracy z hitlerowskimi Niemcami i ludobójstwa. Te wszystkie elementy nadal tam są, tyle że zamiecione pod dywan. Chwilowo”.

Przeczytałem uważnie ten tekst i uznałem, że zawiera on na tyle dużo uproszczeń, a niekiedy nawet daleko idących uogólnień, iż nie mogę zostawić go bez komentarza. Swoje uwagi postanowiłem podzielić na trzy części.

Czy postulat rozliczenia się Ukrainy ze zbrodniami na Wołyniu i z innymi mordami dokonywanymi przez UWO, a następnie OUN można porównać do rozliczeń Niemców?

Jeżeli chce się zrozumieć konflikt pamięci na linii Polska – Ukraina, to my w swojej wewnętrznej polskiej dyskusji musimy najpierw zrozumieć różnice pomiędzy rozliczeniami Niemiec z przeszłością a tym, jak problem ten postrzegają Ukraińcy.

Zacznijmy od podstawowej różnicy. Rozliczenie ze zbrodniami niemieckimi zostało wymuszone na Niemcach wskutek okupacji terenów dawnej III Rzeszy przez mocarstwa alianckie. Była to sytuacja bezprecedensowa. I można podejrzewać, że gdyby do takiej okupacji nie doszło, niemieckie rozliczenia byłyby albo powierzchowne, albo w ogóle nawet mogłoby ich nie być. Dlatego rozliczenia w Niemczech i Japonii są oczywiście wzorem moralnym (choć wiemy, że i tak późniejsza praktyka sądowa RFN zawierała też wiele skandalicznych zaniechań), ale były możliwe dzięki odsunięciu Niemców o decydowaniu o swoim państwie przez pierwsze cztery lata, a w szerszym sensie – przez pierwszych 10 lat powojennych.

W wypadku Ukrainy sytuacja jest zgoła inna. Formalnie rozliczenia wobec zbrodni UPA jako pierwsze dokonało już państwo sowieckie. Tyle że represje te nie dawały się oddzielić od polityki represyjnej imperium Stalina wobec całej Ukrainy. I to spowodowało, że gdy po 1991 r. Ukraina odzyskała niepodległość, ugrupowania niepodległościowe zaczęły odtwarzać kult UPA i Stepana Bandery jako przywracanie pamięci o zakazanej tradycji wolnościowej oraz czci ofiarom stalinowskich represji.

I właśnie ten rys odróżnia sytuację Niemiec od Ukrainy, choć oczywiście w najmniejszym stopniu nie usprawiedliwia moralnie zbrodni dokonywanych w imieniu ukraińskich organizacji niepodległościowych.

Jest i inna różnica. III Rzesza dokonywała zbrodni jako silne imperium atakujące inne państwa w sytuacji braku jakiegokolwiek zagrożenia zewnętrznego wobec Niemiec. Zbrodnie ukraińskie to wyczyny ruchu niepodległościowego, który uważa się za naród skrzywdzony, pozbawiony praw do niepodległego

eprasa.pl 46513f5f87

państwa i w swoim rozumieniu broniący się przed cudzą przeważającą władzą. To ogromna różnica mentalna i blokada psychologiczna.

W tym sensie UPA przypominała algierski FLN – Front Wyzwolenia Narodowego, który w latach 1954–1962 kierował zbrojnym powstaniem przeciwko francuskiej władzy, a także przeciwko Algierczykom, którzy zaakceptowali francuskie zwierzchnictwo. Podobieństwa z FLN są o tyle trafne, że algierscy radykałowie z pełną premedytacją starali się, aby ich terror prowokował Francuzów do coraz brutalniejszych represji, co miało wzmacniać antagonizm pomiędzy obiema społecznościami. Podobnie jak FLN OUN mordowała także tych Ukraińców, którzy z powodzeniem wcielali w życie próby jakiejś kooperacji z Polską, np. w lipcu 1934 r. zamordowała dyrektora ukraińskiego Gimnazjum Akademickiego we Lwowie, Iwana Babija. Tak samo FLN specjalizował się w mordowaniu tych francuskich urzędników, którzy odnosili sukcesy w pozyskiwaniu algierskich elit dla polityki Paryża. I tu znów nasuwa się analogia do zabójstwa polskiego wojewody promującego kooperację z Ukraińcami – Tadeusza Hołówki.

Problem w tym, że ruchy niepodległościowe, które posługiwały się terrorem w walce z państwami uważanymi za okupantów – to nie tylko przypadek algierskiego FLN, lecz także macedońskiej WMRO w latach 30., chorwackich ustaszy, baskijskiej ETA czy Irlandzkiej Armii Republikańskiej (IRA) – nie są skłonne do daleko idących rozliczeń z terrorystyczną przeszłością, gdyż uważają ją za wymuszoną przez stronę silniejszą.

I zawsze mają na podorędziu cały katalog swoich wcześniejszych krzywd w postaci niesprawiedliwych wyroków, skrytobójstw ze strony policji krajów dominujących czy represji na zasadzie odpowiedzialności zbiorowej. W podobny sposób Państwo Izrael nigdy nie odcięło się od mordów dokonywanych przez jego organizacje wojskowe, Haganę czy Irgun, na ludności arabskiej w czasie walk izraelsko-palestyńskich w latach 1944–1949. Bardzo często osoby, które można obciążyć odpowiedzialnością lub współodpowiedzialnością za takie zbrodnie, odgrywały potem ważną rolę w walce o niepodległość, i dla tych narodów jest to ważniejsze niż ich odpowiedzialność za zbrodnie. Na tej zasadzie Ukraińcy z dawnej Galicji kultywują pamięć komendanta UPA z okresu powojennego, Romana Szuchewycza. Ale czczą go jako bohatera walki do końca w bunkrze UPA w okolicach wioski Biłohorszcze koło Lwowa, gdzie bronił się otoczony przez wojska NKWD. I to dla Ukraińców jest ważniejsze jako symbol oporu do końca niż to, że są poważne powody, by sądzić, iż Szuchewycz jako członek władz OUN-B wiedział i zaakceptował masakrę na Wołyniu w porozumieniu z drugim dowódcą UPA Północ – Dmytrem Klaczkiwskim.

Reasumując, państwa takie jak Irlandia czy Izrael, które uzyskały wolność także w wyniku aktów terroru czy nawet przypadków czystek etnicznych (Izrael), mają blokady zdolności do rozliczenia się z przypadkami mordów po swojej stronie. Zazwyczaj maksimum tego, na co stać np. przywódców społeczności irlandzkiej czy Basków, jest wyrażenie szacunku dla zamordowanych ofiar przy jednoczesnym podkreślaniu, że akty terroru były wywołane przemocą z drugiej strony. W wypadku dzisiejszej Ukrainy sprawę dodatkowo komplikuje to, że kraj ten znajduje się w stanie wojny, która siłą rzeczy stoi na pierwszym planie myślenia i działania władz w Kijowie i – szerzej – ukraińskich elit.

A jednocześnie musimy pamiętać, że Ukraina to kraj, który dzięki zatrzymaniu rosyjskiej ofensywy zyskał sporo pewności siebie. Choć najczęściej mamy swoistą mieszankę między desperacją wynikającą z niepewnej sytuacji Ukrainy a pewnością siebie wynikającą z okresowych sukcesów militarnych armii ukraińskiej w starciu z Rosjanami. Wszystko to wskazuje na to, że na pewno szersza refleksja nad wyjątkowością zbrodni wołyńskiej nie nastąpi. Co nie oznacza, że dialogu historycznego nie należy prowadzić. Ale wymaga to spokoju i wiedzy o złożoności tematu.

Ukraińcy proponują pojednawczą w ich opinii formułę tzw. tragedii wołyńskiej i czegoś, co nazywają wojną polsko-ukraińską w latach 1942–1947. Z ich punktu widzenia to maksimum tego, do czego mogą się posunąć. Dla Polaków jest to trudne do zaakceptowania, gdyż sugeruje symetrię krzywd po obu stronach. I tu różnica zdań będzie się utrzymywać. Polem, na którym mogłoby dojść do jakiejś kooperacji, może być kwestia pochówku ofiar masakry wołyńskiej na terenach dawnych polskich Kresów, ale tu również Ukraińcy będą wysuwać żądanie ekshumacji ofiar ukraińskich – czy to zmarłych w akcjach odwetowych AK i BCh na terenie Lubelszczyzny, czy pochówków żołnierzy UPA, którzy spoczywają po polskiej stronie granicy. Ta ostatnia kwestia budzi obecnie duże emocje nad Wisłą, choć przypomnieć trzeba, że w Polsce odbywają się ekshumacje i zorganizowane pochówki, np. żołnierzy niemieckich, którzy zginęli na polskich ziemiach w czasie drugiej wojny światowej.

Czy ukraiński nacjonalizm to synonim terroryzmu i zbrodni?

Łukasz Warzecha w swoim tekście używa wyłącznie określenia ukraiński nacjonalizm. Ja uważam, że to wrzucanie bardzo wielu rzeczy do jednego worka. Pisze tak: „W sferze pamięci, historii, a także ideologii, która stanowi dzisiaj symboliczną siłę napędową państwa ukraińskiego, na pierwszym planie jest to, co w Polsce określa się ogólnie mianem banderyzmu. Nie wdając się w nadmierne historyczne detale, można ten pogląd ogólnie zdefiniować jako agresywny, ekspansywny nacjonalizm, którego skutkiem było stworzenie i wykonanie planu czystki etnicznej na terenach uznawanych przez ukraińskich nacjonalistów za należące do Ukrainy”.

Trudno zgodzić mi się z opinią, że „banderyzm” jest dzisiaj symboliczną siłą napędową państwa ukraińskiego. Do tradycji, do których odwołuje się współczesna Ukraina, należy nieporównanie więcej elementów, które moglibyśmy określić, jeśli przyjmiemy najpierw jakieś uporządkowanie pojęć. Jak rozumiemy słowo „nacjonalizm”? Jeśli jako synonim ruchu narodowego i niepodległościowego, to ogromna jego część nie miała żadnego charakteru ludobójczej ideologii. Choć oczywiście wypadki zbrodni się zdarzały, tak jak w wypadku wszystkich państw. Weźmy za przykład epopeję kozacką. W dziejach powstań kozackich zdarzały się masakry Żydów i Polaków, ale była to cecha ówczesnego stylu prowadzenia wojen.

eprasa.pl 46513f5f87

Jak zareagowalibyśmy, gdyby któryś z ukraińskich historyków opisywałby represyjne rzezie księcia Jaremy Wiśniowieckiego jako dowód na zbrodniczą ideologię ówczesnego Królestwa Polskiego? Ruch narodowy ukraiński miewał rozmaite oblicza. To była np. uparta i cierpliwa praca Ukraińców galicyjskich, która doprowadziła do powstania partii ukraińskich, które zasiadały w parlamencie krajowym Galicji i w parlamencie ogólnoaustriackim w Wiedniu. To były dziesiątki, setki organizacji społecznych, sportowych, skautowych, oświatowych, spółdzielczych i kulturalnych budujących ukraińską tożsamość Galicji, a potem w okresie międzywojennym. To tradycja Strzelców Siczowych przypominających nasze Legiony, krótkotrwałej Ukraińskiej Republiki Ludowej z lat 1917–1920, wielkiego głodu, męczeństwa Kościoła greckokatolickiego i ruchu dysydenckiego z lat 70. i 80. To wszystko Łukasz Warzecha pomija. To bardzo wygodne, bo wtedy zostaje tylko rejestr zabójstw i mordów.

Na dowód, że idea narodowa jest nierozerwalnie związana z przemocą i terrorem, mój kolega po piórze przypomina zabójstwo w 1908 r. namiestnika Galicji, Andrzeja hrabiego Potockiego, przez studenta Józefa Myrosława Syczyńskiego. Nie podaje jednak, że sam Syczyński nie reprezentował żadnej konkretnej organizacji terrorystycznej Ukraińców. Nie jest też jasne, czy strzelał do Potockiego jako opresora Ukraińców czy też przedstawiciela klas panujących. Pamiętać należy, że Syczyński był zwolennikiem Ukraińskiej Partii Socjal-Demokratycznej i jednocześnie przejawiał poglądy anarchistyczne. Warzecha, aby podkreślić, że był to prekursor terroru OUN, podnosi, że Syczyński „w 1911 r. uciekł z więzienia w Stanisławowie, wyjechał do Szwecji, przeżył wojnę, zamieszkał w USA i tam dalej wspierał aż do śmierci agresywny ukraiński nacjonalizm".

I znów kolega po piórze pozwala sobie na uogólnienie, które ma służyć przyjętej wcześniej przez niego tezie. Otóż Syczyński w USA zajmował stanowisko filosowieckie. Trzykrotnie przyjeżdżał z Ameryki do Ukraińskiej SRS, zarówno w latach 30., odwiedzając sowiecką Połtawę, jak i w latach 60., składając wizytę w kontrolowanym przez władze sowieckie Lwowie. Czy gdyby był do końca życia nacjonalistą ukraińskim, sowiecka ambasada w USA dałaby mu paszport?

Czy banderyzm jest ideologią państwową obecnej Ukrainy?

To zależy, jak definiujemy słowo „banderyzm". Jeśli uznajemy banderyzm za ideologię narodowego darwinizmu, zgodę na mord w imię idei narodowej czy czystki etniczne, to oczywiście nie.

Jeżeli zaś rozumiemy pod tym słowem akceptowanie kultywowania pamięci o UPA jako organizacji niepodległościowej i element tradycji niepodległościowej państwa ukraińskiego, to rzeczywiście tak jest. Tyle że trzeba zaznaczyć, iż w tej kwestii nawet na zachodniej Ukrainie akcentuje się wyłącznie okres walki z NKWD, głównie w latach 1945–1950. Zaznaczyć też trzeba, że kult UPA w sensie pomników, popiersi i tablic to w 90 proc. specyfika trzech zachodnich obwodów Ukrainy: lwowskiego, tarnopolskiego i iwanofrankiwskiego. Weźmy za przykład najbardziej bolesny dla Polaków temat upamiętnień Stepana Bandery. Na Ukrainie jest 41 pomników, popiersi i tablic czczących Banderę. Aż 20 z nich w obwodzie lwowskim, 10 w obwodzie tarnopolskim i osiem w obwodzie iwanofrankiwskim. Razem 38. Poza dawną Galicją są tylko trzy pomniki: dwa w obwodzie rówieńskim, jeden w obwodzie chmielnickim. W tym ostatnim wypadku do postawienia pomnika nie doszło, gdyż w jego miejscu nadal stoi jedynie kamień pamiątkowy, postawiony w 2017 r. Wszystkie wspomniane pomniki powstały między 1999 a 2016 r. Jak twierdzi ukraińska publicystka Olena Babakowa, po 2022 r., czyli rozpoczęciu wojny z Rosją na pełną skalę, NIE DOSZŁO do żadnych nowych upamiętnień ani Stepana Bandery, ani innych przywódców UPA. Nie jest też tak, że upamiętnienia Bandery nie wywoływały reakcji. Gdy w 2010 r. prezydent Wiktor Juszczenko podpisał dekret o pośmiertnym nadaniu tytułu Bohatera Ukrainy Banderze, wskutek sprzeciwu Donieckiego Okręgowego Sądu Administracyjnego decyzja ta została wstrzymana i nie weszła w życie do dziś. Choć jednocześnie Bandera został zaliczony przez parlament w Kijowie osobnym aktem prawnym do liczącej wiele nazwisk grupy bojowników o wolność Ukrainy w XX w. Również nadanie w Kijowie imienia Stepana Bandery dawnemu Moskiewskiemu Prospektowi było obiektem sporu sądowego między władzami miejskimi a ruchami miejskimi w latach 2016–2021, który przeszedł przez dwie instancje, choć w końcu zakończył się utrzymaniem nazwy bulwaru.

Kult UPA, w sensie pomników, popiersi i tablic, to w 90 proc. specyfika trzech zachodnich obwodów Ukrainy

Piszę to wszystko, aby wskazać, że mówienie o państwie ukraińskim jako państwie banderowskim jest uproszczeniem. Na dodatek bywa furtką usprawiedliwiającą zwykły antyukrainizm. Staje się moralnym usprawiedliwieniem zrywania ukraińskich flag, zaklejania np. w Gdyni uchwalonej przez miasto nazwy skweru im. Wolnej Ukrainy czy przykrywania polską flagą murali wyrażających polską solidarność z Ukrainą w walce z rosyjską agresją. Szczególnie po stronie polskiej prawicy wiedza o historii Ukrainy często zastępowana jest lekceważącymi opiniami w stylu: „Ukraina nigdy nie istniała", „Nie można mówić o tysiącletniej historii Ukrainy" czy kpin z jakiegokolwiek mówienia o ukraińskiej kulturze. Wszystko to jest efektem tego, że Ukraina swoją formalną państwowość (jeśli nie liczyć fasadowej ukraińskiej SRS) liczyć może od 1991 r.

Tyle że fakt, że państwo ukraińskie w formie trwałej powstało dopiero 34 lata temu, nie zmienia tego, że Ukraińcy są naszym wschodnim sąsiadem od setek lat. Jako wspólnota osobnej mowy, obyczaju, a po części i osobnej religii lub obrządku. Dopiero dobrze znając historię i świat wyobrażeń ukraińskich, można z naszymi wschodnimi sąsiadami prowadzić solidnie udokumentowane polemiki historyczne. Zamykanie oczu na ten fakt nie ma nic wspólnego z realizmem, na który często powołuje się mój redakcyjny kolega.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 46513f5f87

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

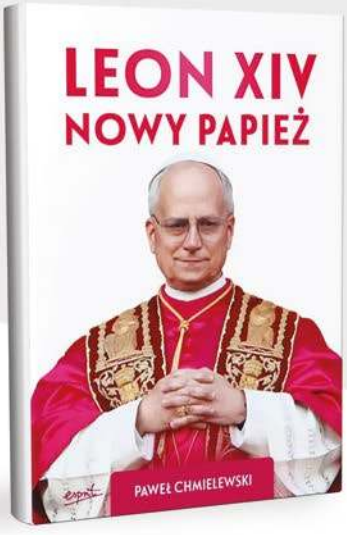

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

PAWEŁ CHMIELEWSKI: „LEON XIV. NOWY PAPIEŻ"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~786~~ ZŁ

306,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 482 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę | Dostępna również opcja wysyłki do paczkomatu InPost

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 46513f5f87

Czy los Ukrainy mógł być inny?

Lech Mażewski

Bez względu na to, jak się zakończy konflikt nad Dnieprem, jedno jest oczywiste: Ukraina nie wyjdzie z niego zwycięska. Co więcej, pod każdym względem będzie w gorszej sytuacji niż w chwili uzyskania niepodległości w 1991 r. Czy mogło być inaczej?

W momencie rozpadu ZSRS w 1991 r. powstał w Europie pas państw pozablokowych – w sensie braku przynależności do jakiegoś sojuszu militarnego. Chodziło oczywiście o NATO, bo Układ Warszawski uległ już wcześniej rozwiązaniu. Pas ten ciągnął się bez mała od północnego koła podbiegunowego do wybrzeży Morza Czarnego i obejmował: Finlandię, Szwecję, Litwę, Łotwę i Estonię, a następnie Białoruś, Ukrainę i Mołdawię. Mogło mieć to potencjalnie olbrzymie znaczenie dla sytuacji w Europie, ponieważ w ten sposób pojawiłaby się bardzo obszerna przegroda między NATO, nawet z udziałem od 1999 r. części dawnych europejskich państw socjalistycznych, w tym Polski, a Rosją, która stawałaby się w rzeczywistości bardziej mocarstwem euroazjatyckim niż europejskim. Moskwa oczekiwała, że obszar ten nie będzie objęty ekspansją militarną Zachodu, godząc się jedynie na obecność w NATO państw nadbałtyckich, ale zdecydowanie sprzeciwiając się, aby to samo mogło dotyczyć Ukrainy. Inaczej wyglądałaby kwestia przynależności tych państw do Unii Europejskiej, co pozostawiano do decyzji zainteresowanych.

Trwałe istnienie takiego pasa państw od Finlandii do Ukrainy i Mołdawii

eprasa.pl 46513f5f87

Wieżowiec w Kijowie po ataku rosyjskiego drona, 26 października 2025 r. FOT. ABACA/ABACA PRESS/FORUM

o charakterze pozablokowym, aczkolwiek z możliwością przynależenia do struktur unijnych, byłoby w pewnym sensie repliką rozwiązań z połowy lat 50. ubiegłego wieku. Wtedy bowiem w środkowej i południowej Europie Szwajcaria, Austria i Jugosławia pełniły na mniejszą skalę taką funkcję, rozdzielając NATO od Układu Warszawskiego. Tym razem okazało się to niemożliwe. Absolutnie swoisty moment unipolarny w dziejach świata po upadku ZSRS pozwalał Stanom Zjednoczonym na ekspansję na Wschód kosztem osłabionej Rosji, co związane było też z próbą sabotowania chińskiej Inicjatywy Pasa i Szlaku, który miał przebiegać przez te tereny.

Czy utrzymanie się takiego pozablokowego pasa państw byłoby w interesie Ukrainy? Oczywiście, że tak, szczególnie widać to teraz po tym, w jakim jest ona stanie. Dzięki utrzymaniu się takiego tworu geopolitycznego to wielkie terytorialnie państwo z ludnością liczącą u progu niepodległości w 1991 r. ponad 50 mln mieszkańców i z liczącym się przemysłem, chociażby kosmicznym, sławnymi czarnoziemami i wieloma bogactwami naturalnymi mogłoby przeżywać prosperity. Na przeszkodzie stanęły ukształtowana tam systemowa niemalże korupcja, oligarchia podporządkowująca sobie państwo, a ponadto nieprzystąpienie do budowy państwa regionów na wzór Hiszpanii czy Włoch. Zamiast tego rządzący Ukrainą ulegli presji homogenizacji narodowej, czemu Kijów hołduje po 2014 r. W przeciwnej sytuacji nie wybuchłby żaden zbrojny konflikt rosyjsko-ukraiński – mimo że na całym interesującym nas obszarze od koła podbiegunowego do Morza Czarnego toczyłaby się gra interesów między USA, Rosją, UE, w tym, miejmy nadzieję, i Polską, a także zapewne Chinami. Wojna nie byłaby tu do niczego potrzebna, możliwość uzyskania przewagi uzyskiwano by innymi środkami.

Także my powinniśmy chcieć, aby istnienie takiego pasa państw się utrwaliło, choć nic w tym kierunku nie zrobiliśmy. Odsunięcie Rosji daleko od naszych granic warte było zabiegów. Po upadku ZSRS można to było stosunkowo łatwo osiągnąć, bez uciekania się do użycia siły zbrojnej, o czym nieustannie dywaguje fundacja Strategy and Future.

PROPOZYCJE ROSYJSKIE Z 17 GRUDNIA 2021 R.

17 grudnia 2021 r. minister spraw zagranicznych Rosji Siergiej Ławrow przedstawił propozycje, choć Zachód mówi raczej o żądaniach, w sprawie nowej architektury bezpieczeństwa w Europie. Sednem tych przedłożeń odnośnie do Ukrainy było wyrzeczenie się przez to państwo możliwości wejścia do NATO, ale nie zakaz członkostwa w UE. W odniesieniu zaś do państw przyjętych do NATO od 1999 r. chciano w gruncie rzeczy, aby stały się one członkami paktu jedynie w sensie politycznym, a nie wojskowym.

24 lutego 2022 r. Rosja, atakując Ukrainę, ogłosiła rozpoczęcie specjalnej operacji wojskowej. Być może na Kremlu wyobrażano sobie, że będzie to coś w rodzaju działań przypominających bezkrwawe zajęcie Krymu w 2014 r. Rzeczywistość okazała się inna, a walki, w niczym nieprzypominające działań z okresu drugiej wojny światowej, trwają do dziś, bez ostatecznego rozstrzygnięcia.

To, że USA nie potraktowały poważnie propozycji rosyjskich z połowy grudnia 2021 r., jest oczywiste. Bo niby dlaczego należałoby się liczyć z państwem, które wydawało się, że jest w stanie takiego samego upadku jak za Borysa Jelcyna? Ale z jakiego powodu w taki sam sposób postąpiła Ukraina, to znacznie trudniej zrozumieć. Czy na pewno na tym polegał interes państwowy naszego południowo-wschodniego sąsiada? Czy nie dostrzegano w Kijowie oczywistej dysproporcji potencjału w porównaniu z Moskwą? Czy bez przystąpienia do NATO, czego zresztą nikt Ukrainie nie obiecywał, nie można było sobie wyobrazić dalszego funkcjonowania własnego państwa? Sąsiednia Białoruś od początku 2000 r. wchodzi w skład tworu o nazwie Związek Białorusi i Rosji, a jednak zachowuje duży zakres podmiotowości w stosunkach z Rosją. Dlaczego by tak nie miało być w przypadku Ukrainy po rezygnacji przez nią z aspiracji do członkostwa w NATO? Przecież potencjał Kijowa był bez porównania większy niż Mińska. Dziś już chyba tak nie musi być.

W Ewangelii św. Łukasza czytamy: „Albo który król, mając wyruszyć, aby stoczyć bitwę z drugim królem, nie usiądzie wpierw i nie rozważy, czy w dziesięć tysięcy ludzi może stawić czoło temu, który z dwudziestu tysiącami nadciąga przeciwko niemu? Jeśli nie, wyprawia poselstwo, gdy tamten jest jeszcze daleko, i prosi o warunki pokoju" (Łk 14, 31–32). Nic nie wiadomo, aby przywódcy Ukrainy na przełomie lat 2021 i 2022 skorzystali z tej rady, tym bardziej że dysproporcja sił była znacznie większa. W innym fragmencie tego samego rozdziału jest ponadto powiedziane: „Bo któż z was, chcąc zbudować wieżę, nie usiądzie wpierw i nie oblicza wydatków, czy ma na wykończenie? Inaczej, gdyby założył fundament, a nie zdołałby wykończyć, wszyscy, patrząc na to, zaczęliby drwić z niego: »Ten człowiek zaczął budować, a nie

eprasa.pl 46513f5f87

zdołał wykończyć«" (Łk 14, 28–30). Czy przypadkiem władze Ukrainy nie znajdują się obecnie w takiej sytuacji?

Musimy mieć świadomość, że realizacja ewangelicznej rady mogłaby być okupiona ograniczeniem przez Ukraińców zakresu niepodległości państwa. Jednak niepodległość odnosi się do stanu faktycznego, w jakim znajduje się państwo, a więc nie ma ona charakteru bezwzględnego, jest zaś stopniowalna. Stąd po wzmocnieniu własnych sił albo przy lepszej koniunkturze międzynarodowej istniałaby przecież możliwość powiększenia zakresu posiadanej przez państwo niepodległości. Ale aby to było możliwe, trzeba zachować jak największy zakres własnej podmiotowości, a o to Kijowowi będzie trudno po zakończeniu tych tak bardzo niszczących działań zbrojnych.

MOŻLIWOŚCI ROZMÓW POKOJOWYCH W 2022 R.

Niemalże równolegle z rozpoczęciem walk, kiedy Rosjanom nie udało się zająć Kijowa, wszczęto rozmowy pokojowe z udziałem obu stron. Początkowo odbywały się one na Białorusi, a później przeniesione zostały do Stambułu. W ich efekcie w kwietniu 2022 r. strony parafowały dokument, który mógł stać się podstawą zawarcia pokoju. Wiele postanowień, np. odnośnie do kształtu sił zbrojnych Ukrainy, a także posiadanego przez nią uzbrojenia, miało charakter widełkowy, co wymagałoby dalszych negocjacji. Wykluczono przynależność Ukrainy do NATO. Jedynie w sprawie kształtu terytorialnego naszego południowo-wschodniego sąsiada nie udało się niczego ustalić. Dalsze prace nad tym dokumentem zostały przerwane w skutek interwencji premiera Wielkiej Brytanii Borisa Johnsona. Można bardzo wątpić, czy stało się to zgodnie z interesem państwowym Kijowa.

Zawarcie na wiosnę 2022 r. pokoju między Ukrainą a Rosją z pewnością byłoby bardzo korzystne dla Kijowa, który w ten sposób decydowałby sam o swoich sprawach. Brak uczestnictwa w tym procesie państw trzecich podkreślałby znaczenie Ukrainy, mogącej samodzielnie rozstrzygać o sobie. Poza tym pokój zawierany byłby z pozycji siły, bo właśnie odparto rosyjski atak na stolicę Ukrainy. I wreszcie dzięki temu uniknięto by kolosalnych zniszczeń materialnych i strat ludzkich, z którymi będziemy mieć do czynienia w trakcie przedłużającego się konfliktu.

Sednem rosyjskich propozycji odnośnie do Ukrainy było wyrzeczenie się przez to państwo możliwości wejścia do NATO, ale nie zakaz członkostwa w UE

Przywrócenie pokoju między Ukrainą a Rosją na wiosnę 2022 r. mogłoby dać szansę na utrzymanie pasa państw pozablokowych, który ukształtował się po upadku ZSRS. Przecież wtedy ani Szwecja, ani Finlandia nie były w NATO, państwa nadbałtyckie mogłyby uzyskać status Francji po 1966 r., kiedy wystąpiła ona ze struktur wojskowych paktu, pozostając jego członkiem w sensie politycznym, co z kolei powinno się stać za cenę sprowadzenia związków państwowych Białorusi i Rosji jedynie do wymiaru politycznego czy gospodarczego, a nie militarnego. W efekcie przegroda między NATO a Rosją nabrałaby trwałego charakteru, stając się niezwykle ważnym elementem nowej architektury bezpieczeństwa europejskiego, czemu towarzyszyłaby rezygnacja z dalszego rozszerzania NATO o dawne republiki sowieckie, a jednocześnie wypowiedzenia Aktu Założycielskiego NATO-Rosja z 1997 r. Polska w ten sposób przestałaby być państwem drugiej kategorii w ramach paktu.

Na jesieni 2022 r. ponownie pojawiła się szansa na zawarcie pokoju między Ukrainą a Rosją. Po utracie przez Moskwę Chersonia, czemu towarzyszyło jednak bardzo sprawne wycofanie własnych wojsk, i klęsce armii rosyjskich w obwodzie charkowskim Kijów z pozycji siły mógł zaproponować Moskwie powrót do rozmów stambulskich. Bardzo ciekawe, jaka byłaby reakcja Władimira Putina na tego rodzaju propozycję. Czy pogodziłby się on z przegraną na Ukrainie, a może wzorem Aleksandra I po zajęciu Moskwy przez Napoleona w 1812 r. chciałby kontynuować wojnę do zwycięskiego końca? Nie dowiemy się tego, ale z pewnością Ukraina nie skorzystała z szansy na podkreślenie swojej podmiotowości – bez względu na reakcję Rosji.

Wojna tocząca się nad Dnieprem jest nie do wygrania przez Ukrainę, i to bez względu na to, ile setek tysięcy żołnierzy ukraińskich jeszcze zginie. Kijów miał duże szanse na jej zakończenie, ale nie skorzystał z nich. Teraz będzie już tylko gorzej, a bajdurzenia o tym, że Moskwa jest na skraju powtórzenia się scenariusza z 1917 r., a więc rozpadu armii i państwa, jak najgorzej świadczą o tych, którzy snują takie opowieści. Jeśli kogoś mogłoby to spotkać, to Ukrainę.

UKRAINA I BIAŁORUŚ: ODMIENNE LOSY

Bardzo pouczające jest porównanie losów Ukrainy i Białorusi, państw, które uzyskały niepodległość w wyniku rozpadu ZSRS. W punkcie startu przewaga Kijowa nad Mińskiem była pod każdym względem oczywista; odnosi się to do obszaru, ludności, miejsca w systemie międzynarodowym czy wielkości gospodarki. Ale Białoruś uniknęła wejścia do wojny, co dla niej skończyłoby się równie tragicznie, jak dla jej południowego sąsiada. To triumf właściwego rozumienia i realizacji swojego interesu państwowego przez Mińsk, co trudno dostrzec w Kijowie.

Symbolicznym wyrazem tej sytuacji może być choćby fakt, z jakim szacunkiem Donald Trump odnosi się do Aleksandra Łukaszenki, w odróżnieniu od tego, jak traktuje Wołodymyra Zełenskiego. Tego drugiego ruga publicznie. Jedynie dla potomków polskiej szlachty prezydent Białorusi pozostaje wcieleniem chłopa pańszczyźnianego, któremu należy się wyłącznie pogarda. A przecież to Łukaszenka z kołchoźników zrobił naród posiadający swoje państwo, czego nigdy przedtem nie było. W przeciwieństwie do tego los narodu i państwa ukraińskiego jest bardzo niejasny.

W polityce istnieje zasada, że obowiązkiem rządzących jest przekazanie następcom państwa w nie gorszym stanie, niż je otrzymali od poprzedników, a w żadnym wypadku nie powinni doprowadzić oni do uszczuplenia tego, co zostało im powierzone. Świetnie to rozumie i realizuje prezydent Białorusi, natomiast dla rządzących w Kijowie, szczególnie po 2014 r., jest to trudne do pojęcia. Dlatego dziś sprawy nad Dnieprem mają się tak, jak się mają.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 46513f5f87

REPUBLIKA

Przegląd najistotniejszych tematów i wydarzeń politycznych z autorskim komentarzem
Rafała Ziemkiewicza

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 46513f5f87

Jarosław Lewandowski

Po pierwsze: nie przeszkadzać

FOT. ADOBE STOCK

Polska ma najniższe wskaźniki dostępności do broni dla obywateli pośród wszystkich państw europejskich – kilkukrotnie mniejsze niż Czechy, Niemcy czy Słowacja. Tymczasem wciąż podejmowane są próby zniechęcania do posiadania broni, co w kontekście wojny za naszymi granicami wygląda na sabotaż

Państwo powinno raczej zachęcać obywateli do uzyskiwania pozwoleń na broń, nabywania broni i amunicji oraz ćwiczenia się w strzelaniu. Masowy ruch strzelecki pomoże odbudować krajowy przemysł, obecnie prawie nieistniejący. Dziś mamy po jednej państwowej fabryce broni strzeleckiej i amunicji małokalibrowej, prywatną fabrykę broni (zaopatrującą z powodzeniem armię ukraińską – polskie formacje mundurowe nie interesują się jej ofertą) i prywatną fabrykę amunicji śrutowej. Do tego kilka mniejszych zakładów scalających naboje (głównie pistoletowe) i parę warsztatów rusznikarskich, składających na niewielką skalę broń z importowanych części. Jak na sporej wielkości kraj europejski to żenująco mało.

Żyjemy w takich czasach, że nie stać nas na zniechęcanie osób gotowych za własne pieniądze nabywać umiejętności przydatne w razie ewentualnego konfliktu zbrojnego. Te umiejętności powinny być doceniane przez rządzących, tym bardziej że przecież wojsko nie nauczy nikogo celnego strzelania, zwłaszcza do ruchomych celów przemieszczających się poprzecznie, takich jak drony. Wojsko co najwyżej nauczy rekrutów na tyle bezpiecznego posługiwania się bronią, aby nie uczynili sobie nią krzywdy – i to nie jest zarzut do naszej armii, po prostu zdobycie biegłości w pewnych czynnościach wymaga czasu, treningu i wrodzonego talentu. Wojsko nie nauczy też nikogo pływania ani jazdy na rowerze. Rolą osób zajmujących się w siłach zbrojnych rekrutacją jest wyłowienie tych, którzy mają potrzebne umiejętności, nabyte wcześniej w życiu cywilnym. Tak jest w każdej armii – amerykańska jest tak dobra, bo ma skąd czerpać kadry, np. mieszkańcy Środkowego Zachodu, polujący od dziecka i oswojeni z bronią od kołyski, stanowią naturalny rezerwuar kandydatów na strzelców wyborowych.

A w Polsce niestety jest na opak – zamiast ułatwiać, a przynajmniej nie utrudniać, szykuje się szykany i przeszkody prawne. Nad jednymi pracują MSWiA oraz policja, nad innymi posłowie. Właśnie trafił do Sejmu projekt obostrzeń, które zostały już raz odrzucone w pierwszym czytaniu zaledwie pół roku temu. Swoje dokładają podmioty, które w założeniu strzelectwo powinny wspierać – takie jak Polski Związek Strzelectwa Sportowego.

UKARANI ZA KRNĄBRNOŚĆ

PZSS powinien rozwijać sport wyczynowy oraz dbać o strzelectwo w naszym kraju, bo takie ma zadania statutowe. Związek stał się największym beneficjentem nowelizacji ustawy o broni i amunicji, która weszła w życie w marcu 2011 r., choć wtedy chciał ją zablokować. W ciągu kilkunastu lat liczba osób uprawiających strzelectwo wzrosła 10-krotnie, w podobnej skali wzrósł również budżet PZSS, zasilany składkami, opłatami za licencje oraz odpisem z opłat startowych w zawodach. Pomimo tego Związek jakoś nie zajął się choćby budową strzelnic, których w Polsce bardzo brakuje – owszem, jakieś powstają, ale wszystkie są wznoszone z prywatnych środków klubów i stowarzyszeń, czasami wspartych przez władze samorządowe (przy okazji: z projektu budowy „strzelnic w każdym powiecie" niewiele do tej pory wyszło). Nie słychać też o wybitnych wynikach sportowych – ostatni medal olimpijski, srebrny, zdobyła w roku 2012 na igrzyskach w Londynie Sylwia Bogacka, następnych nie widać na horyzoncie.

Tymczasem PZSS powoli przekształca się w towarzystwo wzajemnej adoracji i skupia swoją energię na blokowaniu

eprasa.pl 46513f5f87

ewentualnych zmian w dostępie do broni oraz walce z krnąbrnymi klubami, które mają czelność domagać się reform. Dobrze pokazuje to uchwalona w tym roku zmiana regulaminu „uzyskiwania kwalifikacji niezbędnych do uprawiania sportu strzeleckiego w ramach Polskiego Związku Strzelectwa Sportowego". Wprowadzono w nim możliwość cofania patentu strzeleckiego, wydawanego do tej pory w praktyce dożywotnio (formalnie bezterminowo), i to pod byle pretekstem. Bo jak inaczej traktować zapis o „lekceważącym stosunku" do władz związku przyjętym jako podstawa tego cofnięcia? A pozbawienie patentu skutkuje cofnięciem pozwolenia na broń.

Nowy regulamin zawiera wiele wadliwych zapisów – poprzedni minister sportu dopatrzył się w nim na tyle poważnych naruszeń prawa, że go uchylił. Ale PZSS się od tej decyzji odwołał, a rekonstrukcja rządu i wymiana ministra zawiesiły postępowanie w urzędniczej próżni. W rezultacie od trzech miesięcy nowy regulamin jest wcielany w życie, tworząc fakty dokonane. Żyjemy w kraju, gdzie do utraty pozwolenia na broń nie potrzeba zmiany prawa ani działania organu – wystarczy zmiana regulaminu dokonana przez kilku działaczy sportowych.

PRZEBADANI NA AMEN

Projekt zmiany ustawy o broni i amunicji, nr druku 867, zgłosili posłowie i posłanki klubu Polska 2050. Chodziło o uderzenie w myśliwych, z którymi walczą pseudoekologiczni aktywiści. Projekt zakładał objęcie posiadaczy pozwoleń na broń do celów łowieckich obowiązkowymi okresowymi badaniami lekarskimi i psychologicznymi, powtarzanymi co pięć lat, a w przypadku osób mających lat 70 i więcej – co dwa lata. Uzasadnienie projektu sugerowało, że myśliwi w ogóle nie są badani przed uzyskaniem pozwolenia, przez co broń mają osoby niesprawne psychicznie i fizycznie, co z kolei jest rzekomo powodem lawiny potwornych wypadków, które masowo zdarzają się podczas polowań. W rzeczywistości wszyscy posiadacze pozwoleń na broń przechodzą obowiązkowe badania lekarskie i psychologiczne przed uzyskaniem pozwolenia, a liczba wypadków na polowaniach jest znikoma w stosunku do liczby polujących i nie ma związku z ich stanem zdrowia. Zmiana taka w istocie prowadziłaby do różnicowania wymagań ze względu na wiek, w innym wypadku dla promotorów tych rozwiązań niedopuszczalnego. Dziś ludzie żyją dłużej i są generalnie sprawniejsi: 50 lat temu 70-latek był często niedołężnym starcem, obecny 70-latek jeździ na rowerze i chodzi po górach, jako tzw. aktywny senior.

Projekt upadł z hukiem, a w konsultacjach społecznych na stronie sejmowej uzyskał niepobity do dziś wynik prawie 8,3 tys. ankiet, w zdecydowanej większości go odrzucających. Dlaczego więc po pół roku prawie ta sama grupa posłów zgłasza po raz drugi niemal ten sam projekt? Teraz ma on objąć badaniami okresowymi prawie wszystkich posiadaczy pozwoleń na broń. Dziwnym trafem nie objęto tym przywilejem kolekcjonerów, a warto wiedzieć, że to jest główny cel, w jakim pozwolenia otrzymują funkcjonariusze policji (są najwygodniejsze dla nich do uzyskania i utrzymania, bo nie wymagają ani licencji sportowej, ani uprawnień łowieckich, a w dodatku policjanci są zwolnieni ze zdawania egzaminu).

Problem z badaniami okresowymi polega na tym, że są one drogie (jedno badanie kosztuje ok. 600 zł) i uciążliwe do przeprowadzenia. Osoba spoza wielkiego miasta musi poświęcić cały dzień albo dwa, aby dojechać na badania, zrobić je, a potem zawieźć wynik do wojewódzkiej komendy policji. Wynik potwierdzający, że jest zdrowa (czyli że nie jest wielbłądem) – i tak co dwa lata lub pięć. A komendant policji za każdym razem może się od pozytywnego wyniku badań odwołać, kierując delikwenta do wytypowanego psychologa, który na pewno znajdzie coś, przez co obywatel broni mieć nie może. Czyż nie chodzi o zamęczenie biurokratycznymi procedurami i kosztami, by ludzie sami rezygnowali z pozwoleń?

CZARNA ROZPACZ

Złożenie rządowego projektu nowelizacji ustawy o broni i amunicji zapowiadał już w kilku wywiadach wiceminister Czesław Mroczek – chodzi o ograniczenie dostępu do broni czarnoprochowej, czyli „broni palnej rozdzielnego ładowania, wytworzonej przed rokiem 1885 oraz replik tej broni". To kolejna odsłona niekończącej się wojny, jaką polska policja

Żyjemy w kraju, gdzie do utraty pozwolenia na broń wystarczy zmiana regulaminu dokonana przez kilku działaczy sportowych

toczy z obywatelami posiadającymi broń bez pozwoleń. Powód jest zawsze taki sam: zlikwidowanie dostępu do broni palnej będącej poza policyjną kontrolą. Uzasadnienia bywają różne, tym razem powodem ma być ochrona funkcjonariuszy przed zamachami. Katalizatorem akcji były petycja Zarządu Głównego NSZZ Policjantów, złożona rok temu w Sejmie, oraz dwie interpelacje poselskie (posła i posłanki z PO). Jako argument posłużyły cztery przypadki użycia broni odprzodowej wobec funkcjonariuszy policji, przy czym petycję i interpelacje sformułowano tak, aby wywołać wrażenie, że przypadków takich było bardzo dużo, a przywołano tylko te najbardziej spektakularne. W rzeczywistości były tylko te cztery, we wszystkich policjanci popełnili elementarne błędy lub złamali zasady postępowania. Troje z nich zostało rannych, dwóch nie żyje – ale w tym wypadku, z grudnia 2023 r. z Wrocławia, błędy policji były tak poważne, że trzem innym funkcjonariuszom postawiono zarzut niedopełnienia obowiązków. Gdyby atakujący bandyta miał nóż, a nie czarnoprochowy pistolet, policjanci też by zapewne zginęli, bo nie broń była przyczyną nieszczęścia, tylko błędy popełnione przez funkcjonariuszy. Ale pretekst jest.

Co ciekawe, możliwość posiadania dawnej broni bez pozwolenia – wtedy granicą był rok 1850, obecnie jest 1885, ale dodano wymóg rozdzielnego ładowania – przewidywało już Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 27 października 1932 r. „Prawo o broni, amunicji i materjałach wybuchowych", a podtrzymała je komunistyczna ustawa z 31 stycznia 1961 r. o broni, amunicji i materiałach wybuchowych. Obejmując tę broń reżimem pozwoleń, obecny rząd przelicytowuje premiera Józefa Cyrankiewicza. Pogratulować...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym miesięcznika „STRZAŁ.pl pro libertate".

eprasa.pl 46513f5f87

Papież Leon XIV z amerykańskim kardynałem Blase'em Cupichem

FOT. VATICAN MEDIA/ABACA PRESS/EAST NEWS

Jak demokraci korumpują Kościół

Paweł Chmielewski

Zwolennicy legalnej aborcji aż do samego porodu, propagatorzy ideologii gender – brzmi jak opis zagorzałych wrogów Kościoła. W USA wielu biskupów ma jednak takie osoby za przyjaciół

Katolicy to dla każdego amerykańskiego polityka łakomy kąsek. Członkowie Kościoła stanowią ok. 25 proc. całego społeczeństwa USA. To największa wspólnota religijna – owszem, protestantów jest więcej, ale są podzieleni między różne denominacje. Dlatego o poparcie Kościoła katolickiego zabiegają wszyscy.

ODWRÓCENIE TRENDU

Do niedawna znacznie łatwiej walka o głosy katolików szła politykom Partii Demokratycznej. Jeszcze pod koniec XX w. „na niebiesko" głosowało prawie 70 proc. katolików, co wiązało się zwłaszcza z pochodzeniem wyborców. Ludzie o korzeniach w Irlandii, we Włoszech czy w Polsce woleli demokratów jako przyjaźniejszych imigrantom, bo sami długo doświadczali w USA dyskryminacji. Republikanie byli partią białej, protestanckiej ludności, dawniej uprzywilejowanej. W XXI w. te podziały zaczęły tracić na znaczeniu. Do tego doszedł jeszcze jeden kluczowy czynnik: ideologia. Demokraci przekształcili się w ugrupowanie skrajnie lewicowe, które popiera aborcję, antykoncepcję, homoseksualizm i genderyzm. Dla części katolików taki kurs stał się nieakceptowalny. W efekcie w wyborach prezydenckich w roku 2024 aż 55 proc. katolików zagłosowało na Trumpa. To odwrócenie trendu, ale demokraci nadal mają o co walczyć.

Wielu polityków Partii Demokratycznej siedzi w kieszeni przemysłu aborcyjnego. Biorą pieniądze zarobione dzięki zabijaniu dzieci – i muszą się odwdzięczyć, popierając prawodawstwo, które umożliwia to w jak najszerszym zakresie. Kwoty, o które chodzi, są gigantyczne. W Ameryce według oficjalnych statystyk zabija się ok. 1 mln dzieci rocznie. Do tego dochodzi bliżej niesprecyzowana liczba aborcji za pomocą środków poronnych, które kobiety kupują na własną rękę. W sumie daje to aborcjonistom krociowe zyski. Dlatego wielu demokratów popiera aborcję bez żadnych ograniczeń – nawet w trakcie porodu (tzw. partial-birth abortion). W związku z tym wielu biskupów uważa, że na demokratów po prostu nie wolno głosować. Niektórzy wprost ogłaszają, że w ich diecezjach proaborcyjny polityk nie może przystąpić do Komunii Świętej. Takie decyzje wspierał sam kard. Józef Ratzinger. W 2004 r. napisał do Amerykanów list, podkreślając szczególną wagę etyczną problemu aborcji i zalecając wyłączanie proaborcyjnych polityków ze wspólnoty eucharystycznej. Gdyby takie stanowisko zajął cały Kościół w USA, demokraci mieliby poważny problem. Dlatego w ich absolutnie żywotnym interesie jest „przekonać" do siebie część Kościoła. Do tego potrzebna jest jakaś ideologiczna narracja.

Wykorzystuje się do tego koncepcję, którą w latach 80. zaprezentował arcybiskup Chicago, kard. Joseph Bernardin, osadzony w tej ważnej dla Polaków metropolii przez Jana Pawła II. Bernardin zabiegał o przekonanie katolików w USA do przyjęcia całościowej postawy na rzecz ochrony życia. Twierdził, że katolik, który chce bronić godności człowieka, musi być przeciwko aborcji, a także przeciwko karze śmierci; powinien też zabiegać o ubogich, imigrantów, wykluczonych. Koncepcja Bernardina jest znana jako „seamless garment", czyli „bezszwowa szata" – ten obraz ma podkreślać jednolitość i nierozłączność tematyki obrony życia. Niekiedy używa się też terminu „consistent ethic of life", czyli „spójna etyka życia". Idea Bernardina od samego początku budziła poważne

eprasa.pl 46513f5f87

wątpliwości ze względu na wrzucenie do jednego worka aborcji i kary śmierci. Wprawdzie kardynał różnicował wagę tych tematów, ale protesty wzbudzało samo potępienie kary śmierci. Kościół nie zalecał nigdy częstego stosowania tej kary – bardzo ostrożny był w tym względzie np. św. Augustyn. Szczególne doświadczenie wywarły wielkie totalitaryzmy XX w., które karą śmierci szafowały ze zbrodniczą lekkością. Zarazem jednak Kościół nigdy nie potępił kary śmierci jako takiej – uznawał jej zasadniczą dopuszczalność, nawet jeżeli w różnych sytuacjach sugerował, że należy od niej odstąpić. W Stanach Zjednoczonych karę śmierci – pomimo propagandy – stosowano bardzo rzadko. Na przykład w latach 90. w tym ogromnym i bardzo ludnym kraju przeprowadzano mniej niż 100 egzekucji rocznie. W ostatnich latach to zwykle kilkanaście rocznie. Chodzi przy tym niemal wyłącznie o krwawych zbrodniarzy, morderców. Tymczasem aborcji dokonuje się na niewinnych dzieciach – i to na masową skalę. Można szacować, że w całej historii USA od początku XVII w. wykonano tyle egzekucji, ile aborcji dokonuje się dzisiaj… w ciągu tygodnia. Jednego z drugim nie można w ogóle porównywać.

Koncepcja Bernardina uległa dość szybko uproszczeniu i silnemu wynaturzeniu. Część liberalnych katolików zaczęła na jej podstawie twierdzić, że w kwestii ochrony życia… po prostu żaden polityk nie jest doskonały. Ci, którzy popierali legalne zabijanie nienarodzonych, zostali postawieni na tym samym poziomie, co zwolennicy kary śmierci – wszystkich uznano za „niechrześcijańskich"; a skoro ideału nie ma, to zalecano rozmawiać i współpracować z każdym, niezależnie od jego poglądów. Szczególna waga etyczna aborcji przestała być tu istotna. Na gruncie współczesnej koncepcji „seamless garment" coraz częściej lepiej wypadają demokraci. Mówi się, że chociaż popierają aborcję, to są przeciwko karze śmierci, za imigracją oraz za wsparciem socjalnym dla ubogich – inaczej niż republikanie. Taka narracja służy w praktyce tylko jednemu: utrzymaniu kontaktów liberalnych biskupów z politykami demokratycznymi. Na tym zależy tymczasem obu stronom: biskupi mogą liczyć na finansowanie różnych inicjatyw kościelnych, a demokraci otrzymują „pieczątkę" rzekomej poprawności, pomimo popierania de facto ludobójczej polityki aborcyjnej.

Wielu polityków Partii Demokratycznej siedzi w kieszeni przemysłu aborcyjnego

LEGALNOŚĆ ZABIJANIA DZIECI?

W ostatnich tygodniach fałszywa koncepcja „seamless garment" znowu odżyła – i to z wyjątkowo niesmacznym udziałem samego papieża. Wszystko za sprawą kard. Blase'a Cupicha, metropolity Chicago i zarazem dobrego znajomego Leona XIV. Cupich od dawna utrzymuje dobre relacje z Partią Demokratyczną. W sierpniu 2024 r. kardynał wygłosił nawet przemówienie na konwencji tej partii – choć na tym samym wydarzeniu jedna z firm aborcyjnych ustawiła swój mobilny punkt, rozdając za darmo pigułki poronne. Cupich nie wspomniał wtedy o tym ani słowem. Tym razem postanowił nagrodzić proaborcyjnego, demokratycznego polityka, senatora Dicka Durbina.

Durbin już w 2004 r. otrzymał zakaz przyjmowania Komunii Świętej w swojej macierzystej diecezji, Springfield w stanie Illinois, czyli tym samym stanie, w którym leży Chicago. Zakaz podtrzymał później kolejny biskup i obowiązuje on do dziś. Senator kupił jednak mieszkanie w Chicago, zapisał się tam do parafii i ogłosił, że uznaje Cupicha za swojego biskupa – co, biorąc pod uwagę liberalne nastawienie, pozwoliło mu przyjmować Komunię Świętą.

3 listopada Dick Durbin miał otrzymać nagrodę od archidiecezji Chicago za zaangażowanie na rzecz imigrantów. Wybuchła burza. Wielu biskupów publicznie upomniało Cupicha, wskazując, że to wywoła skandal: nie można nagradzać człowieka, który wielokrotnie głosował za legalnością aborcji. Cupich był jednak nieugięty – wydał specjalne oświadczenie, gdzie powołał się na koncepcję „seamless garment", twierdząc, że Durbinowi należy się wdzięczność za wspieranie migrantów niezależnie od tego, co robił w sprawie aborcji. Episkopat USA postanowił wywrzeć nacisk i przygotować publiczne stanowisko. Zanim je wydano, Durbin jednak uległ i ogłosił, że rezygnuje z przyjęcia nagrody. Kardynał Cupich… wyraził ubolewanie z powodu tej decyzji. Cóż, gala z 3 listopada miała być połączona ze zbiórką pieniędzy na rzecz kościelnej fundacji. Można domniemywać, że demokratyczni aborcjoniści pewnie chętnie wsparliby archidiecezję, która tak wspaniale odznacza ich doświadczonego bojownika o legalność zabijania dzieci.

Zanim Durbin zrezygnował, dziennikarze zapytali o zdanie papieża. Leon XIV zamiast potępić polityka za poparcie aborcji, wezwał do spojrzenia na całość jego politycznej działalności. Zaczął też krytykować… zwolenników kary śmierci i przeciwników migracji, mówiąc, że nie są „pro-life". Wezwał również do tego, żeby „szanować siebie nawzajem". Można powiedzieć: papież bezkrytycznie podpisał się pod formułą „seamless garment" w jej wersji uzasadniającej współpracę Kościoła z proaborcyjną Partią Demokratyczną.

Podjęcie przez Leona tej narracji zaszokowało wielu katolików, ale czytelnicy „Do Rzeczy" nie są pewnie zdziwieni. W jednym z poprzednich numerów pisałem o przemówieniu, które Leon – jeszcze jako kardynał – wygłosił w 2023 r. na Uniwersytecie w Chiclayo w Peru. Odbierał tam nagrodę honoris causa i przy tej okazji opowiedział właśnie o „seamless garment" jako właściwym podejściu duszpasterskim. Odwołał się zarówno do Bernardina, jak i do Cupicha, chwaląc ich obu. Niestety, w sprawie wagi tematu aborcji Leon XIV wydaje się myśleć dokładnie tak jak metropolita Chicago. Warto pamiętać, że tak samo było z Franciszkiem. Kiedy w 2024 r. został zapytany, na kogo głosować – Trumpa czy Harris – odparł, że każdy ma wybrać sam, bo oboje są źli, Harris z powodu aborcji, a Trump z powodu migracji.

Progresywna grupa kardynałów dobrze wiedziała, co robi na konklawe w maju tego roku: głosując na Prevosta, głosowała na kontynuację linii Jorge Maria Bergoglia. Tak jest rzeczywiście.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 46513f5f87

FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER

Wywiad z „dziadersem”

Filip Memches

Chociaż redaktor naczelny „Gazety Wyborczej” dystansuje się wobec rozmaitych obsesji radykalnej lewicy, to jednocześnie nie można zapomnieć o tym, że z premedytacją stworzył medium, które stało się jej tubą. W swojej zajadłej antyprawicowości staroświecki inteligent wyhodował potwora, który deprawuje Polaków

Środowisko „Gazety Wyborczej” jawi się ludziom z nadwiślańskiej prawicowej „bańki” jako ideowo-światopoglądowy monolit. Medium z ul. Czerskiej w Warszawie uchodzi w ich oczach za głos rozzuchwalonego „lewactwa”, które chce Polakom narzucić nieograniczone prawo do aborcji, „małżeństwa” homoseksualne, „pedagogikę wstydu”, marginalizację Kościoła katolickiego oraz generalnie wszystko, co moralnie i politycznie najgorsze. A jak wiadomo, do roli ikony „GW” najbardziej pasuje jej dożywotni redaktor naczelny – Adam Michnik.

Biorąc to pod uwagę, wydany przez Instytut Narutowicza opasły tom, będący – jak można się domyślać – rodzajem hołdu złożonego dobiegającemu osiemdziesiątki publicyście przez średnie pokolenie polskiej lewicy (to z niego rekrutuje się szefostwo IN), wydaje się czymś intrygującym. Lektura „Obywatela Michnika” – bo taki tytuł nosi ta książka – skłania bowiem do refleksji nad tym, czy rzeczywiście pod względem ideowo-światopoglądowym w środowisku „Wyborczej” nie ma żadnych wewnętrznych podziałów.

Pozycja ta składa się z dwóch części. Pierwszą stanowi długa rozmowa z Michnikiem – przeprowadzona przez pracowników Instytutu Narutowicza: filozofa Michała Siermińskiego i politologa Przemysława Witkowskiego, drugą zaś – wybór tekstów publicysty, zarówno tych napisanych jeszcze w PRL, jak i późniejszych. Kluczowy dla niniejszych rozważań jest ów obszerny wywiad. Choć jego autorzy okazują swojemu interlokutorowi respekt (o czym świadczy sam pomysł książki), to zarazem w wielu fragmentach cisną go zarzutami, że nie był dostatecznie konsekwentny i radykalny w swojej lewicowości. Przekaz, który serwują Siermiński i Witkowski, znany jest z łamów „GW”. Tymczasem Michnik okazuje się nieraz ich oponentem.

POCHWAŁA ROMANA DMOWSKIEGO

Tak jest, gdy redaktor naczelny „Wyborczej” wskazuje plusy Narodowej Demokracji. Jest to o tyle intrygujące, że podczas dyskusji Michnika z Siermińskim i Witkowskim cała trójka jest zgodna w stawianiu tezy o tym, że wydarzenia Marca ’68 – czyli „antysyjonistyczna” kampania PZPR – stanowiły recydywę endecji. To zabieg charakterystyczny dla środowiska „GW”: oddzielić komunizm w wymiarze praktyki politycznej od wzniosłych idei – takich jak równość czy inkluzywność – i przedstawić go jako coś, co organicznie łączy się z szowinizmem napędzanym uprzedzeniami antyżydowskimi. Narracja ta ma na celu zdezawuowanie polskiego nacjonalizmu jako takiego (w tym unieważnienie zasług jego głównego teoretyka – Romana Dmowskiego – w dziele odzyskania niepodległości Polski) i zdjęcie z lewicy odpowiedzialności za skutki wdrażania jej projektów. Chodzi o to, żeby w umysłach Polaków utarło się przekonanie, że faktycznie komunizm okazał się aberracją prawicową, bo PZPR prześladowała Żydów i inne mniejszości narodowe, więc i dziś to prawica jest zła, a lewica – dobra. Oczywiście fakt, że reżim PRL represjonował – kierując się jak najbardziej ideologią lewicową – duchowieństwo katolickie (włącznie z torturami i mordami), musi być dla Siermińskiego i Witkowskiego czymś uwierającym. Kościół katolicki jest bowiem dla nich szwarccharakterem – to instytucja dybiąca na prawa mniejszości seksualnych i kobiet, a przede wszystkim uwikłana w afery pedofilskie.

Michnik jednak, konwersując z Siermińskim i Witkowskim, w dużo bardziej zniuansowany sposób niż oni podchodzi do tego, co było i do tego, co jest (zresztą ilustrują to również jego teksty zamieszczone w tomie). I właśnie nastawienie do Narodowej Demokracji może być tego przykładem. Redaktor naczelny „Wyborczej” patrzy na endecję jako jej antagonista (sam deklaruje się jako sympatyk piłsudczykowskiego socjalizmu niepodległościowego), ale zarazem przypomina, że w swoim tekście z roku 1982 „Rozmowa w Cytadeli” (także do przeczytania w książce) docenił niektóre jej aspekty. Kiedy dwóm pracownikom Instytutu Narutowicza mówi bardzo ostrożnie, że w historii Narodowej Demokracji są „karty godne namysłu”, komunikuje im coś, co nie mieści się w ich głowach, bo przecież ów obóz polityczny kojarzy im się wyłącznie z faszyzmem (cokolwiek to znaczy).

Tymczasem z dzisiejszej perspektywy „Rozmowa w Cytadeli” zaskakuje.

eprasa.pl 46513f5f87

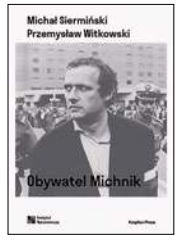

MICHAŁ SIERMIŃSKI, PRZEMYSŁAW WITKOWSKI „OBYWATEL MICHNIK" INSTYTUT NARUTOWICZA, WARSZAWA 2025

Dmowski sportretowany jest w tym tekście jako złożona postać pełna sprzeczności. Michnik nie zawahał się go nawet pochwalić. Oto stosowny cytat z tekstu: „Trudno dziś nie podziwiać przenikliwości publicystycznej Dmowskiego czy [Jana Ludwika] Popławskiego. Nikt chyba w całej historii polskiej myśli politycznej nie opisał tak jasno i przejrzyście konfliktowego charakteru stosunków Polski z sąsiadami. Nikt tak odważnie nie umiał się rozprawić ze złudzeniami, z samookłamywaniem się, z rachubami na bezinteresowną pomoc Europy – tak dworskiej, jak plebejskiej – z naiwną wiarą, że hasło »za naszą i waszą wolność« może zastąpić myśl polityczną, z równie naiwnym przekonaniem, że młode nacjonalizmy aspirujące do suwerennych państw na terytorium etnicznie mieszanym mogą nie być wzajemnie konfliktowe".

Znamienna jest wymiana zdań między Michnikiem a Witkowskim na temat Róży Luksemburg. Na przełomie wieków XIX i XX uważała ona, że w obliczu zbliżającej się światowej rewolucji komunistycznej granice między narodami nie mają sensu, więc Polacy pod zaborami powinni zrezygnować z aspiracji niepodległościowych. Michnik i Witkowski przyznają Luksemburg rację w kwestiach ekonomicznych – podzielają jej stanowisko, że ziemie polskie materialnie zyskiwały na integracji z gospodarką rosyjską. Stwierdzają tylko, że myliła się ona politycznie, bo Polacy – pod względem tożsamości narodowej – nie chcieli być Rosjanami. Publicysta i jego dużo młodsi rozmówcy znajdują więc wspólną płaszczyznę, ale zarazem dają o sobie znać dzielące ich rozbieżności.

Otóż Siermiński oznajmia, że Polacy zawdzięczają odzyskaną niepodległość lewicowym rewolucjom, które wybuchły w Rosji i Niemczech (w domyśle: doprowadziły one do upadku monarchii zaborczych i tym samym przetarły szlak odrodzeniu państwa polskiego). Na to Michnik stanowczo odpowiada, że nie, bo decydujące w tej sprawie okazało się zwycięstwo Polski w wojnie z bolszewikami. Widać, że redaktor naczelny „Wyborczej" przykłada olbrzymią wagę do determinacji, z którą Polacy walczyli o niepodległość, czego o dwóch pracownikach Instytutu Narutowicza powiedzieć się nie da. Ich mentalność zdaje się jednak kształtować opcja na rzecz budowy federalnego państwa europejskiego, które Polskę miałoby wchłonąć (dziedzictwo luksemburgizmu?). Tymczasem Michnik uderza w tony patriotyczne. Zresztą w wywiadzie robi to niejednokrotnie – choćby wtedy, gdy pytany o swoją tożsamość narodową z dumą oświadcza, że uważa siebie za Polaka, nie bacząc na swoje korzenie żydowskie i na to, że przez wielu ludzi jest postrzegany jako Żyd.

W OBRONIE KOŚCIOŁA

Kwestią sporną w rozmowie okazuje się ocena transformacji ustrojowej. Siermiński i Witkowski są już z tego pokolenia polskiej lewicy, które nie daje się kneblować argumentami, że gospodarcza terapia szokowa Leszka Balcerowicza była bezalternatywna, i liczą się tylko zyski, które Polsce przyniosła. Dwaj pracownicy Instytutu Narutowicza podnoszą problem bolesnych kosztów poniesionych przez wielu Polaków, których nowe państwo w warunkach raczkującego kapitalizmu nie zabezpieczyło osłonami socjalnymi. Natomiast redaktor naczelny „GW" broni linii Balcerowicza, upiera się, że nie było innej drogi. Z punktu widzenia radykalnej lewicy jawi się jako anachroniczny neoliberał.

Wreszcie zaskakujące dla prawicowych czytelników mogą być różnice między Michnikiem a jego rozmówcami dotyczące stosunku do Kościoła. Siermiński i Witkowski dają upust swojej katofobii. Kardynałowi Stefanowi Wyszyńskiemu przyprawiają gębę antysemity (w ogóle Kościół w Polsce uważają za instytucję przesiąkniętą endeckością). Atakują hierarchię kościelną za to, że występuje przeciw prawu do aborcji, i zachwycają się agresywnymi akcjami Strajku Kobiet (skandowanie hasła: „wypie..alać" budzi w Witkowskim entuzjazm). Mają pretensje do swojego rozmówcy, że dewastacje pomników papieża Jana Pawła II, do których doszło w ramach antykościelnego wzmożenia w Polsce, określił jako „oburzające, ogłupiające i demoralizujące".

Michnik odrzuca oskarżenia pod adresem kard. Wyszyńskiego. Zaprzecza, że Prymas Tysiąclecia był antysemitą (przy okazji dementuje krążącą wśród lewicowych i liberalnych antypisowców fałszywkę o antysemityzmie Jarosława Kaczyńskiego). Generalnie przy różnych swoich zastrzeżeniach do Kościoła demonstruje, że jest wobec niego wyrozumiały i jest to dla niego instytucja społecznie użyteczna jako źródło etyki. Wielokrotnie daje wyraz swojej osobistej słabości do Jana Pawła II. Co ciekawe, kiedy Witkowski nazywa ks. Henryka Jankowskiego „odrażającą postacią" (padają też słowa: „okropny człowiek, agent bezpieki"), to i jego bierze w obronę. Natomiast co do walki o prawo do aborcji redaktor naczelny „Wyborczej" staje w rozkroku: oświadcza, że kobieta powinna mieć w tej sprawie wolny wybór, a zarazem wygłasza opinię, że usuwanie ciąży to dramat, bo oznacza „unicestwienie życia". I tym samym swoim rozmówcom się podkłada. Witkowski przytomnie wytyka niespójność jego stanowiska. Zauważa, że jeśli aborcja jest „zabijaniem życia", to logiczną konsekwencją powinien być jej całkowity zakaz.

Nie da się ukryć, że Adam Michnik na tle Michała Siermińskiego i Przemysława Witkowskiego wypada jak konserwatywny „dziaders", który nie nadąża za duchem czasu. I banałem byłoby stwierdzenie, że w wywiadzie z nim dają o sobie znać po prostu różnice międzypokoleniowe.

Tyle że istotne jest coś innego. Choć redaktor naczelny „Gazety Wyborczej" dystansuje się wobec rozmaitych obsesji radykalnej lewicy, to jednocześnie nie można zapomnieć o tym, że z premedytacją stworzył medium, które stało się jej tubą. W swojej zajadłej antyprawicowości staroświecki inteligent wyhodował potwora deprawującego Polaków choćby genderystowskimi bzdurami. A te przecież zupełnie nie przystają do przekonań Michnika. To poglądy Siermińskiego i Witkowskiego są reprezentatywne dla obecnego kursu „Gazety Wyborczej", natomiast jej redaktor naczelny staje się w niej ciałem coraz bardziej obcym. Niemniej pozostaje sojusznikiem tych ludzi. Z tego powodu radykalna lewica z Instytutu Narutowicza może żywić wobec niego poczucie długu. I to jest najważniejsze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 46513f5f87

Z prof. Markiem Kornatem, historykiem specjalizującym się w zakresie stosunków międzynarodowych wieków XIX i XX
rozmawia Tomasz D. Kolanek

Édouard Louis Dubufe, „Kongres paryski"
FOT. DOMENA PUBLICZNA

W oczekiwaniu na nowy koncert mocarstw?

TOMASZ D. KOLANEK: Czym jest i skąd się wzięła tak źle kojarzona we współczesnym świecie „polityka ustępstw" (appeasement policy)?

PROF. MAREK KORNAT: Poruszamy zagadnienie związane ze stosunkami międzynarodowymi. Chodzi o zjawisko, którego szczyt przypadł na XX w., ale swoje początki miało ono wcześniej. W XIX w. mocarstwa europejskie, bo innych przecież nie było, brały udział w tzw. koncercie i tworzyły zespół. Oczywiście nigdy nie był to sojusz. Ale mocarstwa uczestniczące w koncercie ponosiły szczególną odpowiedzialność za pokój europejski, ustępując sobie w sytuacji nadzwyczajnej, aby uniknąć upadku tego systemu. Wojny napoleońskie dobiegły końca. Ustanowienie hegemonii Francji się nie powiodło. Wytworzyła się pentarchia mocarstw, czyli Rosji, Austrii, Prus, Wielkiej Brytanii i Francji (która mocarstwowej roli po kongresie wiedeńskim nie utraciła). W drugiej połowie XIX w. przyszły przeobrażenia. Austria stała się dualistyczną monarchią jako Austro-Węgry. Zjednoczyły się Niemcy i w koncercie mocarstw zastąpiły Prusy. Zjednoczone Włochy dopuszczono do koncertu jako szóste państwo w Europie o statusie mocarstwa, co symbolicznie potwierdził kongres berliński w roku 1878.

W XIX w. mocarstwa tworzące pentarchię były liberalne oraz autokratyczne. Te pierwsze to Francja i Wielka Brytania. Te drugie to Rosja, Prusy, Austria, która z kolei po roku 1867 stała się liberalna. Ale żadne z nich nie było mocarstwem rewolucyjnym, czyli stawiającym sobie za cel zupełne obalenie ładu międzynarodowego, tak jak tego pragnęły rządy mocarstw totalitarnych w XX w. To bardzo ważne.

Wiele osób zna termin „koncert mocarstw", ale niewiele wie, co naprawdę on oznacza.

Pojęcie to czerpie swoje źródła z muzyki. Muzyka polega na harmonii dźwięków. Wierzono, że harmonię w polityce międzynarodowej można uzyskać poprzez uzgadnianie sprzecznych interesów środkami dyplomacji. Sprzeczne dążenia można jakoś zestroić.

Kto w koncercie mocarstw dominował czy też „grał pierwsze skrzypce"? Brytyjczycy? Francuzi? Rosjanie?

Idea koncertu mocarstw była tak skonstruowana, że jej racją istnienia było niedopuszczenie do sytuacji, żeby jedno z mocarstw miało rozstrzygającą przewagę nad innymi, ponieważ w takiej sytuacji mogłoby się uwolnić jednostronnie od takich czy innych zobowiązań albo podjąć mniej lub bardziej nieograniczone działania zaborcze. W związku z tym istotą koncertu mocarstw było to, aby żadne mocarstwo nie mogło ogłosić, że jest samowystarczalne i wolno mu robić wszystko, co chce.

W jaki sposób w XIX w. „zaspokajano" mocarstwa?

Przede wszystkim koncert mógł przeprowadzić działania rozjemcze w konflikcie międzynarodowym, w których stroną

eprasa.pl 46513f5f87

było jedno z mocarstw wchodzących w skład zespołu, jeśli uznał, że zachodzi zagrożenie dla pokoju europejskiego. Aspiracje tego mocarstwa mogły być spełnione albo w części, albo w całości. Jednym z podstawowych mechanizmów była zasada kompensacji terytorialnej. Pokazał to modelowo kongres wiedeński. Podzielono Księstwo Warszawskie – Rosja brała gros tego państewka, ale w drodze kompensacji, Prusom oddawano Wielkopolskę jako Wielkie Księstwo Poznańskie, a Kraków uczyniono osobnym państewkiem, czyli Rzecząpospolitą Krakowską. Oczywiście „zaspokajanie" mogło być realizowane i w ten sposób, że jedno z mocarstw należących do koncertu osiągało zdobycze terytorialne, które koncert następnie zatwierdzał. Dobrym przykładem milczącego pogodzenia się pentarchii z jednostronnym aktem zmieniającym siłą status wiedeńskiej Europy było to, co spowodowała Rosja. Tłumiąc w roku 1831 powstanie listopadowe i przeprowadzając inkorporację Królestwa Polskiego do imperium, Rosja pogwałciła akt końcowy kongresu wiedeńskiego, a tym samym publiczne prawo Europy. Nie było jednak za to żadnych sankcji. A kiedy podczas powstania styczniowego mocarstwa zachodnie – za sprawą Francji – przypomniały sobie o tym bezprawiu i stwierdziły to specjalnymi notami do rządu w Petersburgu, ten zignorował to bez żadnych konsekwencji, twierdząc, że przecież Królestwo Polskie należy się Rosji prawem podboju, a Polacy sami zerwali wieczystą unię dynastyczną, decydując się na detronizację Mikołaja I uchwałą swojego sejmu. Oczywiście było i tak, że mocarstwa koncertu odmówiły potwierdzenia zdobyczy jednego z nich, stosując zasadę postępowania mediacyjnego, jak na kongresie berlińskim, kiedy to anulowano zdobycze Rosji kosztem Turcji. Szczególnie ważną zasadą koncertu jest zasada wzajemności, czyli ustępowania sobie przez mocarstwa wchodzące do tego zespołu z myślą o partnerze, który nie będzie forsował swoich maksymalistycznych interesów na śmierć i życie.

W dzisiejszym świecie „ustępstwo" jest postrzegane jako słabość. Czy tak było również w XIX w.?

Ustępstwo jednego mocarstwa wobec drugiego zawsze się wiąże z poczuciem niemożliwości osiągnięcia celu przez tego, kto ustępuje. W XIX w. tego jednak nie akcentowało się w międzynarodowych kołach dyplomacji. Jako przykład pozwolę sobie przywołać to, co się wydarzyło w roku 1871. Najpierw Rosja na podstawie pokoju paryskiego, kończącego wojnę krymską, utraciła prawo utrzymywania okrętów wojennych na Morzu Czarnym. Ale po 15 latach – w obliczu klęski Francji – jednostronnie wypowiedziała te klauzule traktatowe i uwolniła się od restrykcyjnych zobowiązań, motywując to odwołaniem się do zasady rebus sic stantibus. W odpowiedzi zwołano w Londynie konferencję mocarstw uczestniczących w koncercie, która przyjęła do wiadomości rosyjskie żądania i je zatwierdziła. I nikt tego nie odczuwał jako klęski czy zwycięstwa. Dopiero w XX w. nadszedł czas, kiedy ustępstwa w polityce międzynarodowej zaczęto odczytywać jako dowód słabości tego, kto ustępuje. Doskonałym przykładem pozostaje tu zachowanie Adolfa Hitlera, który rok po konferencji monachijskiej, przemawiając na zamkniętym zebraniu do generalicji Wehrmachtu, nazwał premiera Wielkiej Brytanii, Neville'a Chamberlaina, oraz premiera Francji, Édouarda Daladiera, „robactwem".

> **Dopiero w XX w. nadszedł czas, kiedy ustępstwa w polityce międzynarodowej zaczęto odczytywać jako dowód słabości tego, kto ustępuje**

Dlaczego polityka zaspokajania nie była w stanie zatrzymać wybuchu pierwszej wojny światowej?

Rozpadł się koncert mocarstw i polityka wzajemnych ustępstw musiała wyczerpać swoje możliwości. Dyplomacja działała nadal, ale nie dawała skutku w rozwiązywaniu dwóch antagonizmów w Europie – konfliktu francusko-niemieckiego o Alzację i Lotaryngię oraz rosyjsko-austro-węgierskiego o wpływy na Bałkanach. Losem największego, ponad 25-milionowego, zniewolonego narodu, czyli polskiego, nikt się nie przejmował. Francja, czyli główny protektor sprawy polskiej, wyrzekła się tej polityki, aby pozyskać sobie Rosję i umacniać z nią sojusz zawarty w roku 1894 – ze świadomością, że inaczej czeka ją nowa klęska w starciu z Niemcami. Dyskusja nad pytaniem, czy pierwszej wojny światowej można było uniknąć, nie może nie być bezprzedmiotowa. Z łatwością możemy sobie wyobrazić trwanie zbrojnego pokoju jeszcze przez jakiś czas, ale nie dało się uniknąć przesilenia w określonym momencie.

Skoro polityka ustępstw i koncert mocarstw zakończyły się hekatombą pierwszej wojny światowej, to dlaczego zaraz po zakończeniu Wielkiej Wojny postanowiono nawiązać do tych idei? Mam tutaj na myśli to wszystko, co prof. Andrzej Nowak opisał w książce „Pierwsza zdrada Zachodu. 1920 – zapomniany appeasement".

Istotnie, rok 1920 przyniósł nowe wydanie appeasementu. U jego podstaw tkwiła idea sprowadzenia Polski do roli małego państewka, które nie byłoby już w konfliktach z Rosją i Niemcami i tym samym oszczędziło Europie niebezpiecznych powikłań. Najwyraźniej rząd brytyjski nie brał pod uwagę, że państwo sowieckie to organizm polityczny, który sam siebie uznaje za bazę rewolucji światowej. Konferencja w Spa latem roku 1920 była – oczywiście dla nas, Polaków – prefiguracją Jałty. Okrojenie terytorialne i rozbrojenie to istota tych postanowień, których podpisanie wymuszono na premierze Władysławie Grabskim. Według żądań Sowietów broń armii polskiej miała być rozdana „w ręce chłopów i robotników". To właśnie konfirmowałyby mocarstwa zachodnie, tworzące zwycięską ententę, gdyby doszło do transakcji. Wyrok śmierci na Polskę był wydany, ale fenomenalne zwycięstwo nad Wisłą pozwoliło obalić straszliwy dyktat.

Wielką kompromitacją polityki ustępstw był układ monachijski z 1938 r.

Rzeczywiście nie rozumiano, że jedno ustępstwo na rzecz totalitarnego państwa będzie zachętą do dalszych żądań i przedsiębrania nowych akcji zaborczych. Hitler jawił się jako polityk nacjonalistyczny, bezkompromisowy, mocno zdeterminowany, aby obalić pokój wersalski, ale nikomu nie przychodziło

eprasa.pl 46513f5f87

do głowy, że to dyktator mający bezprecedensowe i dość utopijne cele – takie jak Lebensraum.

Czy to właśnie w Monachium narodziło się przekonanie, że lepiej oddać mniejszy, słabszy kraj bez jego zgody silniejszemu, byle tylko utrzymać pokój w Europie, czy raczej odwlec widmo wojny na kolejnych kilka, kilkanaście miesięcy?

Narodziło się wcześniej, ale w Monachium znalazło ono spektakularne zastosowanie. Nie będzie ścisłe historycznie, kiedy powiemy, że wszystko działo się tak właśnie, bo mocarstwa Zachodu ustępowały Niemcom w zbrojeniach. Działał jeszcze inny przemożny czynnik motywujący do uprawiania appeasementu. Było nim przekonanie brytyjskie o niesprawiedliwości pokoju wersalskiego, które wychodziło naprzeciw niemieckiemu punktowi widzenia.

Niemcy były rewolucyjnym organizmem zaborczym. Tego nie da się utracić z pola widzenia. Byli tacy historycy, którzy rozumowali inaczej – np. liberalno-lewicowy profesor z Oksfordu Alan Taylor, który głosił, że Hitler był oportunistą, a hasło o przestrzeni do życia było tylko hasłem. Odrzucam to rozumowanie a limine. Niemcy w drugiej wojnie światowej zmierzali do podboju i kolonizacji Europy Wschodniej. Wszystko, co poprzedzało inwazję na ZSRS 22 czerwca 1941 r., było przygotowaniem tego posunięcia.

Czy polityka ustępstw, polityka zaspokajania – w pierwszej połowie XX w. – miała pozytywne rezultaty?

W moim przekonaniu – nie miała żadnych. Argument, że w Monachium Wielka Brytania i Francja „kupiły" rok czasu na dozbrojenie – jak uważał Stanisław Mackiewicz – jest wątpliwy. Likwidując Czechosłowację, Niemcy zagarnęły znaczące zasoby broni tego kraju. Uważa się, że z zasobów tych pochodziło 20 proc. czołgów Wehrmachtu, użytych podczas fenomenalnej kampanii przeciw Francji latem 1940 r. Ten, kto robił appeasement, płacił swojemu partnerowi interesami narodów i terytoriami państw mniejszych, uprzedmiotowionych.

Czy konferencja w Jałcie w 1945 r. była „łabędzim śpiewem" polityki ustępstw czy też nie miała ona nic wspólnego z tą ideą?

Oczywistością jest, że w drugiej wojnie światowej mocarstwa anglosaskie zastosowały politykę appeasementu na rzecz imperium Józefa Stalina, aby wyzyskać jego zasoby – przede wszystkim ludzkie – do wojny przeciw III Rzeszy. Panuje pogląd, że za cenę ustępstw wobec Sowietów zabezpieczono pokój na 50 lat. Oczywiście stało się to w Jałcie. Inaczej wybuchałyby nowe wojny. Średnie i małe państwa narodowe przynosiłyby światu kłopoty. Zupełnie nie podzielam tego rozumowania. To wynalazek bomby atomowej zabezpieczył pokój. Wytworzyła się atomowa równowaga strachu. Inaczej przywódcy sowieccy z pewnością spróbowaliby iść dalej, niż pozwalała linia żelaznej kurtyny – od Szczecina do Triestu. Nie jest to specjalnie odkrywcze, ale warto to powtarzać wciąż na nowo.

Obecnie coraz częściej pojawiają się głosy, że należy powrócić do polityki ustępstw i ogłosić nowy koncert mocarstw. Jednocześnie słyszymy, że jedynym realnym rozwiązaniem jest tzw. polityka odstraszania. Która strona ma rację? A może jest jakaś inna opcja?

Odpowiedź na to pytanie zależy od tego, kto odpowiada. Inaczej powie Rosjanin czy Chińczyk, inaczej Polak. O tym się nie da mówić w oderwaniu od wyobrażenia sobie konsekwencji, jakie pociąga za sobą idea dzisiejszego koncertu mocarstw jako organizmu rządzącego światem. Trudno bez Rosji wyobrazić sobie ten koncert. A Rosji – w ramach tego systemu – trzeba by „zapłacić", spełniając jej żądania dotyczące stref wpływów, bo tymi kategoriami podąża polityka Moskwy. Tu zaś niewyobrażalne jest to, aby nie odczuła tego Polska. Historyk polski nie może więc być zwolennikiem koncertu mocarstw. Oby ten system jak najdłużej należał do lamusa historii.

Rosję dopuszczono do G7, robiąc G8, ale nie zadowoliła się ona tym, bo to tylko mocarstwowość symboliczna. Rosja chce opanowania mniej więcej tego, co miał ZSRS – i zdobycia dominującej pozycji w urządzeniu ładu w Europie Środkowej, czego nie wolno tracić z pola widzenia. Przecież pamiętamy, że wśród żądań adresowanych do rządu USA tuż przed inwazją na Ukrainę Moskwa wysuwała postulat ewakuacji urządzeń wojskowych NATO i wojsk tego sojuszu z Europy Środkowej, w tym oczywiście z Polski. Przecież to ma kolosalne znaczenie i wymownie tłumaczy intencje Kremla. Do tego regionu ma z powrotem wejść Rosja.

Owszem, był realizowany appeasement – wobec Rosji i na jej rzecz. Niemcy stały się aktorem głównym tej polityki pod rządami Angeli Merkel. Szaleństwem było założenie powzięte w Berlinie, że Rosja sprzedawać będzie surowce energetyczne na nieograniczoną skalę, a pozyskane środki zainwestuje na cele pokojowe. I tak oto wszyscy będą zadowoleni. Niemcy, bo kupią te surowce taniej. Rosja, bo się będzie modernizować. Tym, którzy wierzyli w te założenia, a raczej złudzenia, historia wystawiła już miażdżące świadectwo nędzy. Appeasement się zatrzymał w roku 2022. Ale przyszłość jest otwarta.

Appeasement jest przynajmniej pozornie kompromisem. W przypadku konfliktu rosyjsko-ukraińskiego nie bardzo widać jego zarys w jakiejkolwiek postaci. Mamy do czynienia z próbą narzucenia Ukrainie przez Rosję pokoju kartagińskiego. O ile dobrze rozumiem rozgrywające się wypadki – a nie śledzę ich z pozycji analityka, tylko historyka – to wypada mi powiedzieć, że odnoszę wrażenie, iż dyplomacja amerykańska usiłuje wytłumaczyć Rosji, żeby odstąpiła od koncepcji narzucenia Ukrainie pokoju kartagińskiego, lecz poszła na pokój kompromisowy. Szczerze mówiąc, nie sądzę, że prezydentowi Donaldowi Trumpowi powiedzie się jego manewr, chociaż staram się rozumieć jego intencje. Przede wszystkim uważam, że Putin nie byłby w stanie wytłumaczyć swojej ludności, iż wygrał wojnę z Ukrainą, skoro zginęły setki tysięcy własnych żołnierzy, a Rosja bierze tylko Krym, który i tak już miała w posiadaniu, oraz Donbas, zostawiając resztę tego kraju. Czy mam rację? Pokaże czas, może już najbliższy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Marek Kornat – historyk, kierownik Zakładu Dziejów Dyplomacji i Systemów Totalitarnych w Instytucie Historii PAN w Warszawie oraz wykładowca Wydziału Nauk Historycznych UKSW.

eprasa.pl 46513f5f87

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Towarzysze ze skazą

W strukturach konspiracji komunistycznej (w II RP i podczas okupacji w latach 1939–1945) funkcjonowało bardzo wielu towarzyszy, którzy choć pełnili prominentne funkcje, to w Polsce Ludowej pozostawali z własnego wyboru w cieniu. Nie chcieli za bardzo eksponować swych „zasług", słusznie uważając je za nikczemne. A sumienia mieli mocno zbrukane, nawet wobec własnych rodzin.

Towarzysz Franciszek Karawacki, agent sowieckiego wywiadu, kontrolujący struktury konspiracyjnej Polskiej Partii Robotniczej z ramienia Moskwy, posunął się nawet do tego, że własnego brata wydał w szpony moskiewskiej bezpieki, denuncjując go za… niewłaściwą postawę. To, że za takie rzeczy Sowieci odbierali życie, w ogóle mu nie przeszkadzało, bo jeszcze bardziej umacniał w ten sposób swą pozycję jako „prawdziwego komunisty", który dla partii jest gotowy zrobić dosłownie wszystko.

Ilu takich zaprzańców było i co jeszcze mieli na sumieniu, jeśli w ogóle mieli sumienie w naszym rozumieniu? Nie dowiemy się – po 1989 r. nie podjęto bowiem poważnych badań nad genezą Polski Ludowej, jej kadr i zależności od Moskwy. Co więcej, przez prawie pół wieku istnienia quasi-republiki sowieckiej w Polsce trwało niemiłosierne przeinaczanie historii, a wszystko zaczynało się od preparowania tzw. źródeł, czyli istotnych dokumentów, ich przerabiania i cenzurowania w duchu korzystnym dla partii i tworzących ją towarzyszy. Później sami już zapominali, co wytworzyli od nowa, co cenzurowali i preparowali, zostawiając po sobie wiele kompromitujących śladów. Przy należytej staranności i cierpliwości można jeszcze nawet dziś odsłaniać najbardziej kompromitujące życiorysy, dokonania i fałszerstwa. Ale już nikt nie jest tym zainteresowany, grozi nam zatem to, że historia tego okresu będzie brutalnie pokaleczona i taką przekażemy następnym pokoleniom. A człowiek bez historii, jak napisał wielki polski mąż stanu, hetman wielki koronny i kanclerz I RP Jan Zamoyski, „jest jak zwierzę polne". Zwierzę nie ma świadomości, pamięci i tradycji, żyje tylko tu i teraz.

Warto tu wspomnieć jeszcze jednego sowieckiego funka i agenta, Czesława Skonieckiego. Zaraz po wojnie składali oni obszerne życiorysy i ankiety, zawierające bezcenne (dla nas) informacje. Ale po latach wracali do archiwów, przeglądali swą spuściznę i… dokonywali stosownych „czystek". Skoniecki swoją „ankietę dla aktywu partyjnego" z 1949 r. potraktował brutalnie. Gdy doszedł do początków działalności w konspiracyjnej PPR, po prostu wydarł następne strony. Wiemy tylko, że w latach 1944–1945 miał „funkcję specjalną" w Moskwie. Ale jaką? ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Koniec dynastii

Na ostatnich latach panowania Kazimierza położyła się cieniem sprawa następstwa tronu. Ten wybitny władca był czterokrotnie żonaty, ale nie doczekał się narodzin syna. Przed laty obiecał sukcesję po sobie królowi Węgier, a Ludwik Andegaweński był synem jego rodzonej siostry i najbliższym męskim krewnym polskiego władcy.

W Polsce nie istniała tradycja samodzielnego sprawowania władzy przez kobietę. Co najwyżej można było uznać za władcę wnuka króla. Jednak w czasach, kiedy Kazimierz uznawał sukcesję węgierską, żaden wnuk się jeszcze nie narodził, a sam król do końca życia miał nadzieję, że doczeka się syna. Ostatnie małżeństwo zawarł, mając już ponad 50 lat, ale żona urodziła trzy córki.

Kazimierz zbliżał się do 60. roku życia, ale upływ lat w niczym nie hamował jego energii. Po podboju Rusi skierował swoje zainteresowania na zachodnie granice państwa. Królestwo uzyskało bezpośrednią granicę z Pomorzem Zachodnim, gdzie władzę miał objąć człowiek, z którym Kazimierz wiązał wielkie nadzieje. Był nim jego wnuk po córce i imiennik.

Młody książę słupski wychowywał się na dworze dziadka. Mimo że Kazimierz uznał sukcesję Andegawenów, miał nadzieję, że jego wnuk obejmie kiedyś władzę w Polsce. Ludwik Węgierski nie miał dotychczas dzieci i panowanie Kaźka po jego śmierci wydawało się całkowicie realne.

We wrześniu 1370 r. król wybrał się na łowy w okolice Sandomierza. Podczas pogoni za jeleniem przewrócił się wraz z koniem i złamał nogę. Otoczony opieką lekarzy wracał wolno do Krakowa, odpoczywając w domach zaprzyjaźnionego rycerstwa. Niestety, nie przestrzegał zaleceń medyków, nie dbał o dietę, korzystał z łaźni, pił miód i wino. W Krakowie poczuł się tak źle, że sporządził testament. Zmarł 5 listopada 1370 r. nad ranem, jako ostatni Piast na tronie polskim.

Ostatnia wola Kazimierza Wielkiego zaskoczyła dostojników. Król potwierdził sukcesję Ludwika Węgierskiego, ale dokonał licznych zapisów dla Kaźka słupskiego. Pomorski książę miał objąć władzę na Kujawach oraz w ziemiach sieradzkiej i łęczyckiej. Zmarły król zapisał wnukowi tereny należące do kujawskiej linii Piastów, z której sam pochodził, co miało ułatwić mu zdobycie polskiego tronu po śmierci Ludwika.

Testament Kazimierza został unieważniony. Kaźko zrezygnował z większości zapisów dziadka i złożył hołd Ludwikowi. Węgierski władca bez przeszkód koronował się na króla Polski, a potem urządził uroczysty pogrzeb zmarłego Kazimierza. Miało to zatrzeć wrażenie pierwszego pochówku dokonanego bez udziału nowego władcy. W Polsce rozpoczęły się rządy dynastii Andegawenów. ©℗

eprasa.pl 46513f5f87

Grobowiec imperiów znów drży

Krystian Kamiński

Na progu XXI w. Afganistan znów znalazł się w centrum światowego zainteresowania. Podobnie było na początku obecnej dekady. W zachodnich narracjach kraj ten urósł do symbolu peryferii świata – miejsca „zacofanego", ale odpornego na zewnętrzną kontrolę. Jednocześnie, wbrew temu położeniu, Afganistan nieraz okazywał się geopolitycznym sworzniem

Siódma międzynarodowa konferencja w sprawie Afganistanu, Moskwa, 7 października 2025 r.

FOT. RUSSIAN FOREIGN MINISTRY PRESS S/ZUMA PRESS/FORUM

Tak jak amerykańska inwazja na Afganistan z 2001 r. była manifestacją „jednobiegunowej chwili", w której dała o sobie znać światowa hegemonia Waszyngtonu, tak chaotyczne wycofanie się Amerykanów z Kabulu w sierpniu 2021 r., pod naciskiem talibów, stanowiło jaskrawy obraz końca tej chwili. Zaledwie pół roku później wybuchła największa wojna w Europie od 1945 r. – inwazja Rosji na Ukrainę.

Dlatego warto obserwować Afganistan, wbrew jego egzotyczności z europejskiego punktu widzenia, warto śledzić, co się w nim dzieje, bo to właśnie tam coraz częściej odbija się echo globalnych przesunięć siły.

STARCIE Z PAKISTANEM

Niedawno o Afganistanie przypomniał sobie Donald Trump. 20 września napisał na portalach społecznościowych, że jeśli państwo to „nie odda bazy lotniczej Bagram tym, którzy ją zbudowali, Stanom Zjednoczonym Ameryki, staną się złe rzeczy". Nie wystraszyło to talibów, którzy publicznie odpowiedzieli, że nie może być o tym dyskusji. Co ważne, talibowie zyskali w tej sprawie zaskakująco szerokie poparcie regionalne, zwłaszcza wśród państw Azji Środkowej.

7 października w Moskwie odbyła się międzynarodowa konferencja poświęcona Afganistanowi. Był to już siódmy zjazd w tym formacie. Szefowie dyplomacji Rosji, Chin, Indii, Iranu, Kazachstanu, Kirgistanu, Pakistanu, Tadżykistanu, Turkmenistanu, Uzbekistanu oraz samego Afganistanu wspólnie uznali za „niedopuszczalne próby państw rozmieszczania swojej infrastruktury wojskowej w Afganistanie i państwach sąsiednich, gdyż nie służy to interesom pokoju i stabilności w regionie".

Warto w tym miejscu podkreślić, że minister spraw zagranicznych Islamskiego Emiratu Afganistanu po raz pierwszy uczestniczył w konferencji „formatu moskiewskiego" całkowicie oficjalnie. W lipcu Rosja uznała bowiem, jako pierwsze państwo świata, struktury polityczne talibów jako legalne władze Afganistanu, co nastąpiło przez przyjęcie listów uwierzytelniających wysłanego przez talibów ambasadora. Zaledwie w kwietniu Sąd Najwyższy Rosji wykreślił ich struktury z listy organizacji terrorystycznych, co otworzyło drogę do pełnej normalizacji relacji. To niewątpliwy sukces dyplomatyczny talibów, choć wciąż nie posiadają oni pełnego międzynarodowego uznania.

Za czasów ich pierwszego emiratu zyskał on oficjalne uznanie trzech państw – Arabii Saudyjskiej, Zjednoczonych Emiratów Arabskich i sąsiedniego Pakistanu. W porównaniu z sytuacją sprzed ćwierćwiecza sytuacja radykalnie się zmieniła, szczególnie jeśli chodzi o relacje z sąsiadem, na którego terytorium, w obozach Afgańczyków uchodzących przed wojnami domowymi lat 80 i 90 XX w., ruch talibów powstał. Wówczas talibowie postrzegani byli jako pośrednik Pakistanu, szczególnie ich potężnych służb specjalnych ISI. Dziś sytuacja jest już całkowicie inna.

W pierwszej połowie października doszło do najpoważniejszych od lat walk na granicy afgańsko-pakistańskiej. Choć strzelaniny na granicy sąsiednich państw wybuchają z dużą regularnością od zeszłego roku, to te są zdecydowanie największe od czasu odzyskania przez talibów władzy nad Afganistanem w 2021 r. 8 października 11 pakistańskich żołnierzy zginęło w czasie operacji przeciwko miejscowym talibom w przygranicznym okręgu Orakzaj. Wśród ofiar byli pułkownik armii pakistańskiej Dżunajd Arif i jego zastępca, mjr Tadżdżab Rahat. Pakistańczycy twierdzą, że w potyczce tej zginęło 19 pakistańskich talibów. Wysokie straty armii miały wynikać z tego, że jej konwój wpadł we wcześniej przygotowaną zasadzkę.

Następnego dnia pakistańskie lotnictwo przeprowadziło naloty na cele w Kabulu i kilku prowincjach. W piątek doszło do nadgranicznych ostrzałów. Pakistan odpowiedział ogniem artylerii, a siły talibów miały przekroczyć linię graniczną. Do najpoważniejszych walk doszło 11 października. Według rzecznika Islamskiego Emiratu Afganistanu, Zabihullaha Mudżahida, podczas tej operacji przepro-

eprasa.pl 46513f5f87

wadzonej wieczorem przez siły talibów zginęło 58 pakistańskich żołnierzy, a 30 zostało rannych. Afgańscy talibowie mieli zająć 20 posterunków armii i straży granicznej Pakistanu. Mudżahid ocenił straty Afgańczyków na dziewięciu zabitych i 16 rannych. Rzecznik sił zbrojnych Pakistanu przekazał natomiast, że w walkach zginęło 23 ich żołnierzy, jednocześnie twierdząc, że zabiły one 200 talibów afgańskich. Informował również o zniszczeniu czterech baz talibów.

Sytuacja uspokoiła się na jakiś czas dzięki mediacji dyplomacji Arabii Saudyjskiej i Kataru, 19 października ogłoszono zawieszenie broni. Jednak 23 października armia Pakistanu poinformowała o kolejnym starciu z talibami, którzy mieli przekroczyć w nocy granicę w okręgu Kurram. Z kolei Afgańczycy twierdzili, że ostrzały pakistańskie przyniosły ofiary wśród afgańskich cywilów.

Talibańskie władze oskarżyły Pakistan o faktyczną koordynację zamachów bombowych w Afganistanie. Pakistan nie potwierdził tych oskarżeń o to, że odpowiada za czwartkowe eksplozje, ani im nie zaprzeczył. Talibowie twierdzą, że Islamabad wspiera organizację ekstremistyczną Państwo Islamskie-Wilajet Chrosoanu (ISIS-K), które zwalcza ich rządy w Afganistanie i które odpowiada też prawdopodobnie za krwawy zamach terrorystyczny pod Moskwą z zeszłego roku, co jest jednym z elementów zbliżających Moskwę i obecne władze w Kabulu.

Z kolei Islamabad oskarża talibów o wspierania ruchu Tehrik-e Taliban Pakistan (TTP), działającego na pogranicznych rejonach, szczególnie Federalnej Administracji Terytoriów Plemiennych, ale od 2019 r. mającego centrum kierownicze w kraju sąsiada, po likwidacji tej autonomicznej jednostki administracyjnej i ofensywie pakistańskiej armii. To właśnie przywódca TTP, Nur Wali Mehsud, miał być celem niedawnych ataków na Kabul. W bieżącym roku miało już dojść, według danych amerykańskich, do ok. 600 różnego rodzaju starć między TPP a wojskiem i siłami bezpieczeństwa Pakistanu. W zeszłym roku na skutek tego rodzaju starć w Pakistanie zginęło ok. 2,5 tys. ludzi, w dużej mierze żołnierzy, funkcjonariuszy sił bezpieczeństwa.

Warto zauważyć, że również podczas moskiewskiej konferencji partnerzy talibów zaapelowali do nich o powściągnięcie działalności pozapaństwowych grup zbrojnych na terytorium Afganistanu.

INDYJSKI LEWAR

Od 2021 r. wyraźnie widać, że Islamabad obawia się konsolidacji władzy afgańskich talibów. Zadawnionymi problemami między dwoma państwami są przebieg granicy i kwestia pasztuńska. Granica została wyznaczona w 1893 r. według koncepcji Mortimera Duranda, brytyjskiego urzędnika kolonialnego, i podzieliła grupę etniczną Pasztunów. To właśnie ta grupa stanowi główną bazę społeczną talibów. Chodzi zarówno o Pasztunów afgańskich, jak i pakistańskich. Granica jest w zasadzie sztuczna i wyznaczała po prostu maksymalne możliwości Londynu, który sparzył się dwukrotnie na swoich próbach narzucenia bardziej bezpośredniej kontroli plemionom i klanom Afganistanu w XIX w. oraz musiał się liczyć z narastającymi w Azji Środkowej wpływami carskiej Rosji.

W kwietniu wicepremier Pakistanu, Iszkar Dar, odwiedził Kabul, ale najwyraźniej nie uzgodniono modus vivendi. W ostatnich dniach pakistańskie MSZ zakwestionowało legitymizację rządu talibów, pytając o „większą inkluzywność" systemu politycznego Afganistanu. „Mamy też nadzieję, że pewnego dnia naród afgański zostanie wyzwolony i będzie nim rządził prawdziwy rząd przedstawicielski" – napisano w jego oświadczeniu z 12 października. Może to być sygnał otwartej opcji poparcia przez Islamabad frakcji zbrojnych, które mogłyby powstać przeciwko władzy talibów. Pakistan ma spore doświadczenie partycypacji w wojnach domowych w kraju sąsiada.

W czasie eskalacji na granicy minister talibów Amir Khan Muttaki odwiedził Indie – głównego rywala Pakistanu. Po raz pierwszy w historii Indie podjęły oficjalnie wysokiego rangą przedstawiciela talibanu, w piątek Muttaki został przyjęty przez ministra spraw zagranicznych Indii, Subrahmanyama Jaishankara. Indie ogłosiły podniesienie statusu przedstawicielstwa dyplomatycznego Afganistanu w Nowym Delhi do pełnej ambasady. Szef indyjskiej dyplomacji skomentował, że zacieśnianie relacji z talibami jest działaniem na rzecz „stabilności i odporności regionu", co było wyraźnym odniesieniem do negatywnej, z punktu widzenia Indii, roli Pakistanu. Dwa państwa atomowe stoczyły w bieżącym roku krótką wojnę powietrzną.

Dla New Delhi talibowie mogą stać się wygodnym narzędziem nacisku na Pakistan. Tymczasem w Islamabadzie dominuje obawa przed wojną na dwa fronty. Można więc postrzegać jego obecne działania jako próbę spacyfikowania relacji z talibami, pokazania im miejsca w szeregu, usadzenia we właściwych koleinach politycznych. Z tego powodu spodziewam się kolejnych starć na granicy afgańsko-pakistańskiej.

Talibowie skutecznie wypuszczają się na wody relacji międzynarodowych, nawiązując coraz bardziej intensywne relacje z kolejnymi państwami świata, w tym najpoważniejszymi azjatyckimi mocarstwami. Brak oficjalnego uznania prawno-międzynarodowego władzy talibów nie przeszkadza np. Uzbekistanowi podpisywać umów na rewitalizację połączeń kolejowych z Afganistanem czy Turkmenistanowi na budowę przez Afganistan gazociągu TAPI. W chaotycznym czasie przebudowy ładu światowego rola prawa międzynarodowego będzie jeszcze mniejsza niż w czasach „jednobiegunowej chwili".

Chaotyczność tych relacji wyraża się również w zmienności konfiguracji partnerstw, bo już nawet nie sojuszy i antagonizmów. Pakistan był historycznym, wypróbowanym protektorem talibów. Teraz ten ruch islamskich radykałów zbliża się do Indii, prowadzących pod władzą partii Indyjskiej Partii Ludowej (BJP) coraz bardziej antymuzułmańską politykę wewnętrzną.

Co znamienne – układ ten zmienia się dziś bez udziału Zachodu, z USA na czele, i wbrew jego środkom nacisku. Wszak talibańskie władze znajdują się pod oficjalnymi sankcjami, co nie zrobiło żadnego wrażenia na Indiach. W rolę zewnętrznych mediatorów, brokerów czy arbitrów prędzej wejdą Chińczycy, Rosjanie czy emirowie znad Zatoki Perskiej niż Amerykanie. Wbrew tromtadracji Donalda Trumpa, którego przechwałki o samodzielnym niemal doprowadzeniu do przerwania wiosennych starć indyjsko-pakistańskich wywołały tylko irytację w New Delhi, przyczyniając się, wśród innych czynników, do zdystansowania Indii od USA, które właśnie obserwujemy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 46513f5f87

Jak Kreml walczy z LGBT

Maciej Pieczyński

Jeśli w jakiejś sprawie polityka Kremla jest ultrakonserwatywna, to jest to stosunek do orientacji seksualnych. Ruch LGBT jest w Rosji oficjalnie zakazany. Walka w obronie tradycyjnych wartości czasem jednak przybiera niezamierzenie karykaturalne kształty

Sąd Najwyższy Federacji Rosyjskiej ogłosił 30 października 2023 r. decyzję, zgodnie z którą „międzynarodowy ruch społeczny LGBT" został uznany za organizację ekstremistyczną i zakazany na terenie całego kraju. Tym samym homoseksualiści, biseksualiści i transseksualiści znaleźli się w dość pstrokatym i różnorodnym spektrum wrogów Kremla. Rosja na analogicznych zasadach zdelegalizowała takie „ekstremistyczne" ruchy czy organizacje jak Państwo Islamskie, świadkowie Jehowy czy Prawy Sektor. Oczywiście w jednych przypadkach cudzysłów przy przymiotniku „ekstremistyczny" jest mniej, w innych bardziej uzasadniony. Tak czy inaczej, stosunek władz rosyjskich do homoseksualizmu, biseksualizmu i transseksualizmu jest wręcz radykalnie ultrakonserwatywny.

Głośna decyzja Sądu Najwyższego była odpowiedzią na wniosek rosyjskiego Ministerstwa Sprawiedliwości. Co dokładnie oznaczała delegalizacja LGBT? Zgodnie z zapisami Kodeksu karnego za działalność w grupie ekstremistycznej grozi do sześciu lat więzienia, a za zorganizowanie takiej grupy lub kierowanie nią – do 10 lat odsiadki. Teoretycznie oznacza to, że już sama orientacja seksualna może się stać przyczyną postępowania karnego. Wiadomo bowiem, że nie istnieje coś takiego, jak międzynarodowy, ściśle sformalizowany czy zhierarchizowany ruch LGBT. Ponadto homoseksualiści niekoniecznie posiadają przecież „karty członkowskie" konkretnych tęczowych organizacji. Przytaczana jest jednak wykładnia Sądu Najwyższego, w myśl której „pod udziałem w grupie ekstremistycznej należy rozumieć formalną przynależność do takiej grupy z zamiarem udziału w przygotowaniu lub dokonaniu jednego lub więcej przestępstw ekstremistycznych i (lub) bezpośrednie dokonanie takich przestępstw", a także pełnienie jakichś konkretnych funkcji w organizacji (dostarczanie informacji czy sporządzanie dokumentacji).

OSTOJA WALKI Z LEWICĄ EUROPEJSKĄ

Pierwsze wyroki, wynikające z nowego prawa, zostały wydane na początku 2024 r. Pod koniec stycznia sąd w Niżnym Nowogrodzie skazał kobietę na pięć dób aresztu administracyjnego za to, że nosiła kolczyki z tęczową symboliką. W lutym mieszkaniec Wołgogradu został ukarany grzywną w wysokości 1 tys. rubli za to, że opublikował w Internecie zdjęcie flagi LGBT. Czyn ten zakwalifikowano jako „rozpowszechnianie symboliki organizacji ekstremistycznej". Jesienią 2024 r. w Moskwie doszło do całej serii aresztowań. Funkcjonariusze FSB zatrzymali m.in. Andrieja Kotowa – szefa firmy turystycznej Men Travel która

eprasa.pl 46513f5f87

FOT. ADOBE STOCK

zajmowała się organizacją wycieczek dla gejów. Wcześniej Kotow organizował też imprezy dla homoseksualistów w klubie nocnym Raj na placu Błotnym w rosyjskiej stolicy. To o tyle symboliczne, że do najbardziej masowych protestów antyputinowskiej opozycji doszło właśnie na placu Błotnym. FSB przeprowadziła też przeszukania w kilku moskiewskich barach i klubach gejowskich. Andriej Kotow został aresztowany na dwa miesiące. Według oficjalnej wersji śledztwa w aresztanckiej celi popełnił samobójstwo. Niektórzy opozycyjni dziennikarze twierdzili, że Kotow był za kratami torturowany, poniżany, a być może nawet został tam zamordowany – według jednej z wersji na osobisty rozkaz Władimira Putina. Są to jednak domysły – jednoznacznych dowodów brak.

Pojawiały się głosy, że uznanie LGBT za organizację ekstremistyczną było elementem skrzętnie zaplanowanej politycznej operacji. Putin w ten sposób chciał zyskać w oczach rosyjskiego społeczeństwa na samym starcie ruszającej wówczas kampanii wyborczej w wyborach prezydenckich. To zaś dobitnie pokazuje, że Rosjanie w swej masie wyznają poglądy konserwatywne w tym konkretnym wymiarze w stosunku do tęczowego aktywizmu. Ponadto zaostrzenie kursu wobec lewicowo-liberalnej ideologii było naturalną konsekwencją antyzachodniego kursu Kremla. Po inwazji na Ukrainę Putin wyraźnie orientuje się na Azję i Globalne Południe, wyraźniej też niż wcześniej deklaruje wrogość wobec „zgniłego Zachodu" i „gejropy". Zresztą tego typu narracja dostrzegalna była już po aneksji Krymu i agresji na Donbas. Również wtedy Moskwa

eprasa.pl 46513f5f87

prezentowała się jako ostoja walki ze światopoglądową lewicą europejską. Dopiero jednak rozpoczęcie „specjalnej operacji wojskowej" otworzyło Putinowi ostatecznie drzwi wyjściowe od jakichkolwiek ideowych czy kulturowych związków z Zachodem w jego obecnym kształcie.

GŁOSY SCEPTYCZNE

Ponadto, niezależnie od kwestii czysto światopoglądowych, organizacje LGBT mogły być traktowane przez Kreml jako zagrożenie polityczne. Mowa przecież o organizacjach niezależnych od władz, niepoddających się kontroli Kremla, co więcej: powiązanych z państwami zachodnimi. Decyzja Sądu Najwyższego o delegalizacji ruchu LGBT „to logiczna kontynuacja kierunku polityki państwa, polegającego na obronie obywateli, w tym również dzieci, przed szkodliwymi treściami" – tak sprawę komentował wpływowy polityk prezydenckiej partii Jedna Rosja Aleksandr Chinsztejn. Co jednak ciekawe, w obozie władzy pojawiły się też głosy sceptyczne. Entuzjazmu większości nie podzielał Jewgienij Popow – współprowadzący propagandowy talk-show „60 minut" w państwowej telewizji, a zarazem deputowany Jednej Rosji do Dumy. „Nie bardzo rozumiem, co zostało zakazane, a co uznano konkretnie za ekstremistyczne ani też czym jest ruch LGBT, czy ma ono jakąś osobowość prawną?" – tak Popow wyrażał swoje wątpliwości dotyczące, jak widać, raczej kwestii nieprecyzyjności nowego rozwiązania niż słuszności samej walki z lewicowo-liberalną narracją. Zauważył przy tym słusznie, że w prawie rosyjskim wcześniej istniały zapisy, zakazujące nie tyle ruchu, ile propagandy LGBT. Rzeczywiście „propaganda nietradycyjnej orientacji seksualnej wśród nieletnich" została zakazana już w 2013 r. Nie oznaczało to jednak jeszcze „pełnoskalowej wojny" z tęczowym ruchem.

Podobnych co Popow rozterek nie miał wiceprzewodniczący Dumy Państwowej Piotr Tołstoj. W jego ocenie ruch LGBT to dobrze zorganizowany i dokładnie zaplanowany projekt, którego cel stanowi zniszczenie tradycyjnego społeczeństwa od środka. „Sodomia jest grzechem" – podkreślał, komentując decyzję sądu.

Walka Moskwy z tęczową ideologią postępuje. Według Human Rights Watch do początku lata 2025 r. rosyjskie sądy wydały ponad 100 wyroków skazujących w sprawach o ekstremizm, wytoczonych za udział w „międzynarodowym ruchu LGBT" lub za demonstrację symboliki tego ruchu. Jak twierdzi Andriej Szaszkow z think tanku Carnegie, kampania antytęczowa Putina jest skierowana nie tyle przeciwko homoseksualizmowi czy homoseksualistom, ile przeciwko jakiejkolwiek informacji na temat LGBT. Kreml chce, by z rosyjskiej przestrzeni publicznej zniknęły jakiekolwiek dowody na to, że takie zjawisko jak LGBT istnieje i że może być postrzegane jako wariant normy.

„Propagandy nietradycyjnej orientacji seksualnej wśród nieletnich" zakazano w 2013 r. Nie oznaczało to jednak jeszcze „pełnoskalowej wojny" z tęczowym ruchem

Konserwatywny w sensie stosunku do tęczowych ideologii charakter działań władz rosyjskich przejawia się nie tylko w zakazach, nakazach i karnym ściganiu aktywistów. W Rosji jest praktycznie nie do pomyślenia jakakolwiek dyskusja na temat legalizacji związków par tej samej płci, nie mówiąc już o „małżeństwach" homoseksualnych. Trzeba przy tym przyznać, że wynika to również z poglądów panujących w rosyjskim społeczeństwie, niezależnie od stosunku do rządów Putina. Tak jak aborcja jest w Rosji powszechnie traktowana jako normalny zabieg (a dostęp do niej bardzo łatwy poprzez liberalne prawo), tak formalizacja związków homoseksualnych jest w powszechnym przekonaniu czymś nie do pomyślenia. Ponadto w 2023 r. w Rosji zakazano tzw. korekty płci. Również literka „T" ze skrótu LGBT jest w państwie Putina na cenzurowanym.

OŚMIESZANIE SŁUSZNEJ SPRAWY

Choć władze rosyjskie bardzo konsekwentnie i radykalnie walczą z nietradycyjnymi orientacjami seksualnymi i ich propagowaniem, to czasem ta walka przybiera kształty niezamierzenie karykaturalne, nabierając tym samym cech wylewania dziecka z kąpielą. Dobry przykład stanowi sprawa serwisu internetowego Mangalib. Jest to rosyjski portal publikujący mangi, czyli popularne japońskie komiksy. Jakiś czas temu został on w niedużym odstępie czasu dwukrotnie ukarany grzywną „za propagandę LGBT". Najpierw moskiewski sąd orzekł 14 mln rubli (ponad 600 tys. zł) kary – po 2 mln za każdą z siedmiu mang, opublikowanych na portalu. W tych akurat komiksach miały być propagowane zmiana płci, a także rezygnacja z rodzenia dzieci. Trudno się dziwić, biorąc pod uwagę rosyjskie ustawodawstwo. Z konserwatywnego punktu widzenia trudno również na taką decyzję się oburzać. Jednak za drugim razem właściciele Mangalib zostali ukarani grzywną w wysokości „jedynie" 200 tys. rubli za mangę pt. „Dziewczyna wyszła za mąż za węża". Zdaniem sądu było to złamanie prawa, w myśl którego nie należy promować związków seksualnych innych niż związek kobiety i mężczyzny.

Ta decyzja wywołała zasłużone kpiny części komentatorów. Opozycyjny bloger Maksym Kac nie bez racji zauważył, że jeśli pójść tropem tego konkretnego wyroku, to „najbardziej heteroseksualny sąd na świecie" powinien w dalszej kolejności zakazać połowy wszystkich baśni i bajek. A to by uderzyło nie tylko w zachodniego Disneya czy japońskie mangi, lecz także w rosyjski folklor, gdzie też zdarzają się „mezalianse", takie jak ślub Iwana carewicza z żabą. Bo przecież ten znany bohater rosyjskich baśni w chwili ożenku nie spodziewał się, że pewnego dnia jego małżonka stanie się człowiekiem… Wszystko skończyć się może na tym, że rosyjska policja będzie musiała patrolować przedszkola i palić dziecięce bajki na stosie.

Oczywiście nie należy tej sprawy całkowicie sprowadzać do absurdu. Również w Polsce czy tym bardziej na Zachodzie pod różnymi pozorami w niewinnej czasem formie przemyca się seksualizację dzieci. Nie powinno się tego bagatelizować. Jednak typowy dla Rosji radykalizm sprawia, że nawet słuszną walkę Moskwa potrafi ośmieszyć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 46513f5f87

FOT. MARIO OLSZINSKI WIKIPEDIA CC BY-SA 4.0

WPADKA MINISTERSTWA

W roku 2023 drag queen Jurassica Parka (Mario Olszinski), który był gospodarzem parady Berline Pride, został prawomocnie skazany na karę grzywny za rozpowszechnianie pornografii dziecięcej. Mimo wyroku jego kariera trwała dalej – stał się m.in. twarzą organizowanej przez niemieckie ministerstwo do spraw rodziny kampanii na rzecz osób „queer". Kiedy media to ujawniły, resort oświadczył, że nie posiadał wiedzy o kryminalnej przeszłości człowieka, z którym współpracował.

FAŁSZYWY SĘDZIA

Kamery monitoringu w gmachu sądu w Independence (Missouri) uchwyciły któregoś popołudnia mężczyznę rozmawiającego z pracownikami biura akt kryminalnych. Potem zniknął on z pola widzenia kamer. Po zmroku monitoring znowu zarejestrował jego obecność w budynku sądu. Mężczyzna został tam do rana. I wtedy ktoś zwrócił na niego uwagę, bo ubrał togę sędziowską. Zawiadomiono policję. Fałszywy sędzia próbował uciec, ale został zatrzymany ze skradzionymi cennymi przedmiotami.

JEDNOROŻEC NA UCZELNI

Pracownica naukowa Uniwersytetu Rutgersa (stan New Jersey) wywołała protest studentki z powodu wprowadzania na wykładach z socjologii kontrowersyjnych treści. Chodziło o pokazanie genderystowskich slajdów. Jeden z nich zawierał sugestię, że dziewczynka ma męskie narządy płciowe, inny zaś przedstawiał jednorożca symbolizującego wielość tożsamości płciowych.

ZAWODNY GOOGLE?

Google Maps się nie sprawdza – zakomunikowała turystka, która odwiedziła Wenecję. Przechadzając się schodami prowadzącymi do jednego z kanałów w tym mieście, korzystała z nawigacji. W pewnym momencie, idąc za wskazówkami Google Maps, wpadła prosto do wody. Jak twierdzi, do zdarzenia doszło, ponieważ nawigacja działała błędnie. Film, który kobieta wrzuciła do Internetu, zdobył niemal 300 tys. polubień. Część osób skrytykowała ją za nieuwagę, a część wyraziła jej współczucie.

WŁASNY POGRZEB

Mieszkaniec wioski Konchi w Indiach zainscenizował własny pogrzeb. Położył się do trumny. Następnie rozpoczęły się obrzędy. Przybyło na nie mnóstwo ludzi. Po obrzędach trumnę przeniesiono do krematorium. I wtedy 74-letni mężczyzna wstał, wywołując konsternację osób, które przyszły go pożegnać. Powiedział, że organizując ceremonię pogrzebową, chciał sprawdzić, jaki ludzie mają do niego stosunek. ©℗

Filip Memches

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Język polski jest nAIlepszy?

Globalne inwestycje w rozwój sztucznej inteligencji liczone są już w dziesiątkach miliardów rocznie. Tymczasem wyniki najnowszego badania pokazują, że Opatrzność znów okazała się dla Polaków łaskawa. Otóż naukowcy z Uniwersytetu Maryland i Microsoftu dowiedli, że język polski – zaliczany do najtrudniejszych na świecie – jest najlepszy do promptowania narzędzi sztucznej inteligencji (AI), czyli do formułowania jasnych i konkretnych poleceń (promptów) w celu uzyskania pożądanych odpowiedzi lub najlepszych efektów.

Takie promptowanie przypomina nieco rozmowę z wypuszczonym właśnie z butelki dżinem lub świeżo złowioną złotą rybką. Dziesiątki dowcipów z czasów, gdy o sztucznej inteligencji jeszcze mało kto słyszał, pokazują, że w tego typu przypadkach warto być bardzo precyzyjnym. Podobnie jak z dżinem jest ze sztuczną inteligencją.

Naukowcy testowali zarówno poziom zrozumienia zapytania, jak i jakość odpowiedzi na takich modelach jak OpenAI, Google Gemini, Qwen, Llama czy DeepSeek. W cytowanym badaniu język polski okazał się najbardziej wydajny spośród 26 testowanych języków w przypadku długich, kontekstowych promptów.

Na podium w tym zadaniu znalazły się też francuski i niemiecki. A tuż za nim hiszpański i rosyjski. Mowa Szekspira w tym rankingu zajęła dopiero szóste miejsce. Przed ukraińskim, portugalskim, niemieckim i holenderskim. Nie pierwszy raz zaskoczyliśmy uczonych w AI. W lipcu okazało się, że jedynym człowiekiem, który potrafił pokonać AI podczas konkursu programowania, był Przemysław „Psyho" Dębiak. Czas dominacji AI może więc być erą świetności Polaków... ©℗

eprasa.pl 46513f5f87

FOT. ADOBE STOCK

Światowy zakaz „leasingowania” brzuchów?

Piotr Włoczyk

Na forum ONZ stanął postulat wprowadzenia globalnego zakazu surogacji. Choć ta praktyka zupełnie wprost sprowadza się do traktowania kobiet jak inkubatory, to feministki protestują tu zaskakująco mało energicznie

Australijskie małżeństwo zamówiło w klinice bobaski. Zdrowe bobaski. Pattaramon Chanbua, 21-letnia Tajka, która miała już dwoje własnych dzieci, dostała za to zlecenie 15 tys. dol. Jak tłumaczyła potem w mediach, dodatkowy zarobek był jej potrzebny do spłaty długów. Kiedy jednak w połowie ciąży okazało się, że jedno z bliźniąt cierpi na zespół Downa, zleceniodawcy zażądali aborcji. Tajka odmówiła, argumentując, że zabrania jej tego buddyzm. Po porodzie australijska para odebrała w klinice zdrową dziewczynkę i wywiozła ją do Australii, zostawiając surogatce chorego brata. Sprawa była tak bulwersująca, że szybko wybuchł międzynarodowy skandal. Głos zabrał nawet premier Australii, mówiąc, że to „bardzo, bardzo smutna historia”, która pokazuje „pułapki związane z tym konkretnym biznesem”. Dodatkowo okazało się, że mężczyzna zamawiający z żoną dzieci miał w Australii na swoim koncie wyrok za molestowanie dziewczynek… Los chłopca poruszył bardzo wiele osób, dzięki czemu błyskawicznie uzbierano fortunę na zapewnienie choremu dziecku dobrych warunków do życia; wystarczyło nawet na postawienie nowego domu.

W przypadku dziecka, które nosiła w swoim brzuchu Amerykanka Crystal Kelly, problemem był cały zestaw wad. Para, która zamówiła u niej dziecko, zaproponowała jej następnie 10 tys. dol. za dokonanie aborcji. Surogatka jednak odmówiła i przeprowadziła się z Connecticut, gdzie liberalne prawo stanowiło, że dziecko należy do zamawiających, do Michigan, gdzie przepisy dawały jej wyłączne prawo do opieki nad dzieckiem, które chciała urodzić. Informacja o „bonusie” za aborcję sprawiła, że przypadkiem Kelly zainteresowały się największe amerykańskie media. Po urodzeniu chorą dziewczynkę adoptowała rodzina państwa Harrell. Dziecko przeżyło – w kochającym domu – osiem lat.

Podobna historia spotkała mieszkającą w Kalifornii Andreę Ott-Dahl. Tamtejsze prawo również pozwala na „wynajmowanie” brzucha, z czego skorzystała para bogatych lesbijek z Doliny

eprasa.pl 46513f5f87

Krzemowej, które znały się z Ott-Dahl (ona sama także jest homoseksualna). Gdy jednak okazało się, że dziewczynka nie jest zdrowa – cierpi na zespół Downa – lesbijska para postawiła sprawę jasno: ciąża musi się zakończyć aborcją! Jednak Andrea Ott-Dahl nie była w stanie tego zrobić. Postanowiła urodzić dziewczynkę i ją wychować. Mała Delaney trafiła do mediów społecznościowych, gdzie matka pokazywała jej zespół Downa jako chorobę, z którą jak najbardziej można żyć i która pozwala cieszyć się życiem.

PATOLOGIE ZASTĘPCZE

Te trzy głośne historie, które wydarzyły się w ostatnich latach, to tragiczne konsekwencje kupowania dzieci w ramach surogacji. Bogaci klienci, którzy sami nie są w stanie (lub nie chcą) mieć dziecka w naturalny sposób, korzystają z klinik in vitro i pośredników, którzy wyszukują kobiety w trudnej sytuacji życiowej, gotowych za pieniądze wynająć swoje macice, a następnie oddać dziecko zaraz po porodzie. O swoich dzieciach pochodzących z surogacji otwarcie mówiły takie światowe gwiazdy, jak choćby Cristiano Ronaldo, Kim Kardashian czy Nicole Kidman.

Z surogacją, znaną też pod pojęciem „macierzyństwo zastępcze", wiąże się jednak tyle patologii, że w końcu sprawą zainteresowała się sama ONZ. W tym roku bardzo aktywna była w tej kwestii Reem Alsalem, specjalna sprawozdawczyni ONZ do spraw przemocy wobec kobiet i dziewcząt. W październiku Reem Alsalem złożyła na forum Zgromadzenia Ogólnego Organizacji Narodów Zjednoczonych swój raport na temat surogacji. Ekspertka ONZ wzywa w nim wszystkie państwa członkowskie do wprowadzenia zakazu takich praktyk. „Macierzyństwo zastępcze sprowadza kobiety i dzieci, w tym dziewczęta, do roli towarów, pozbawiając je równości i godności oraz zachęcając do ich wykorzystywania i nadużyć" – powiedziała Alsalem. W prace nad wprowadzeniem globalnego zakazu surogacji zaangażowane jest m.in. Ordo Iuris.

– Surogacja, zwłaszcza w swojej komercyjnej formie, wiąże się z ryzykiem przemocy i wykorzystywania kobiet podejmujących się tej roli. Na taki stan rzeczy wskazują badania naukowe, które potwierdzają występowanie różnych form przemocy wobec surogatek, w tym przemocy psychologicznej, ekonomicznej i fizycznej – mówi „Do Rzeczy" Patryk Ignaszczak, analityk w Centrum Prawa Międzynarodowego Ordo Iuris, który zajmuje się tym tematem. – Teza podnoszona przez zwolenników surogacji, jakoby nie była ona przymusowa, dlatego powinna być dozwolona, jest nie do obrony. Kobiety często decydują się bowiem na taką „umowę" pod wpływem trudnej sytuacji ekonomicznej, dlatego też ich faktyczna możliwość swobodnego decydowania o zostaniu „matką zastępczą" jest faktycznie mocno ograniczona.

Ekspert Ordo Iuris zwraca przy tym uwagę, że proceder surogacji był wielokrotnie potępiany przez różne międzynarodowe gremia. Już w 2011 r. Parlament Europejski wzywał w rezolucji członków UE do „uznania macierzyństwa zastępczego za poważny problem będący formą wykorzystywania ciała kobiety i jej narządów rozrodczych" oraz alarmował, że „zarówno kobiety, jak i dzieci mogą być postrzegane jako towar na międzynarodowym rynku rozrodczym, a nowe zjawiska w dziedzinie rozrodczości, takie jak macierzyństwo zastępcze, przyczyniają się do zwiększenia handlu kobietami i dziećmi oraz liczby przypadków nielegalnej adopcji ponad granicami".

SUROGATKI POD BOMBAMI

Wraz z pogłębianiem się problemów z płodnością w bogatych krajach przemysł surogacyjny coraz bardziej kwitnie. Według szacunków ONZ od 2023 r. do 2033 r. obroty tego sektora zwiększą się z 15 do niemal 100 mld dol. (zdecydowana większość tych pieniędzy trafia na konta pośredników).

Surogacja komercyjna w niewielu państwach jest wprost dozwolona (tak jest m.in. w niektórych stanach USA, na Ukrainie, w Gruzji, Rosji czy Iranie), ale – jak czytamy w ONZ-owskim raporcie – również tam, gdzie legalne jest tylko altruistyczne „macierzyństwo zastępcze" (czyli surogatka otrzymuje jedynie zwrot poniesionych kosztów opieki zdrowotnej), w rzeczywistości panuje wolnoamerykanka: „Te różnice często są rozmyte, szczególnie w tych systemach prawnych, gdzie surogacja komercyjna jest formalnie zakazana, ale gdzie zwroty są tak wysokie, że w rzeczywistości stanowią one opłaty komercyjne". Państwami, w których legalna jest jedynie surogacja altruistyczna, są m.in. Indie i Australia. Natomiast zdecydowana większość członków ONZ w żaden sposób nie reguluje kwestii surogacji, co jednak otwiera szerokie pole do nadużyć.

W Europie prawdziwą surogacyjną potęgą stał się nasz wschodni sąsiad. Największe światowe media co jakiś czas publikują reportaże z Ukrainy, próbujące odpowiedzieć na pytanie: „Dlaczego ukraiński przemysł surogacyjny kwitnie pod bombami?" (to akurat tytuł długiego materiału Al-Dżaziry z kwietnia tego roku). W Polsce surogacja nie jest legalna, ale również u nas, co pokazywały teksty śledcze, istnieje podziemie „matek zastępczych". Jednak dużo łatwiej skorzystać bogatym Polakom z zagranicznych – przede wszystkim ukraińskich – ofert.

– W polskim prawie istnieje potrzeba wprowadzenia bezpośredniego i możliwie prostego uregulowania mającego na celu przeciwdziałanie surogacji, czyli wyraźnego zakazu „macierzyństwa zastępczego" – mówi Patryk Ignaszczak. – Najlepszym możliwym rozwiązaniem byłoby znowelizowanie znajdującego się w rozdziale XXVI Kodeksu karnego „Przestępstwa przeciwko rodzinie i opiece" art. 211a, który wprost stanowiłby, że osoba, która w jakiejkolwiek formie organizuje lub reklamuje praktyki „macierzyństwa zastępczego", popełnia przestępstwo. Ponadto rekomendować należy wprowadzenie typu kwalifikowanego w sytuacji, gdy sprawca uczynił z takiego przestępstwa stałe źródło dochodu.

Eksperci popierający wprowadzenie globalnego instrumentu prawnego zakazującego surogacji wskazują Włochy jako przykład kraju, który na poważnie zajął się tym tematem. Już w 2004 r. Italia zakazała „macierzyństwa zastępczego", ale rok temu jeszcze zaostrzyła przepisy w tym zakresie, obejmując nimi również Włochów, którzy korzystają z surogacji za granicą, i to nawet tam, gdzie jest ona legalna. Obywatele Włoch, którzy mimo wszystko angażują się w ten proceder, muszą się liczyć z grzywną w wysokości nawet miliona euro.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 46513f5f87

Charyzmatyczny prezydent Argentyny Javier Milei za pomocą terapii szokowej próbuje uzdrowić gospodarkę swojego kraju FOT. CRISTINA SILLE/ REUTERS/FORUM

Cud Mileia 2.0

Jacek Przybylski

Prezydent Javier Milei otrzymał od Argentyńczyków polityczny mandat na kontynuowanie libertariańskich reform, czyli na radykalną walkę z inflacją i lewicowym państwem opiekuńczym. Jego partia – La Libertad Avanza – odniosła właśnie miażdżące zwycięstwo, zdobywając w kluczowych wyborach ponad 40 proc. głosów

Stawką tzw. wyborów połówkowych, które odbyły się pod koniec października, były teoretycznie 127 miejsc z 257 w izbie niższej Kongresu i 24 miejsca z 72 w Senacie. W praktyce bój toczył się o dalszy rozwój gospodarczy, stabilność argentyńskiej waluty oraz o przyszłość reform wprowadzanych przez Javiera Mileia. Obóz prezydenta szacował przed głosowaniem, że sukcesem będzie wynik na poziomie 30–35 proc. Tymczasem partia La Libertad Avanza zmiażdżyła opozycję, zdobywając 40,8 proc. Politycy z lewicowego ruchu peronistowskiego Siła Ojczyzny (FP) ponieśli porażkę, zdobywając niecałe 25 proc. głosów.

Dzięki tak zdecydowanej wygranej w październikowych wyborach prezydentowi, który zasłynął na całym świecie jako ten, który prowadzi politykę „cięć piłą łańcuchową", łatwiej będzie kontynuować wolnorynkowy program ograniczania wydatków państwowych i deregulacji argentyńskiej gospodarki. Jego partia od grudnia będzie zatem mieć wystarczającą liczbę głosów, aby blokować ewentualne próby impeachmentu prezydenta.

HISTORIA ARGENTYŃSKICH BANKRUCTW

Dlaczego w dużym kraju, bogatym w surowce naturalne, radykalne cięcia są w ogóle potrzebne? Przecież jeszcze w latach 30. XX w. Argentyna należała do grona 10 najbogatszych krajów świata,

eprasa.pl 46513f5f87

a jej budowana z rozmachem stolica – Buenos Aires – budziła podziw nawet wśród bogatych Europejczyków.

Co zabiło argentyńskiego tygrysa? W skrócie: przerośnięte do granic państwo opiekuńcze. Po drugiej wojnie światowej władzę w kraju przejął Juan Perón. Ogłosił on powstanie tzw. trzeciej drogi, czyli systemu, który miał różnić się od kapitalizmu i komunizmu. Niestety, podobnie jak komunizm również peronizm okazał się zgubną ideologią, która prowadziła wprost do zubożenia całego kraju. Po nacjonalizacji fabryk i kolei oraz przyznaniu robotnikom podwyżek płac i dodatkowych świadczeń socjalnych Perón szybko zobaczył w budżecie wielką dziurę. Nakazał zatem dodruk pieniądza na masową skalę. Efekt był prosty do przewidzenia. Argentyńska waluta (peso) straciła do lat 50. trzy czwarte wartości, a inflacja w ciągu pięciu lat wzrosła z niecałych 20 do 50 proc. W 1955 r. Argentyńczycy, biedniejący z roku na rok, nie wytrzymali i obalili Peróna. Jego następcy byli jednak jeszcze bardziej nieudolni. Tak bardzo, że ostatecznie Perón powrócił z emigracji i urząd prezydenta sprawował do śmierci w połowie lat 70. Nie ma tu miejsca na opisanie całej historii gospodarczej trzeciej gospodarki Ameryki Łacińskiej. Dość stwierdzić, że peroniści i dyktatura generałów doprowadzili do koszmarnego zwiększenia długu. Podejmowane przez kolejne rządy próby naprawy gospodarki i rozbicia państwowych monopoli kończyły się klęską. A inflacja od 1975 do 1991 r. wynosiła średnio ponad 300 proc. rocznie.

Na przełomie wieków XX i XXI w Argentynie wybuchł zaś gigantyczny kryzys. Przywódcy kraju wciąż nie dawali sobie rady z opanowaniem recesji, co kończyło się kolejnymi bankructwami (Argentyna ogłaszała niewypłacalność m.in. w latach 1956, 1982, 1989, 2001 i 2014). W 2001 r. władze zrezygnowały również z systemu wymiany do dolara amerykańskiego „one-to-one", co gwałtownie obniżyło notowania peso i wartość oszczędności milionów Argentyńczyków (którzy w jednej chwili stracili ok. 75 proc.). Gdy zaś w 2020 r. kraj ten ogłaszał niewypłacalność, było to już dziewiąte bankructwo od ogłoszenia niepodległości w roku 1816. W sklepach wiele półek świeciło pustkami, na ulicach roiło się od złodziei, a szybko tracące na wartości peso kto mógł, wymieniał jak najszybciej na czarnym rynku na amerykańskiego dolara. Wielu Argentyńczyków, mając dość ciągłego życia w niepewności, co przyniesie jutro, decydowało się też na emigrację.

ABY ARGENTYNA ZNÓW BYŁA WIELKA

Drugi pod względem wielkości kraj Ameryki Łacińskiej od dekad tkwił w stanie permanentnego kryzysu gospodarczego. Argentyńczycy wybrali zatem na nowego przywódcę człowieka, który mówił wprost: „Nie przyszedłem przewodzić owcom, ale obudzić lwy". Javier Milei, konserwatywny libertarianin, przeciwnik aborcji, a jednocześnie świetnie wykształcony ekonomista, zapowiadał deregulację, debiurokratyzację oraz prywatyzację. Uczciwie uprzedzał także, że zanim uzdrowi krajową gospodarkę, będzie ciął publiczne wydatki na potęgę, ponieważ państwo w gospodarce to dla niego „reprezentacja diabła na ziemi". Aby uzmysłowić swoim wyborcom, co ma na myśli, nie tylko mówił o „cięciach piłą łańcuchową", lecz także przynosił na wiece prawdziwą piłę.

Milei został zaprzysiężony na prezydenta. 10 grudnia 2023 r. – w dniu, gdy obejmował władzę – kraj zmagał się z inflacją na poziomie 211,4 proc. rocznie, a wartość krajowej waluty gwałtownie traciła na wartości. W styczniu 2024 r. – według badania Katolickiego Uniwersytetu Argentyny – szacowano, że 57,4 proc. mieszkańców kraju żyło w ubóstwie. I była to najwyższa wartość tego wskaźnika od roku 2004.

Milei, dobry przyjaciel Donalda Trumpa, zaczął przywracanie wielkości Argentyny od radykalnych cięć wydatków. Nowy prezydent nie tylko zamroził wynagrodzenia w sektorze publicznym, lecz także ograniczył wydatki socjalne, ściął budżety na edukację, opiekę zdrowotną oraz inwestycje państwowe. Prezydent „piłą łańcuchową" zlikwidował też 30 tys. etatów w sektorze publicznym, ogłosił rozwiązanie kilkunastu ministerstw oraz likwidację Administración Federal de Ingresos Públicos, czyli największego urzędu skarbowego. Tę ostatnią instytucję zastąpił urzędem, który zatrudnia ponad 3 tys. urzędników mniej (co jednocześnie przyniosło oszczędności budżetowi i uwolniło przedsiębiorców od przerośniętej biurokracji).

W wyniku reform pracę w całym kraju straciło ponad ćwierć miliona osób, co początkowo doprowadziło do wyraźnego wzrostu bezrobocia z 6,2 do 7,9 proc. w pierwszym kwartale obecnego roku. Dane za drugi kwartał 2025 r. pokazują już jednak spadek stopy bezrobocia, do 7,6 proc. Ci Argentyńczycy, którzy pracę

REKLAMA

eprasa.pl 46513f5f87

mają, mogą być szczególnie zadowoleni – podwyżki płac wreszcie oznaczają bowiem realny, a nie tylko nominalny wzrost wynagrodzeń.

Dużo dobrego przyniosła też deregulacja kolejnych dziedzin życia. Dla przykładu: zniesienie w 2024 r. jednego z najsurowszych na świecie systemów kontroli czynszów doprowadziło do zwiększenia podaży mieszkań na rynku o ponad 170 proc. (wcześniej wiele mieszkań stało pustych) i w konsekwencji do spadku wysokości średniego czynszu w Buenos Aires o 40 proc. Nagle zniknął zatem problem z dostępnością mieszkań, a jednocześnie wielu wynajmujących znalazło prawdziwe okazje. Prezydencka administracja zniosła również kontrolę cen podstawowych produktów, takich jak mleko i cukier. Milei zrezygnował też z kontroli eksportu wołowiny i obniżył rządowe wymogi dotyczące importu stali.

Gospodarcze losy Argentyny, dawnej potęgi gospodarczej, powinny być obowiązkową lekturą dla polskich polityków

Tnąc państwowe wydatki i przywracając wolny rynek, charyzmatyczny prezydent Argentyny ujarzmił tempo wzrostu cen. Trzycyfrową inflację udało mu się zbić do poziomu 32 proc. (rok do roku). Wzrost cen miesiąc do miesiąca spadł z ok. 25 proc. przed przejęciem władzy przez Mileia do nieco ponad 2 proc. we wrześniu 2025 r.

Prezydent doprowadził też do znaczącego obniżenia kosztów obsługi długu publicznego. Dzięki bolesnym reformom Argentyna odnotowuje w tym roku pierwszą od 12 lat nadwyżkę budżetową. To ważna zmiana w kraju, który na koniec 2023 r. miał zadłużenie na poziomie 155,4 proc. PKB, na koniec 2024 r. poziom ten wynosił „zaledwie" ponad 83 proc. PKB, a w tym roku ma spaść do 78 proc. PKB.

W kwietniu, zgodnie z zaleceniami Międzynarodowego Funduszu Walutowego, Argentyna częściowo uwolniła również kurs peso. W zamian władze otrzymały z MFW 20 mld dol. na obronę krajowej waluty. To jednak najwyraźniej nie wystarczyło. Peso mocno straciło na wartości, osłabiając się do 1490 za jednego dolara w ciągu zaledwie kilku miesięcy.

KROPLÓWKA Z BIAŁEGO DOMU

Przed wyborami władze Argentyny – kraju, który od trzech dekad funkcjonuje na globalnych rynkach jako bankrut recydywista – podejmowały rozpaczliwe próby stabilizacji kursu swojej waluty. Potrzebnych do tego dolarów wciąż jednak brakowało. Argentyna znów znalazła się zaś na finansowym zakręcie, bo dolarów potrzebuje także do wykupu obligacji.

Na szczęście Javier Milei to jeden z największych sojuszników USA w Ameryce Łacińskiej, chociaż w przeciwieństwie do Donalda Trumpa argentyński ekonomista jest zwolennikiem, a nie przeciwnikiem wolnego handlu.

Amerykański sekretarz skarbu wprost poparł więc prezydencką partię przed październikowymi wyborami. „Nie chcemy kolejnego upadłego państwa w Ameryce Łacińskiej" – napisał w mediach społecznościowych Scott Bessent. Zanim Argentyńczycy udali się do urn, również Donald Trump wyraźnie zasugerował, że ogłoszona przez Waszyngton pomoc finansowa w wysokości aż 40 mld dol. będzie zależeć od tego, jak przebiegną wybory i czy Milei nadal będzie mógł reformować kraj.

Nie było to jednak wcale takie pewne. Wiele osób – zwłaszcza emeryci, robotnicy i przedstawiciele klasy średniej – mocno ucierpiało w wyniku polityki silnego zaciskania pasa. Dodatkowo popularności reformatorskiego obozu zaszkodziły liczne afery korupcyjne, a także głośny na całym świecie upadek promowanej przez prezydenta Mileia kryptowaluty $LIBRA (inwestorzy stracili na niej ponad ćwierć miliarda dolarów, a sprawa wstrząsnęła w lutym nie tylko Argentyną, lecz także międzynarodowym rynkiem kryptowalut).

Na szczęście większość wyborców zdaje sobie sprawę, jaką pułapką dla krajowej gospodarki byłby powrót do modelu peronistycznego. Wiele osób nie poszło więc w ogóle na wybory, choć w teorii udział w głosowaniu jest w Argentynie obowiązkowy dla osób od 18. do 70. roku życia. Frekwencja wyniosła niecałe 68 proc., była więc najniższa od przywrócenia w kraju demokracji w roku 1983. Od większości tych, którzy do urn jednak poszli, Milei dostał szansę na pokazanie, czy naprawdę jest w stanie uzdrowić kraj. Kolejny wyborczy sprawdzian, czyli najbliższe wybory prezydenckie, odbędzie się bowiem dopiero w roku 2027. – Dzisiaj nasz kraj znalazł się w punkcie zwrotnym, dziś rozpoczynamy budowę wielkiej Argentyny – obiecał tłumowi zwolenników rozentuzjazmowany 55-letni prezydent, podkreślając, że mieszkańcy kraju „zdecydowali zostawić za sobą 100 lat dekadencji".

Na wieść o niespodziewanie dobrych wynikach październikowych wyborów – prezydencka partia Wolność Postępuje (La Libertad Avanza) zwyciężyła nawet w Buenos Aires, czyli w tradycyjnym mateczniku peronistów – inwestorzy oszaleli z radości. Peso błyskawicznie umocniło się do amerykańskiego dolara o 10 proc., a indeks argentyńskiej giełdy urósł jednego dnia aż o jedną piątą! W ciągu kilku dni – od piątku przed wyborami do ubiegłej środy – indeks Merval wzrósł zaś o ponad 32 proc., czyli niemal tak mocno, jak warszawski WIG20 w ciągu 10 miesięcy obecnego roku. Wzrosły również akcje argentyńskich spółek notowanych na zachodnich giełdach. Coraz więcej inwestorów znów zaczęło też wierzyć, że Argentyna może się wreszcie stać krajem wypłacalnym. I są gotowi kupować jej obligacje.

CENNA LEKCJA DLA POLSKI

Gospodarcze losy Argentyny, którą na początku XX w. pod względem PKB per capita wyprzedzały tylko takie kraje jak Australia, Belgia, Szwajcaria, Kanada, Nowa Zelandia, Stany Zjednoczone i Wielka Brytania, powinny być obowiązkową lekturą dla polskich posłów i senatorów każdej kolejnej kadencji.

Bo chociaż jesteśmy już bogatsi niż Japończycy, a gonimy Francuzów i Brytyjczyków, to przedstawiciele różnych partii – zarówno rządzących, jak i opozycyjnych – zaczęli w ostatnich miesiącach niebezpiecznie licytować się na to, kto bardziej zadłuży Polskę, proponując nieracjonalne i populistyczne rozwiązania, w tym tak szkodliwe pomysły jak „bon na 100 tys. zł na trzecie dziecko". W wyborach warto więc zawczasu głosować na polskich odpowiedników Mileia.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 46513f5f87

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Skąd Mentzen na to weźmie?

Wprost serce rośnie, gdy człowiek czyta zapewnienia składane przez polityków przed zdobyciem przez nich władzy. Czyli wtedy, gdy jeszcze zabiegają o przychylność jak największej liczby wyborców i żadna siła nie jest w stanie powstrzymać ich przed składaniem najwymyślniejszych nawet obietnic. Czego to się wtedy człowiek nie nasłucha! A że na pewno zmienią to i tamto, a naprawią tamto i owamto, że zreformują, uzdrowią i podniosą, a także rozwiną i usprawnią. A potem, jak przychodzi co do czego, to wiadomo.

Czy tak samo będzie z politykami Konfederacji – jedynej dziś liczącej się formacji politycznej nieuwikłanej wcześniej w sprawowanie władzy? A raczej jedynych dziś liczących się formacji, bo przecież Konfederacje są co najmniej trzy – ta Sławomira Mentzena, ta Krzysztofa Bosaka i ta Grzegorza Brauna.

A politycy ci z niesłychaną łatwością składają dziś obietnicę za obietnicą. Ot, choćby Sławomir Mentzen, który niemal na jednym oddechu zapewnił niedawno, że Konfederacja, gdy dojdzie do władzy – gdy będzie rządzić lub współrządzić – jednostronnie wycofa Polskę z Zielonego Ładu, paktu migracyjnego, umowy UE-Mercosur „i innych głupich rzeczy narzuconych przez Brukselę". Zastrzegając się: „Czy z dnia na dzień, to nie wiem […]. Być może zajęłoby to więcej niż jeden dzień, ale na pewno byłby to kierunek, w którym idziemy".

Czy można się nie cieszyć z takiej deklaracji Mentzena, gdy zna się cenę, którą przyszłoby zapłacić wszystkim Polakom za np. konieczność wprowadzenia w życie w Polsce aberracji zwanej Zielonym Ładem, gdyby obowiązek jego implementacji pozostał w mocy? Oczywiście nie można się nie cieszyć, bo taka decyzja oznaczałaby uratowanie Polaków przed prawdziwą hekatombą, która już przecież powoli zaczyna dotykać każdego z nas – w naszych domach i autach.

Wszelako zanim zaczniemy się cieszyć ze złożenia przez Mentzena deklaracji o gotowości Konfederacji do wyprowadzenia Polski z Zielonego Ładu itd. zaraz po przejęciu przezeń władzy, warto go zapytać, skąd Konfederacja zamierza wziąć co roku 20 mld zł, które teraz rząd Polski każdego roku czerpie z handlu w Polsce osławionymi „uprawnieniami do emisji CO2" w ramach Zielonego Ładu i potem wydaje je, na co mu się żywnie podoba. 20 mld zł, czyli dwie trzecie tego, co idzie na 13. i 14. emerytury.

A zatem: Jakie podatki w związku z wyprowadzeniem Polski z Zielonego Ładu Sławomir Menzten zamierza podnieść albo/i jakie wydatki państwa zredukować? Bo bez tego wyjaśnienia ta jego obietnica wpisuje się, niestety, w ciąg takich samych jak dotychczasowe obiecanek cacanek polityków od prawa do lewa i od lewa do prawa. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Dwa sukcesy i porażka

Katowicki kongres programowy PiS można oceniać na trzech poziomach. Na dwóch był sukcesem, na trzecim, najważniejszym, spektakularną porażką.

Pierwszy poziom to rywalizacja wizerunkowa z jednoczącą się w tym samym czasie Koalicją Obywatelską. Tutaj PiS zdecydowanie wygrał, całkowicie dominując przekaz. Wrażenie było takie, że PiS pracuje, dyskutuje nad programem, podczas gdy rządząca partia zajmuje się jałowym i bezproduktywnym zmienianiem etykiety.

Trzeci poziom, najważniejszy, to faktyczna waga i atrakcyjność kongresowych propozycji

Drugi poziom to oddziaływanie na wewnątrzpartyjne gierki. Tu również PiS poradził sobie dobrze: w jednym miejscu na swoistej imprezie integracyjnej oraz często w tych samych dyskusjach panelowych udało się zgromadzić przedstawicieli nierzadko zwaśnionych frakcji. Przekaz od dawna forsowany przez Jarosława Kaczyńskiego – o potrzebie połączenia sił i zarzucenia wzajemnych animozji – znalazł konkretną postać.

Trzeci poziom to faktyczna waga i atrakcyjność kongresowych propozycji. Tu ma miejsce spektakularna porażka. PiS, który rządził dwie kadencje (a nawet dwie i pół), pokazał nie tylko bardzo zgrane, lecz także często doszczętnie skompromitowane twarze, takie jak Jacek Kurski, Joanna Lichocka, Jacek Sasin, a przede wszystkim niestrawny dla dużej części prawicowego elektoratu Mateusz Morawiecki. Wiele debat przebiegało tak, jakby dotąd PiS nigdy nie rządził, a autorzy programowych tekstów w ponad 500-stronicowej księdze, będący politykami PiS, pisali, co „trzeba zrobić", tak jakby nie mieli władzy przez osiem lat. Na dodatek pojawiły się propozycje radykalnego zwiększenia poziomu redystrybucji i opodatkowania.

Dwa epizody z kongresu były szczególnie wymowne. Najpierw powierzenie strażniczce jedynie słusznej linii w czasach COVID, Joannie Lichockiej, moderowania panelu zatytułowanego „Polska wolność". Potem lapsus Doroty Kani, jednoznacznie politycznie zaangażowanej dziennikarki, byłej naczelnej Polska Press po przejęciu koncernu przez Orlen za czasów Daniela Obajtka, która oznajmiła, że powinien powstać „narodowy holding mediów publicznych, skupiający Telewizję Polską, Polskie Radio i Prawo i Sprawiedli…". Chodziło o Polską Agencję Prasową, ale iście freudowska pomyłka przypomniała, jak bardzo PiS nie wyciągnął wniosków z porażki w 2023 r. ©℗

eprasa.pl 46513f5f87

Antychiński

Łukasz Warzecha

Według Sławomira Dębskiego, byłego dyrektora Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, nie powinniśmy zapominać, że ChRL to nie Rosja i w przeciwieństwie do niej Chiny nikogo jeszcze nie napadły. Nie mamy żadnego powodu, aby traktować te państwa jednakowo. Wobec Chin powinniśmy prowadzić pragmatyczną politykę

Nowa droga transportu morskiego, alternatywna wobec tej prowadzącej przez Kanał Sueski i wokół Przylądka Dobrej Nadziei, może wkrótce zrewolucjonizować transport pomiędzy Azją a Europą. Testowe połączenie kontenerowe ma połączyć porty w Qingdao, Szanghaju oraz Ningbo w Chinach z europejskimi portami Felixstowe, Rotterdam, Hamburg i Gdańsk" – czytamy w notce z sierpnia tego roku na stronie Portu Gdańsk. Nowa trasa, prowadząca przez Ocean Arktyczny, okrążająca Azję i Europę od północy, miałaby działać sezonowo przez kilka miesięcy w roku dzięki krótszemu okresowi, gdy w jej przebyciu przeszkadza lód. Jej pokonanie zajmuje zaledwie od 18 do 20 dni, co jest czasem znacznie krótszym niż 40–50 dni przez Kanał Sueski, a nawet niż w większości przypadków potrzeba na pokonanie jedwabnego szlaku, prowadzącego na końcowym odcinku przez Białoruś i Polskę.

Gdy zaplanowany został pilotaż trasy zwanej północną lub arktyczną, nie było jeszcze mowy o zamknięciu granicy polsko-białoruskiej i zablokowaniu w ten sposób jedwabnego szlaku. Do tego doszło dopiero we wrześniu. Chiny w tamtym momencie bardzo szybko były w stanie zaproponować handlowcom alternatywną drogę kombinowaną, lądowo-morską, prowadzącą koleją do portu w Sankt Petersburgu, a następnie przez Bałtyk do portu w Hamburgu. Po kilku dniach granica została, jak wiadomo, odblokowana, ale nie wpłynęło to na plany dotyczące trasy przez Ocean Arktyczny. Należy ją bowiem widzieć jako projekt całkowicie odrębny od chwilowego zawirowania w Polsce, długoterminowy i perspektywiczny. Przygotowania do jego uruchomienia trwały aż trzy lata. Przedsięwzięcie wymagało m.in. dostosowania i wzmocnienia używanych na szlaku statków czy specjalnego szkolenia załóg do pracy w trudniejszych warunkach.

WAŻNY PARTNER

Wszystkie media zajmujące się światowym handlem z ciekawością obserwowały we wrześniu i w październiku rejs 294-metrowego kontenerowca „Instanbul Bridge", pływającego pod banderą liberyjską, a należącego do niemieckiej firmy logistycznej Hapag-Lloyd AG (w chwili pisania tego artykułu statek zmierza już do Port Said w Egipcie). Jednostka wyruszyła z portu Ningbo-Zhoushan 23 września. Do portu w Gdańsku „Istanbul Bridge" dotarł w niedzielę 19 października po 26 dniach żeglugi. Wcześniej zawinął do portów Felixstowe i Hamburg. Przedstawiciele przedsiębiorstwa Sea Legend Line Limited, operatora trasy, stwierdzili, że – ogólnie rzecz biorąc – warunki były idealne. Firma obsługująca linię jest zarejestrowana w Singapurze i należy w większości do chińskich inwestorów, a specjalizuje się w obsłudze trudniejszych bądź ryzykowniejszych szlaków.

Sea Legend Line zaplanowała również wariant mieszany, lądowo-morski, na okres, gdy pokonanie północnych akwenów nie będzie możliwe. Ma on łączyć trasę przez Kanał Sueski z transportem kolejowym do terminali w Europie Środkowej.

Wszystko zatem wskazuje, że mamy do czynienia z istotną innowacją w światowej logistyce, bardzo znaczącą,

eprasa.pl 46513f5f87

syndrom

FOT. ADOBE STOCK

wziąwszy pod uwagę rosnące nieuchronnie, mimo barier celnych, znaczenie obrotu handlowego z Chinami. W takim razie powinniśmy się cieszyć, że jeden z polskich portów został włączony do nowego łańcucha dostaw, zwłaszcza gdyby ten łańcuch miał się okazać alternatywą dla jedwabnego szlaku i przejmować od niego część towarów.

Byłoby to spójne z tym, w jaki sposób część najważniejszych polskich polityków starała się ustawiać względem Chin. Relacje z tym krajem były jednym z najważniejszych wątków prezydentury Andrzeja Dudy, który do Chińskiej Republiki Ludowej poleciał trzykrotnie. Co ważne – pierwszy raz już w listopadzie 2015 r. i, nie licząc USA, była to pierwsza wizyta nowej głowy państwa poza Europą. Kolejny raz polski prezydent był w Państwie Środka w 2022 r. przy okazji XXIV Igrzysk Olimpijskich. Doszło wtedy ponownie do spotkania z przewodniczącym ChRL Xi Jinpingiem. A pamiętać trzeba, że wizyta przy okazji igrzysk wcale nie była oczywista, bo z wielu stron nawoływano, aby zachodni politycy igrzyska w Chinach zbojkotowali z powodu naruszeń przez to państwo praw człowieka. Szczęśliwie polski prezydent ponad te sentymenty postawił rację stanu. Wreszcie po raz trzeci Andrzej Duda znalazł się w Chinach w 2024 r. I znów doszło do spotkania z przewodniczącym Xi, z którym prezydent RP miał podobno dobrą osobistą relację.

Ambasadorem w ChRL został w 2023 r. były dyrektor Biura Polityki Międzynarodowej Kancelarii Prezydenta, Jakub Kumoch, wcześniej również ambasador w Szwajcarii i Turcji. Ta nominacja – niezależnie od konfliktowego charakteru Kumocha, który sprawił, że ten ostatecznie pożegnał się z KPRP – dowodziła, jak ważne dla Andrzeja Dudy były stosunki z Chinami. Kumoch był wciąż jedną z najbardziej zaufanych osób w kręgu prezydenckim. Był też jednym z tych ambasadorów, którzy zostali przez prezydenta objęci specjalną ochroną w kontekście konfliktu z nową władzą i którzy nie zostali z placówki odwołani.

Obecna koalicja traktuje Chiny z pewną ostrożnością, ale przecież daleko jej do wrogości. Najlepszym dowodem była wizyta w Warszawie Wang Yi, chińskiego ministra spraw zagranicznych. W jej trakcie spotkał się nie tylko ze swoim polskim odpowiednikiem, lecz także z prezydentem Karolem Nawrockim.

O Chinach wspominał też minister Radosław Sikorski w exposé – w sposób taktowny i dość umiarkowany. Podczas wystąpienia przed Sejmem w kwietniu tego roku szef MSZ powiedział:

„Niepokojąca jest kooperacja rosyjsko-chińska. Chiny w ciągu ostatnich trzech lat wyeksportowały do Rosji ogromne ilości produktów podwójnego przeznaczenia – takich jak: sprzęt do nawigacji, drony czy technologie zakłócania komunikacji elektroniczno-radiowej. Bez tego wsparcia agresja przyniosłaby mniej zniszczeń, zabrała mniej istnień ludzkich, a niewykluczone, że już doprowadziłaby do całkowitego załamania rosyjskiej gospodarki.

Szanujemy naród chiński i jego wielką kulturę. Różnimy się w podejściu do praw człowieka, ale podziwiamy skok modernizacyjny, jakiego Chińska Republika Ludowa dokonała w ostatnich dekadach. Uważamy jednak, że Chiny stworzyłyby nową wartość w globalnym porządku, gdyby – a mają ku temu środki – doprowadziły do zakończenia kolonialnej wojny Putina w Ukrainie. Zamiast »wilczego wojownika« wolelibyśmy zobaczyć w Chinach posłańca pokoju".

Trzeba przyznać, że jak na upodobanie do wzniosłych, acz infantylnych tyrad, typowe dla wielu polskich polityków, te słowa były wyjątkowo wyważone.

ROZDWOJENIE JAŹNI

A jednak polską politykę wobec Chin cechuje daleko idące rozdwojenie jaźni. Gdy do gdańskiego portu wpływał „Istanbul Bridge", były pełnomocnik rządu do spraw bezpieczeństwa przestrzeni informacyjnej, znany z zaciekłego polowania na „ruskie onuce" i wygłaszania przepotwornych dyrdymałów zawsze ze śmiertelnie poważną miną, Stanisław Żaryn, napisał na X: „Statek »Istanbul Bridge«

eprasa.pl 46513f5f87

to kolejny już statek handlowy płynący z Chin do Europy szlakiem północnym. Fakt, że Chiny utrzymują, a nawet intensyfikują tę drogę morską, a portem docelowym był Gdańsk, generuje poważne zagrożenia dla Polski. Jesteśmy wciągani w niebezpieczną współpracę […]. W obecnej sytuacji wciąganie Polski w orbitę interesów Chin jest dla nas bardzo niebezpieczne, z uwagi na potencjalny konflikt USA – Chiny, a już realne współzawodnictwo. Chiny stanowią zagrożenie i wyzwanie dla Zachodu, a jednocześnie mogą stać się stroną realnego konfliktu – również wojskowego – z naszym najważniejszym sojusznikiem, USA. To powoduje, że wzmacnianie współpracy z Chinami i wzmocnienie ich pozycji i możliwości nacisków na Polskę rodzi realne ryzyka, które mogą się zmaterializować, gdyby spory między Pekinem i Waszyngtonem zaogniły się".

Stanisław Żaryn, który w przeszłości emitował również antychińskie wpisy po mandaryńsku (oczywiście nie znając tego języka), tu wyraźnie nie odrobił lekcji. „Istanbul Bridge" był bowiem pierwszym statkiem obsługującym szlak północny (arktyczny), a Gdańsk był jednym z czterech, a nie jedynym portem na trasie. Przede wszystkim jednak porażają prymitywizm przedstawionego rozumowania oraz to, że Żaryn nie jest jedyną osobą, która tępienie „onucyzmu" zaczyna rozciągać na relacje polsko-chińskie. Ten nowy trend ujawnił się w ostatnim czasie wśród innych zawodowych tropicieli niesłusznych poglądów na polską politykę zagraniczną, dotychczas skupiających się jedynie na wykrywaniu osób nienależycie entuzjastycznych wobec Ukrainy.

Gdyby przyjąć punkt widzenia Stanisława Żaryna, należałoby uznać – po pierwsze – że interes Polski w sprawie Chin jest identyczny z interesem USA i że nie możemy prowadzić żadnej autonomicznej polityki wobec Pekinu, a być może żadnej autonomicznej polityki w ogóle. Po drugie – że sam handel z Chinami oznacza wciąganie w orbitę chińskich wpływów i podatność na intensywną działalność szpiegowską. Może zatem najlepiej byłoby zerwać z Chinami wszelkie relacje handlowe. Po trzecie wreszcie – w kontrze do stanowiska Żaryna – włączenie Polski do chińskich łańcuchów handlu i dostaw nie tylko nam nie zagraża, lecz także sprzyja zwiększeniu naszego bezpieczeństwa. Można bowiem założyć, że Pekin nie będzie przychylnym okiem patrzył na ewentualne próby zachwiania przez Rosję równowagi jego ważnego partnera. A szczęśliwie dla nas to Rosja jest dzisiaj znacznie bardziej uzależniona od Chin niż odwrotnie.

Poza tym Stanisław Żaryn od stycznia 2024 r. znalazł sobie przytulisko jako doradca w Kancelarii Prezydenta. Było to zatem przed trzecią podróżą Andrzeja Dudy. Dlaczego wtedy Żaryn nie alarmował, że prezydent prowadzi groźną dla bezpieczeństwa państwa politykę?

Najnowsze wieści mówią o wstępnym amerykańsko-chińskim porozumieniu w kwestiach handlowych, zawartym przed kluczowym spotkaniem Xi z Trumpem

Można by powiedzieć, że Stanisław Żaryn to politycznie nikt – i byłaby to celna uwaga. Gorzej, że schizofrenia w relacjach z Chinami pojawia się również na poziomie państwowym. Wkrótce do Sejmu trafi przygotowany przez Ministerstwo Cyfryzacji projekt zwany „lex Huawei" – nowelizacja ustawy o Krajowym Systemie Cyberbezpieczeństwa. Już sama potoczna nazwa pokazuje, w kogo jest wymierzony. Ustawa ma implementować do polskiego prawa unijną dyrektywę NIS2 (Network and Information Systems), mającą zapobiegać zagrożeniom dla europejskiej sieci cybernetycznej. Problem w tym – o czym alarmują dotknięte polską ustawą podmioty i przedsiębiorcy – że polska regulacja idzie o wiele dalej niż dyrektywa. Zatem znowu mamy do czynienia z wykonywaniem europejskiej normy na 200 proc.

W wielkim skrócie – minister cyfryzacji będzie mógł określić, kto jest tzw. dostawcą wysokiego ryzyka, którego sprzęt nie może być w Polsce wykorzystywany w infrastrukturze informatycznej (oczywiście nadal mogą go używać prywatne osoby). Niemal na pewno na liście znajdzie się sprzęt chiński, nie tylko Huawei, co dla wielu publicznych i prywatnych podmiotów oznacza katastrofalne skutki w postaci konieczności wymiany urządzeń. Rząd nie przewiduje odszkodowań, a koszt wdrożenia przepisów jest szacowany na 8 mld zł. Wielu mniejszych dostawców Internetu obawia się, że zwyczajnie splajtują.

PROROK Z WĘGIER

W rozmowie w programie „Warzecha Kontra" na kanale Super Ring pytałem o politykę wobec Chin dr. Sławomira Dębskiego, byłego dyrektora Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. Doktor Dębski stwierdził, że nie powinniśmy zapominać, że ChRL to nie Rosja i w przeciwieństwie do niej Chiny nikogo jeszcze nie napadły. Nie mamy żadnego powodu, aby traktować te państwa jednakowo. Wobec Chin powinniśmy prowadzić pragmatyczną politykę.

Warto byłoby dokonać takiej wyraźnej korekty, choć i tak daleko nam będzie do węgierskiego realizmu w tej dziedzinie. W lutym tego roku przeprowadzałem dla „Do Rzeczy" wywiad z Péterem Szijjártó, ministrem spraw zagranicznych Węgier. Pytałem, czy nie obawia się, że dla administracji Trumpa, z którą rząd Orbána ma dobre relacje, chińskie inwestycje na Węgrzech będą problemem. Szijjártó odpowiedział: „Nasza współpraca z Chinami opiera się na zdrowym rozsądku i realizmie. Na Węgrzech spotykają się inwestorzy z Zachodu i ze Wschodu. Jesteśmy jedynym krajem w Europie, gdzie swoje fabryki mają wszyscy trzej duzi niemieccy producenci samochodów. A Niemcy ściągnęli na Węgry wielu chińskich inwestorów, ponieważ niemieccy producenci opierają się w dużej mierze na chińskich surowcach. Z tego, co widzę, trwa również współpraca firm chińskich z amerykańskimi. Stąd moja nadzieja, że zostanie osiągnięte porozumienie z Chinami i nie będziemy mieli wojen handlowych".

Wygląda, jakby węgierski minister okazał się prorokiem, bo najnowsze wieści mówią o wstępnym amerykańsko-chińskim porozumieniu w kwestiach handlowych, zawartym przed kluczowym spotkaniem Xi z Trumpem. Czy Stanisław Żaryn odpuści?

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 46513f5f87

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

KOSZMAR POTOPU SZWEDZKIEGO

Szarańcza z północy – Karol Gustaw cofnął Rzeczpospolitą do wczesnego średniowiecza. Potop szwedzki oznaczał dla państwa polsko-litewskiego pożogę, rabunek i upust krwi

Niemalowana królowa – Jedną z bohaterek „Potopu" mogłaby być Maria Gonzaga, nazywana „niebiałogłową". Gdyby nie śmiałość, wysiłki i pieniądze królowej, losy Polski mogłyby się potoczyć jeszcze bardziej tragicznie

Panamski łącznik – Francuzi próbowali zbudować w Panamie kanał na podobnej zasadzie jak w Egipcie. Warunki w Ameryce Centralnej były jednak dużo trudniejsze i dopiero Amerykanie byli w stanie zrealizować ten cud inżynierii

Syberyjska epopeja Czechosłowaków – Korpus naszych południowych sąsiadów przeszedł przez całą Rosję, by ewakuować się z Władywostoku. Po drodze Czechosłowacy walczyli nie tylko z bolszewikami

Książę regent – Zdzisław Lubomirski zdobył w latach pierwszej wojny światowej ogromną popularność – widziano w nim reprezentanta narodu – ale raptownie ją utracił

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 46513f5f87

Co mówi ubranie

FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

Joanna Bojańczyk

Wydawałoby się, że w murach muzeum moda umiera nagłą śmiercią. Sztuka trwa, moda przemija. Moda jest banalna, powierzchowna, krótkotrwała. Jaki sens pokazywać coś, co za pół roku nikogo nie będzie obchodzić?

Wbrew temu wszystkiemu współczesne ubrania znajdują coraz więcej miejsca w poważnych placówkach muzealnych. Dwadzieścia lat temu kuratorom nie przyszłoby do głowy zorganizowanie wystawy monograficznej poświęconej żyjącym projektantom. Krynolina, surdut – te, owszem, zasługiwały na zainteresowanie historyków. Ale nowe szmaty, tandetne, masowe – cóż w nich ciekawego?

Jednak gdy muzea otwierają się na szeroką publiczność i jak wszystkie instytucje kulturalne muszą zabiegać o oglądalność, moda staje się magnesem, który przyciąga tłumy. W roku 2011 wystawę „Savage beauty" w nowojorskim Metropolitan Museum of Art, poświęconą zmarłemu śmiercią samobójczą w 2010 r. angielskiemu kreatorowi mody Aleksandrowi McQueenowi, obejrzało 660 tys. zwiedzających. W kolejce trzeba było czekać siedem godzin. Żadna prezentacja w historii tej szacownej placówki nie przyciągnęła takiej publiczności. Mimo przedłużenia terminu i otwarcia do północy tysiące chętnych nie zdołały obejrzeć ekspozycji, która została uznana za wydarzenie sezonu. Jej koszt oszacowano na 7–10 mln dol.

Zamek Królewski nie może aspirować do takiego poziomu przede wszystkim pod względem budżetu. Nowojorskie muzeum jest wyjątkowo bogate, czerpie nie tylko z funduszy federalnych (tylko 10–15 proc.), lecz także od prywatnych sponsorów. Słynny doroczny bal MET jest jedną z części tej zbiórki.

Kosztów wystawy „Niech nas widzą! Wizerunek, strój, ciało" w Zamku Królewskim nie ujawniono, co leży zresztą w zwyczaju krajowych instytucji kultury. O podobnej do tej w Nowym Jorku liczbie zwiedzających nawet nie można marzyć. Byłam na wystawie kilka dni po wernisażu. Tłumów nie było. Wycieczki szkolne nie sprawiały wrażenia, żeby były zainteresowane.

„Niech nas widzą!" zrobiono ze zbiorów krajowych, dawnych i współczesnych. Prezentacja ma być próbą (kolejną) odpowiedzi na pytanie o rolę ubrania, teraz głównie w wymiarze społecznym, bo tak to przedstawiła kuratorka Monika Przypkowska (z grupą współpracowników).

Zgromadzono ok. 250 obiektów z różnych epok – od XVI stulecia do współczesności. Są wśród nich dzieła wypożyczone z paryskiego Luwru, Muzeum Historii Sztuki w Wiedniu, Galerii Obrazów Starych Mistrzów w Dreźnie, a także ze zbiorów prywatnych.

DLA PUBLICZNOŚCI CZY DLA KURATORÓW?

Czym jest ubranie? Ekspresją osobowości, maską czy dostosowaniem się do oczekiwań?

Zawiedzie się ten, kto oczekiwałby łatwej odpowiedzi i przyjemnej przechadzki po salach pełnych pięknych stro-

eprasa.pl 46513f5f87

jów. Nic z tych rzeczy. Ambicje autorów sięgają wyżej. „Celem podstawowym wystawy jest rozszyfrowanie znaczeń zawartych w dziełach sztuki znajdujących się w zamkowych wnętrzach. Rozszerzenie perspektywy czasowej od XVI wieku aż po współczesność w nieszablonowy sposób pozwoli zwrócić uwagę na procesualność zmian w obrębie kultury europejskiej oraz wskaże metamorfozy i transgresje wybranych na wystawę motywów ikonograficznych" – mówi Monika Przypkowska, kuratorka wystawy.

Nie dałoby się tego powiedzieć bez używania żargonu postmodernistycznego? Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że kuratorzy robią tę wystawę dla siebie, a nie dla publiczności.

Przewijają się tu modne pojęcia, często obecne we współczesnej mowie krytyków sztuki. Chodzi o nowo odczytane sprawy płci, przemocy, konfliktów społecznych. Niektóre hasła ograne i modne, związane z ruchem woke, który – co zabawne – właśnie zaczyna zanikać. Ceremonialny, bogaty strój według twórców wystawy wyraża przemoc, strój kobiety jest demonstracją jej seksualności i wyrazem napięcia w starciu płci… itp., itd. Nazwiska autorów obiektów wskazują na kierunek myślenia twórców wystawy: Zofia Kulik, Natalia LL (Natalia Lach-Lachowicz), Karol Radziszewski, Agata Agatowska… „Oglądając koronę, szlafrok filozofa czy but drag queen, dostrzegamy, że historia stroju to nieprzerwany ciąg strategii widzialności – historii o tym, jak bardzo pragniemy i jak bardzo lękamy się być dostrzeżeni" – podkreśla dr Jarosław Trybuś. Nie jestem pewna, czy fenomen drag queen odegrał aż tak istotną rolę w historii ubioru...

Pierwsze sale widz przemierza, oglądając eksponaty historyczne: ceremonialne szaty na płótnach, niektóre w naturze, jak imponujący płaszcz koronacyjny Stanisława Augusta. Zachwycająca suknia Marii Teresy (portret ze zbiorów własnych zamku).

Dalej już nie jest tak łatwo. Obecność niektórych obiektów staje się zrozumiała dopiero, gdy wczytamy się w opis. Chociaż bywa, że i to nie wystarczy. Niektóre, ma się wrażenie, umieszczono tu na siłę, bo z ubraniem czy modą niewiele mają wspólnego. „Futurystyczna metafora potencjału i siły zewnętrznego wizerunku w pracy Agaty Agatowskiej" – to opis rzeźby, czegoś między robotnikiem soc, kobietą a Buddą. Gdzie tu ubranie? Czy na siłę wrzucony obiekt, bo jego autorką jest kobieta?

W całej wystawie odczuwalna jest lewicowa perspektywa interpretacji mody.

Eksponuje się wątki homoerotyczne ubrania – tęczowy kostium Muglera, fascynator (rodzaj nakrycia głowy, ozdobiony pasmanteryjną ozdobą w kształcie waginy). „Figura Flory często bywa sprzymierzeńcem niebinarnych i queerowych narracji, wpływając na zmiany w tradycyjnym podziale kulturowych ról" – podkreśla dr Jarosław Trybuś.

To jasne, że moda zawsze związana była z ciałem. Zakazy, zwyczaje zmieniały się w różnych społecznościach w różnych czasach. Ale w takiej samej mierze (a może większej) jak potrzebę podobania się i uwodzenia ubranie wyrażało podejście praktyczne. Zwłaszcza gdy służyło ludziom klas niższych. Wątek ludowy, tak ostatnio modny w literaturze i publicystyce, tu nie występuje. Widzimy głównie ceremonialne, odświętne, balowe stroje. Tylko te przetrwały. Ubrania robotniczo-chłopskie wynoszono aż do zdarcia. „Niech nas widzą!" – to hasło nie pasuje do lnianej koszuli, roboczych portek czy fartucha.

EFEKTOWNE STROJE

Ci, którzy po wystawie mody oczekują efektownych strojów, nie będą całkiem zawiedzeni, bo „Niech nas widzą!" ratuje kolekcja mody Adama Lei udostępniona kuratorom. Warszawska publiczność może na żywo obejrzeć kreacje Chanel, Elsy Schiaparelli, Balenciagi, Diora, Gianfranco Ferré, Johna Galliano, Alexandra McQueena, Yves'a Saint Laurenta, Vivienne Westwood.

Zwróciłam uwagę na skromny obiekt, który dostał się tutaj jakby przez przypadek. To komplet garderoby Mary Baels, drugiej żony króla Belgii Leopolda III (na szczęście nie tego samego, który obcinał palce w Kongu). Pochodzi ze zbiorów Adama Lei, historyka sztuki i właściciela jednej z największych (a może największej) kolekcji udostępnionych Zamkowi. Kremowy kostium z jedwabiu z fioletowymi obszyciami to rzecz już z ducha i formy współczesna, nieepatująca dworskimi ekstrawagancjami. Powstała w roku ok. 1966, autorem jest wybitny hiszpański projektant Cristobal Balenciaga.

Warto się zatrzymać przy tej garsonce, z pozoru zwyczajnej, żeby uświadomić sobie różnicę w pojmowaniu mody kilkadziesiąt lat temu i dziś. Cristobal Balenciaga, Hiszpan działający w Paryżu w latach 50., ubierał europejską elitę (świadomie nie używam słowa „kreator", chociaż on na nie zasługuje). Nie znosił dziennikarzy i całego zgiełku mody. Zapewne przewracałby się w grobie, gdyby wiedział, jak po 60 latach z jego nazwiska zrobiono etykietę wulgarnej i drogiej marki, która jest niczym więcej jak kosztowną masówką dla snobów.

„Kłopotliwy żakiet" – tak na wystawie określono płócienny żakiet z czterema kieszeniami, który wylansował we wczesnych latach 60. Yves Saint Laurent, a który być może ma w szafie każda kobieta. Nazywano go wtedy żakiet safari. Ale czegóż się dowiadujemy z katalogu? Dlaczego żakiet ma być kłopotliwy? Tłumaczy Marcin Różyc, naczelny magazynu „Activist": „Dziś styl safari kojarzy się przede wszystkim z brutalną kolonizacją Afryki. Stał się symbolem imperializmu, zachłannej eksploatacji i grabieżczej polityki krajów Europy i Ameryki Północnej".

Otóż nie, panie Marcinie. Nosiłam ten żakiet wtedy i noszę go do dziś, podobnie jak wiele kobiet na całym świecie. Nie ten dosłownie, ale w takim fasonie. Jest wygodny, ma cztery kieszenie. I żadnej z nas nie przyszłoby do głowy kojarzyć go z imperializmem. Może bardziej z filmem „Out of Africa", dużo późniejszym. Zasługą Yves'a Saint Laurenta było to, że pierwszy udostępnił kobietom coś tak wygodnego, w stylu – jak wtedy mówiono – militarnym. To był początek spodni dla kobiet. Były mu wdzięczne, że nie muszą już męczyć się w sukienkach, a w kurtce dodatkowo mają cztery kieszenie. Tu jest sprawa przyziemna, praktyczna, nie żadne potępienie imperializmu.

Niech pan się bije w swoje piersi, jeśli odczuwa pan wstyd za kolonializm. Ja nie odczuwam, Polska kolonii nie miała.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

„Niech nas widzą! Wizerunek, strój, ciało", wystawa na Zamku Królewskim czynna jest od 10 października 2025 r. do 8 lutego 2026 r.

eprasa.pl 46513f5f87

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Wojna zaścianków

Hołuczków pod Sanokiem, koło Tyrawy Wołoskiej w Górach Słonnych, który w XVII w. służył za schronienie beskidnikom i opryszkom, stał się w 1655 r. areną krwawej wojny pomiędzy dwoma rodami szlacheckimi. Śmiało posłużyć ona mogła za inspirację do późniejszej „Zemsty" Aleksandra Fredry. A wiadomo wszak, że sztuka oparta była na rzeczywistych dziejach właścicieli zamku Kamieniec w Odrzykoniu – Piotra Firleja i Jana Skotnickiego. Jednak w porównaniu ze wspomnianą komedią, historia związana z Hołuczkowem to mroczny, sanocki eastern.

Zwada rozpoczęła się pomiędzy dwoma rodzinami – Jarockimi, właścicielami Hołuczkowa, i Dybowskimi; jak zwykle w tego typu sprawach nie wiadomo, jaki był powód tego zatargu. Wszystko zaczęło się od zajazdu Wojciecha Dybowskiego, który urządził go ze swymi dwoma synami. Napadli we wspomnianej wsi na dwór Jarockich, następnie schwytali ich sługę lub dalekiego krewnego, niejakiego Kowalskiego, i – jak podaje Władysław Łoziński – utopili go w Sanie. Nie był to jednak koniec krwawych porachunków, wkrótce bowiem z ręki Dybowskich padł także drugi przyjaciel domu Jarockich – Grzegorz Kosmowski. Adam Jarocki zabrał wówczas ciało do grodu w Sanoku, aby zaprezentować go w urzędzie grodzkim i wnieść protestację przeciwko zabójcom. Jednak wrogowie urządzili na niego zasadzkę niedaleko Hołuczkowa, zmusili do porzucenia trupa, a potem do ucieczki. Ścigając Jarockiego, wpadli do dworu, a kiedy nie znaleźli tutaj wroga, poprzestali na porozbijaniu sprzętów i znieważeniu niewiast.

RYS. QBA

Zdarzenie, które miało miejsce zapewne w połowie 1655 r., wywołało ogromne poruszenie w ziemi sanockiej. Natychmiast utworzyły się dwie, można by rzec, koalicje zaścianków z okolicznej szlachty, wspierające powaśnionych. Po stronie Jarockich stanęli: Chrząstowscy, Błotniccy, Brzostowscy, Chrząszczowie, Kurbutowie, Dębiccy, Siecińscy, Męcińscy i Konarscy. Po stronie Dybowskich: Giebułtowscy, Ujejscy, Ormoszowscy, Zbigniew Stadnicki i Marcin Konstanty Krasicki – co ważne, podczaszy przemyski i poseł na sejm, który oddał do dyspozycji protegowanych 16 nadwornych Tatarów.

Wkrótce doszło do kolejnej krwawej rozprawy, w dniu św. Marcina, czyli 11 listopada, gdy we dworze w Hołuczkowie zebrali się sojusznicy Jarockich. Dybowscy uprzedzili ich – przywódca rodu, Wojciech, zajechał w nocy fortalicjum, obległ i przeprowadził kilka szturmów. Nie mogąc jednak złamać zebranej tutaj szlachty, Dybowscy podpalili zabudowania. Płomienie zmusiły wówczas Jarockich i ich sojuszników do wyjścia ze dworu, prosto pod szable przeciwników. I właśnie wówczas doszło do krwawej rzezi, szczerze mówiąc – bardzo rzadkiej w czasie ówczesnych zajazdów. Padł gospodarz Adam Jarocki, zginęli: Konstanty Konarski, Marcin Chrząstowski, Andrzej i Józef Dębiccy, Piotr Brzozowski, Stanisław Sieciński i Andrzej Męciński.

Cała sprawa być może wstrząsnęłaby opinią szlachecką, ale pamiętajmy, że były wówczas potop szwedzki, rozprzężenie i bezprawie, a w kraju trwały walki z najeźdźcą. Zapewne wielu ze szlachty sanockiej i przemyskiej zgłosiło niebawem akces do antyszwedzkiej konfederacji tyszowieckiej i pociągnęło na wojnę. Dlatego sprawa poszła do trybunałów, ale nie zakończyła krwawych waśni. Tym razem stroną atakującą stali się Jaroccy. W 1656 r. Felicjan Jarocki wraz z kompanami i sługami napada w Lesku drugiego Felicjana – Dybowskiego, syna Wojciecha, zabija go, po czym wspólnie sieką ciało prawie na sztuki, zadając 13 śmiertelnych ran. Tymczasem kamienie sprawiedliwości mielą powoli, ale skutecznie. W kolejnym roku zapada w trybunale w Lublinie dekret przeciwko Wojciechowi Dybowskiemu, który za zajazd bez wyroku na Hołuczków i zamordowanie obecnych tam szlachciców, skazany zostaje na karę „gardła", czyli śmierci, a ponieważ w procesie nie uczestniczy osobiście – zaocznie na infamię. Jak pisze Władysław Łoziński, Wojciech załamany śmiercią syna, próbuje wówczas pojednania – zapewne przez mediatorów usiłuje ułożyć się z wdowami po zabitych w Hołuczkowie. Jak podaje „Prawem i Lewem", próby pojednania zajmują mu kolejne cztery lata. Dopiero 7 września 1660 r., po wypłaceniu odszkodowań krewnym zabitych, Dybowski uzyskuje zniesienie infamii i kary śmierci, zostaje przywrócony „do praw, wolności i przywilejów szlachectwa" na mocy dekretu królewskiego. Czy jegomość miał jakieś zasługi w walce ze Szwedami, tego nie wiemy, ale być może to właśnie one pomogły mu w zakończeniu krwawej waśni, z której rody Jarockich i Dybowskich wyszły prawie wygubione. ©℗

eprasa.pl 46513f5f87

HONDA PRELUDE

FOT. JAP.

Fani japońskiej marki dostali nowe wcielenie legendarnego modelu. Bryła inspirowana szybowcami potrafi obudzić sportowego ducha nie tylko u osób szukających recepty na kryzys wieku średniego. A jednocześnie daje ukojenie tym, którzy z żalem żegnają model Civic Type R.

Na szczęście Japończycy nie wpadli na pomysł, aby zrobić z Prelude szóstej generacji kolejnego SUV-a czy crossovera. Zwinne coupé z napędem na przednią oś, nisko położonym środkiem ciężkości i precyzyjnym układem kierowniczym prowadzi się jak po sznurku. Niestety, wyśrubowane unijne normy sprawiły, że zadziorną Hondę, przypominającą nieco Porsche 718 Cayman, wyposażono w hybrydowy układ napędowy o mocy… 184 KM. Auto w pełni sportowe jest więc tylko z zewnątrz. Na sprint od zera do 100 km/h potrzebuje bowiem 8,2 s. Oczywiście, że wolałbym mieć więcej mocy. Muszę jednak przyznać, że maksymalny moment obrotowy na poziomie 315 Nm sprawia, że „Preludka" jest wystarczająco dynamiczna, aby podczas ruszania spod świateł czy jazdy po mokrych i krętych drogach Riwiery Francuskiej poczuć przypływ hormonu szczęścia.

Uśmiech na twarzy wywołuje też naciśnięcie przycisku „S+ Shift" w trybie sportowym (do wyboru są jeszcze komfortowy, GT i indywidualny). Wówczas można „zmieniać biegi" manetkami. W kabinie rozlegają się zaś przyjemne dla ucha dźwięki imitujące reakcję silnika na zmianę przełożenia.

Auto najczęściej pracuje w trybie elektrycznym, hybrydowym (wówczas dwulitrowy silnik spalinowy pełni funkcję generatora prądu) lub spalinowym. Podczas kilkugodzinnej jazdy testowej w trybie spalinowym Prelude pracował wyłącznie na autostradzie z Cannes do Nicei, ale nie słyszałem wówczas nieprzyjemnego wycia. Spalanie jest bardzo niskie. Przy spokojnej jeździe bez trudu można zejść do 4–4,5 l/100 km.

Japończycy przyłożyli się do detali. Listwa świetlna optycznie podkreśla szerokość tyłu, zaciski hamulców są niebieskie z białymi napisami „Prelude" i „Brembo", a klamki drzwi są zlicowane (to ładne, choć niezbyt wygodne rozwiązanie). W kabinie design deski rozdzielczej nawiązuje do kokpitu samolotu. Jest tu więc sporo przydatnych przycisków i pokręteł. Sportowy fotel kierowcy ma więcej elementów podtrzymujących ciało na zakrętach. Fotel dla pięknej pasażerki zaprojektowano zaś tak, aby był jak najbardziej relaksujący.

W minimalistycznie wykończonym wnętrzu główne skrzypce grają: 9-calowy ekran dotykowy systemu multimedialnego oraz 10,2-calowy wyświetlacz zegarów dla kierowcy. Na pokładzie znalazło się też osiem fajnie grających głośników. Na tylnej kanapie jest miejsce na dwoje dzieci w fotelikach, dwa koty lub dwie osoby dorosłe (o wzroście siedzącego psa). Ustawny bagażnik ma 264 l pojemności, a po złożeniu oparć rośnie do 760 l.

Do wyboru są cztery lakiery: czarny, biały, niebieski i szaro-meteorytowy (na zdjęciu). Wnętrze może być zaś biało-niebieskie albo czarno-niebieskie.

Nowa Prelude kosztuje 214,5 tys. zł, czyli mniej niż Toyota GR Yaris (która ma istotnie więcej mocy). Jeśli ktoś jednak szuka idealnego auta na romantyczną randkę, które przyciąga spojrzenia nawet Francuzek na Lazurowym Wybrzeżu, a przy okazji jest wystarczająco dynamiczne w codziennym użytkowaniu, to powinien umówić się na jazdę próbną.

SŁUCHAWKI SOUNDCORE SLEEP A30

Zaskakująca skuteczność, bogata biblioteka dźwięków do snu, ergonomia wykonania, niezwykły komfort użytkowania oraz prostota obsługi – to największe zalety bezprzewodowych słuchawek najnowszej generacji, zaprojektowanych specjalnie po to, aby ich użytkownikowi spało się lepiej.

Testowany model to ulepszona wersja modelu A20. Konstruktorzy chińskiej marki polepszyli system maskowania chrapania i wyposażyli te malutkie i lekkie (każda waży zaledwie 3 g) słuchaweczki w system aktywnej redukcji hałasu (ANC). Technologię tę docenią zwłaszcza żony chrapiących mężów (a także sami mężowie – każdy z nich wie, że jakość snu żony istotnie wpływa na spokój całego małżeństwa). Etui ładujące na bieżąco monitoruje bowiem dźwięki chrapania, a wykonane z miękkiego silikonu słuchawki douszne stale optymalizują dźwięki maskujące charczenie, rzężenie, świszczenie etc. Testowane słuchawki potrafią dość skutecznie tłumić także hałasy dochodzące z ulicy, a także „wyciąć" ze świadomości szczekanie psów, miauczenie walczących kotów czy buczenie stojącego przy biurku UPS.

Zaletą Soundcore Sleep A30 są też zawarte w bezpłatnej aplikacji sposoby na lepszy sen. W szybkim oddaniu się w objęcia Morfeusza pomagają m.in. opracowane przy udziale sztucznej inteligencji odprężające dźwięki fal mózgowych. Można również wybrać ulubione dźwięki zagłuszające chrapanie podczas nocy, a także wybrać najlepszą melodię na pobudkę. Brzmienie jest ciepłe, wręcz przytulne. Rankiem słuchawki łagodnie budzą użytkownika. Następnie na smartfonie można wyświetlić raport dotyczący jakości snu z podziałem na różne jego fazy oraz z oceną punktową.

Fajne jest również to, że w zestawie znajdują się też różnej wielkości końcówki silikonowe, a także z pianki memory oraz trzy pary „skrzydełek do uszu", dzięki którym ergonomicznie zaprojektowane słuchawki powinny dopasować się do większości uszu i grzecznie w nich pozostać do samego rana, nawet jeśli ktoś najbardziej lubi spać na boku. Jednocześnie słuchawki są tak komfortowe w użytkowaniu, że nawet po ośmiu godzinach noszenia nie wywołują bólu czy dyskomfortu.

Wady? Wysoka cena (999 zł), a także stosunkowo krótki czas pracy – przez co, jeśli zdarzy się komuś spać istotnie dłużej niż zalecane przez różnych lekarzy osiem godzin, to baterie słuchawek mogą… nie dotrwać do pobudki. Brakuje też możliwości wyboru programu z własnymi ulubionymi nagraniami, np. pobranych z serwisów streamingowych.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI

eprasa.pl 46513f5f87

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Nie tylko gęsina

Narodowe Święto Niepodległości i przypadający 11 listopada dzień wolny od pracy to dla nas doskonała okazja do spotkania rodzinnego.

Rodzina to siła, bo z wielu rodzin tworzą się rody, a z nich naród i państwo, którego wyzwolenie właśnie świętujemy. Poza tym jest to zwyczajnie miłe spędzić czas wśród bliskich, podkreślając uroczysty charakter tego spotkania: a zatem i wystrój domu, flaga przed wejściem, odświętne ubranie, dekoracja stołu, i wreszcie to, co na tym stole się znajdzie.

Od ładnych kilku lat pojawiają się gęsina z kluskami śląskimi lub kaszą pęczak, domowy rosół z makaronem i ciasto – najczęściej szarlotka własnej roboty albo przepyszne rogale marcińskie z pobliskiej cukierni. Jednak nie tylko gęsina może być przysmakiem w tym dniu. Proponujemy także kaczkę marynowaną w pomarańczach lub schab ze śliwką.

Gęsina na św. Marcina najbardziej popularna jest w Wielkopolsce, tam też jest najwięcej farm produkujących to mięso. W listopadzie następuje szczyt hodowli gęsi. Jej mięso smakuje wówczas najbardziej. Gęś jest zdrowsza niż inne czerwone mięsa i bogata w nienasycone kwasy tłuszczowe, zawiera też sporo żelaza. Jeśli nie planujemy dużego przyjęcia, to możemy zrobić same udka lub pierś gęsią konfitowaną w gęsim tłuszczu, podaną z ziemniakami i buraczkami na ciepło.

W tym roku oprócz wspomnianej gęsi podamy również schab faszerowany śliwkami suszonymi. Dodatek owoców lekko zmienia smak schabu, danie jest przez to wykwintne, a owoce dodają lekkości.

Schab faszerowany

• 1 kg schabu bez kości • 250 g śliwki suszonej • 2 łyżki oleju do marynaty i 2 łyżki do obsmażenia mięsa • 3 łyżki przypraw do mięsa (majeranek, oregano, czerwona papryka, sól, pieprz) • 3 ząbki czosnku • marchewka, 1 cebula, 1 pietruszka pocięte w słupki

Schab opłukać, osuszyć papierowym ręcznikiem, zrobić nacięcie po środku długim wąskim nożem. Wszystkie przyprawy wymieszać razem z olejem i przeciśniętym czosnkiem natrzeć mięso dokładnie z każdej strony, także w środku w nacięciu. Odstawić na minimum dwie godziny, można też na całą noc. Następnie dość ciasno włożyć śliwki. Rozgrzać patelnię i olej. Obsmażyć mięso z każdej strony. Na dnie naczynia żaroodpornego ułożyć warzywa, a na nie mięso. Zamknąć naczynie i piec w piekarniku nagrzanym do 180 st. C przez jedną godzinę. Podawać z ziemniakami lub kluskami śląskimi. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Nie wiesz, co jesz

Niemal 1,8 mln odsłon w ciągu ośmiu dni od premiery. Rzadko wywiady w Internecie mogą liczyć na taką oglądalność jak rozmowa na YouTube Bogdana Rymanowskiego z prof. Grażyną Cichosz – technologiem żywności, specjalistą bezpieczeństwa zdrowotnego żywności i żywienia, wykładowcą na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie. Jej zdaniem „obecne zalecenia żywieniowe nie mają nic wspólnego z profilaktyką zdrowia".

Pod wywiadem 15 tys. komentarzy: raczej entuzjastycznych, choć i głosy oburzenia się zdarzają. Dominuje poczucie, że nareszcie ktoś naruszył tabu, ktoś powiedział prawdę o zasadach żywienia. I jak wszystko w Polsce temat staje się natychmiast polityczny. Wszak jedzenie to rolnictwo, a rolnictwo to ekonomia, ekonomia to polityka itp.

O jedzeniu, o zdrowiu mówią wszyscy i każdy wie najlepiej. Ale w nurcie głównym – medialno-akademickim – dominuje jeden pogląd: produkty zwierzęce są głównym wrogiem ludzkości. Nie tylko szkodzą naszemu zdrowiu, lecz także zagrażają dobru planety.

Mięso zabija, mleko truje, jedzmy rośliny. Dieta śródziemnomorska, oliwa, pomidory, sałata podbiły polskie stoły. Masło, smalec potępione. Tylko oleje roślinne. Producenci olejów zawarli zmowę „konsensus tłuszczowy", społeczeństwu wmówiono, że margaryna jest nie tylko tańsza, lecz także zdrowsza niż masło. Jakże się oprzeć widokowi półmiska z papryką, pomidorami, brokułami, marchewką?

Nie samą marchewką człowiek żyje, białko jest potrzebne organizmowi. Zatem na główne danie według prozdrowotnych zaleceń ekspertów mieliśmy kotlecik sojowy, najlepiej à la schabowy – wszak od wieloletnich przyzwyczajeń trudno się oderwać. – Modyfikowana soja to największy przekręt żywnościowy – mówi pani profesor. Dodaje się ją do mięsa, mąki, do przetworów, wędlin. To ona przyczyniła się do wzrostu zachorowalności na raka trzustki, raka jelita grubego, choroby Hashimoto, choroby autoimmunologiczne…

Do mięsa dodaje się wody, nawet 80 proc. wagi. Nie trzeba laboratorium, by się o tym przekonać. Każdy, kto gotuje, widział, jak z piersi kurczaka na patelni wycieka mętny płyn. – Byłam oszołomem – powiedziała pani profesor. Bo podważyła powszechnie przyjęte teorie. Bo zagroziła koncernom spożywczym. Oszołomem była dopóty, dopóki jej prace nie zostały opublikowane przez Uniwersytet Stanforda.

– Mieliśmy lepszą żywność za PRL, nie było wyboru, bajerów, etykiet, kolorów – dodaje prof. Cichosz. „Ten wywiad powinien być puszczany we wszystkich telewizjach i obowiązkowo oglądany w Ministerstwie Zdrowia" – pisze jedna internautek. ©℗

eprasa.pl 46513f5f87

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Fejkowa rocznica

Media obiegły ostatnio rozmowy na temat śmierci bł. ks. Popiełuszki. Było to spowodowane rocznicą jego męczeńskiej śmierci przypadającą 19 października. Stało się to jednocześnie przyczynkiem do demaskacji fałszu oficjalnej wersji śmierci kapłana.

Z najnowszych analiz historyków i prokuratorów wynika, że ksiądz nie został zamordowany 19 października 1984 r., ale pięć dni później. Z relacji osób odsuniętych od śledztwa wynika, że kiedy w areszcie siedzieli już obwinieni za morderstwo esbecy, ksiądz przebywał w bunkrze w Kazuniu, wciąż torturowany przez służby wojskowe od gen. Kiszczaka. To do tego bunkra, po śmierci ks. Jerzego, co roku, we właściwą rocznicę śmierci kapłana, czyli każdego 24 października, przybywać miał prymas Glemp, by się pomodlić. A miał się za co modlić, bo hierarchowie, chcąc wysyłać ks. Popiełuszkę do Rzymu, zagrali z PRL-owską władzą w intrygę pozbycia się go – co służby uznały za okazję do próby przewerbowania kapłana na wpływowego agenta w samym sercu Watykanu. Skończyć się to miało inaczej.

W toku obecnych rocznicowych rozmów ujawniły się okoliczności, które podważyły oficjalną wersję przyklepaną w czasie widowiska zatytułowanego proces toruński. W jego trakcie obwinieni zostali o morderstwo cywilni esbecy. Dziś nikt oficjalnie nie podważa ówczesnych ustaleń, a wszelkie inne wątki w śledztwie, całe ciągi niespójności, zostały zaczopowane już za wolnej Polski, w III RP, poprzez odsuwanie od śledztw co bardziej dociekliwych prokuratorów czy biegłych. Dlaczego tak się stało?

Otóż cisza nad trumną ks. Popiełuszki została pięć lat później w okresie Okrągłego Stołu „wzmocniona" morderstwami na kapłanach: Niedzielaku, Suchowolcu i Zychu. Ta śmiertelna triada była nie tylko pokazem, co „odchodząca" władza jeszcze może, lecz także była wciągnięciem do zmowy milczenia ówczesnej „opozycji solidarnościowej" oraz Kościoła w Polsce. Wszystko „dla dobra" porozumienia, nawet za cenę (cudzych) ofiar. Warto więc zaznaczyć, że jeśli tak jest, to fundamenty wspaniałego fenomenu porozumienia Polaków ponad podziałami zostały ufundowane na krwi kapłańskiej. Dlatego jest i będzie cicho nad tymi trumnami.

Ta zmowa milczenia jest udziałem w III RP każdej władzy, nawet tej najbardziej patriotycznej i katolickiej. Kiedy ktoś się zastanawia, czy istnieją jakieś wspólne punkty wojujących ze sobą niby śmiertelnie obozów politycznych, to niech się przejdzie na grób ks. Jerzego i popatrzy w kamień, który nie skrywa już żadnej tajemnicy. Jest tylko widomym znakiem przegniłych fundamentów ustrojowych III RP. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Dziś ciemny lud tego nie kupi

Na kongresie PiS, który ma być początkiem drogi do zdobycia władzy, doszło do wydarzeń lepiej ilustrujących kondycję kierownictwa tej formacji niż najbardziej wzniosłe hasła. Owszem, diagnoza rządów przeciwników politycznych, którą usłyszeliśmy w Katowicach, była właściwa. Także w wielu ważnych obszarach pomysły naprawy były sensowne. Tym jednak, co jest takim momentem „sprawdzam", była obsada niektórych paneli. Zwrócę uwagę na trzy tematy.

Po pierwsze – tematem, który na Śląsku ma dużą nośność, jest górnictwo. Z ust prezesa padały czułe słowa pod adresem górników i zapewnienie odbudowy tej gałęzi gospodarki, a przecież jedynym bodaj programem tak daleko sięgającym w przyszłość, który przyjął rząd Mateusza Morawieckiego, było porozumienie z 25 września 2020 r., likwidujące jedną z najważniejszych branż w historii Rzeczypospolitej Polskiej. Zgodnie z tym porozumieniem ostatnia kopalnia przestanie wydobywać węgiel w 2049 r.

Drugim przykładem był panel dyskusyjny o zdrowiu z udziałem takich postaci jak poseł Czesław Hoc i była poseł Barbara Dziuk. Przypomnę zatem, że projekt zamordystycznej ustawy sanitarnej, podobnej do tej, przeciw której protestowali kierowcy ciężarówek w Kanadzie (wprowadzającej weryfikację zaszczepionych pracowników za pomocą kodów QR), nosił wdzięczną nazwę „Ustawa Hoca". Oboje uczestnicy zdrowotnego panelu byli gorącymi zwolennikami powszechnego przymusu szczepień.

Trzecim sygnałem była debata o mediach i ich wolności z udziałem Jacka Kurskiego, moderowana przez Joannę Lichocką. Nie będę się pastwił i przypominał historii wyrzucenia „Warto rozmawiać" z TVP przez wyżej wymienionych. Nie piszę tego z chęci osobistego rewanżu. Ja na tym tylko zyskałem. Piszę to z trwogą, bo jest to przejaw skrajnego cynizmu („Ciemny lud to kupi") lub oderwania kierownictwa PiS od rzeczywistości. W obu przypadkach fatalnie wróży to na przyszłość.

Fakt, że do tej pory nie ma po stronie PiS żadnej refleksji, czym była, w wyżej wymienionych obszarach, polityka rządu Morawieckiego, to najgorszy prognostyk na przyszłość. Tu nie chodzi o to, żeby kogoś skazać i ukarać. Chodzi o coś znacznie ważniejszego. Czy z tymi kadrami PiS zdoła zbudować koalicję z Konfederacją i Grzegorzem Braunem? A gdy zdobędzie władzę, czy będzie w stanie uchronić Polaków przed następnym takim szaleństwem? Co się stanie, gdy znów bez żadnych naukowych, merytorycznych przyczyn globaliści wymuszą na Polsce kolejne absurdalne i niszczące regulacje? ©℗

eprasa.pl 46513f5f87

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Mając na celu korzyści

Nadszedł czas, bym za Wyspiańskim w trwodze powtarzał: „Jakżeż ja się uspokoję / Pełne strachu oczy moje / Pełne grozy myśli moje / Pełne trwogi serce moje / Pełne drżenia piersi moje / Jakżeż ja się uspokoję...". Stop. Tekst ten kreślę, mając na celu osiągnięcie korzyści osobistych, w tym finansowych i publicystycznych, a za to chcą już zdaje się prokuratorzy z Drużyny Żurka wsadzać. Stop. W dodatku są dowody (powyżej), że przywłaszczyłem sobie Wyspiańskiego. Stop. Może dadzą w zawieszeniu? Stop. Tylko tak napomknę, że żurkowcy serio postawili Michałowi Wosiowi, byłemu wiceministrowi sprawiedliwości, zarzut przywłaszczenia 25 mln zł, które to przywłaszczenie (według żurkowców) polegało na przelaniu tych pieniędzy na konto CBA na zakup systemu Pegasus. Stop. Na konto Wosia nie trafił nawet grosz, w związku z tym żurkowcy zablokowali Wosiowi konto na sumę 25 mln zł, niestety nie żartuję. Stop. Żyjemy w kraju, w którym wirus nienawiści i zemsty zżera mózgi bardzo agresywnie.

Janusz Piechociński, kiedyś minister z PSL, w mediach społecznościowych informuje o różnych takich zabawnych statystykach. Napisał ostatnio: „Od początku 2023 roku cena energii spadła o 47 procent". Stop. Ludzie, którzy płacą rachunki, zaczęli nieco się z pana Janusza natrząsać, a prym wiódł niejaki Rysiu z Misia, który doczekał się zaskakującej, lecz jakże zadziwiająco celnej riposty: „Rysiu, poczytaj raporty Urzędu Regulacji Elektronicznej i nie myl ceny energii z cenami finalnymi dla odbiorcy". Stop. Rozumieją państwo? Radujmy się ze spadków cen energii, bo to wspaniała informacja, a fakt, że musimy płacić wyższe rachunki, to jest zupełnie inny wątek…

Leszek Kraskowski, prowadzący prywatne śledztwo w sprawie Polnordu i Giertycha, pokazał na pewno nieprawdę, a mianowicie pokazał dokumenty, z których ma wynikać, że Giertychowi jego ochroniarz, naznaczony czułym pseudonimem Foka, zapłacił za usługi prawne 2 mln 406 tys. zł! Stop. Według redaktora Kraskowskiego to oczywiste fikcyjne usługi, których prawdziwym celem było przelanie Giertychowi pieniędzy. Stop. Szukam osobiście w celu osobistych korzyści ochroniarza wylewnego czy przelewnego niczym „Foka". Stop. Proszę o kontakt.

Prezydent Karol Nawrocki nie podpisze ustawy Żurka, w której tenże Żurek selekcjonował sędziów na kolory, a niektórym mówił, żeby sobie poszli do domu i tam siedzieli. Stop. Niby dobrze, ale żeby to się nie skończyło wprowadzeniem przez Żurka rozporządzenia, że wszystkie wyroki wydaje on, on i tylko on, a innym wara i „szad ap"… Stop. ©℗

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Osiemnastka księżniczki

Mocno bulwersujące wieści nie przestają napływać od brytyjskiej rodziny królewskiej. Niesławny książę Andrzej, którego kontakty w kręgach rozmaitych przestępców seksualnych dawno już przestały ekscytować czytelników brytyjskiej prasy, znowu o sobie przypomniał. Na jaw wyszły ostatnio stare zdjęcia z zamkniętego przyjęcia, które przygotował książę dla wybranej garstki przyjaciół na terenie królewskiej rezydencji, przylegającej do pałacu Windsor. Pretekstem do spotkania był bal maskowy, urządzony z okazji 18. urodzin córki księcia Andrzeja, Beatrice. Brytyjska arystokracja miała zawsze skłonności do obyczajowych ekstrawagancji, jednak zaproszeni na osiemnastkę księżniczki goście wprawić by mogli w zakłopotanie nawet bohaterów libertyńskiej powieści markiza de Sade'a, zatytułowanej „Justyna, czyli nieszczęścia cnoty". Na opublikowanych zdjęciach z przyjęcia książę Andrzej pozuje jako gospodarz obok Harveya Weinsteina, Ghislaine Maxwell oraz Jeffreya Epsteina. W czasie spotkania Epstein był już od dwóch miesięcy poszukiwany amerykańskim listem gończym.

Spośród uwiecznionych na fotografiach postaci Epstein popełnić miał tajemnicze samobójstwo w celi więzienia, Maxwell i Weinstein odsiadują wyroki – ona 20 lat za stręczycielstwo, on 16 lat za napaści seksualne. Jedynie książę Andrzej cieszyć się może dalej fortuną i wolnością. Może to nieco dziwić w kontekście zeznań Virginii Giuffre, która miała zostać zmuszona do seksu z księciem Andrzejem trzykrotnie, raz w towarzystwie Epsteina i ośmiu innych, nieletnich dziewczyn.

Instytucja monarchii była na przestrzeni ostatnich stuleci czynnikiem dla Wielkiej Brytanii fundamentalnym. Służyła ona, aż do niedawna, jako siła podtrzymująca spójność oraz stabilność państwa, a także zachowanie w nim żywej, zakorzenionej w historii tożsamości narodowej. W zrobionych w roku 1964 badaniach społecznych aż 30 proc. mieszkańców Wysp Brytyjskich uważało, że królowa została dla nich wybrana przez Boga i rządzi „z Bożej łaski". W poprzednich dziesięcioleciach, kiedy Kościół anglikański nie był jeszcze wydmuszką, wiarę taką podzielała większość Brytyjczyków.

Kłopot może polegać na tym, że w załamującym się właśnie tradycyjnym systemie politycznym Wielkiej Brytanii to właśnie rodzina królewska mogła być jednym z ostatnich autentycznych źródeł autorytetu, zdolnych utrzymać w posłuchu buntujących się, coraz częściej, poddanych. Przyjęcia dla zboczeńców, urządzane w królewskich pałacach, raczej tego autorytetu nie wzmocnią. ©℗

eprasa.pl 46513f5f87

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Rocznica

Minęło właśnie 100 lat od chwili, gdy w Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie pochowano szczątki obrońcy Lwowa. Bezimienny żołnierz został ekshumowany z cmentarza Orląt we Lwowie, gdzie pochowano ciała 275 nieznanych bohaterów poległych w walkach. 29 października 1925 r., przy obecności przedstawicieli Ministerstwa Spraw Wojskowych, rozkopano trzy mogiły opatrzone napisem „Tu leży Nieznany Obrońca Lwowa". W jednej były szczątki sierżanta, w drugiej – kaprala, a w trzeciej było ciało bez żadnych oznak wojskowych z wyjątkiem maciejówki z orzełkiem. Zamknięte trumny ustawiono przed cmentarną kaplicą, gdzie Jadwiga Zarugiewiczowa, polska Ormianka i matka żołnierza poległego koło Zadwórza, wylosowała trumnę ze szczątkami żołnierza bez szarży, ale w maciejówce. Oględziny wskazywały, że poległ on od rany postrzałowej w głowę i w nogę, że miał ok. 14 lat oraz że musiał być ochotnikiem. Jego trumnę przewieziono do lwowskiej katedry, gdzie abp Bolesław Twardowski odprawił nabożeństwo pogrzebowe, a duchowieństwo rzymskokatolickie, greckokatolickie i ormiańskie odprawiło egzekwie. Kondukt pogrzebowy odprowadził trumnę na Dworzec Główny, skąd specjalnym pociągiem z wagonem z otwartymi drzwiami, tak by trumna była widoczna na zewnątrz, przewieziono ją do Warszawy. Na stacjach w Żółkwi, Rawie Ruskiej, Bełżcu, Krasnymstawie, Lublinie i Garwolinie pociąg w asyście kolejarzy z zapalonymi pochodniami zatrzymywał się, by mieszkańcy mogli Nieznanego Żołnierza pożegnać. Cały przejazd sfilmowano.

2 listopada rano pociąg przybył do Warszawy, gdzie uformowano kondukt pogrzebowy złożony z armatniej lawety ciągniętej przez sześć koni, przedstawicieli wojska i rządu i tłumu mieszkańców stolicy. Przeszedł on do katedry św. Jana, gdzie uroczystą Mszę Świętą odprawił kard. Aleksander Kakowski, a homilię wygłosił ksiądz prałat Antoni Szlagowski. Ze względu na rozbiórkę cerkwi na placu Saskim w uroczystości mogło wziąć udział tylko ok. 3 tys. osób. W loży oficjeli zasiedli prezydent Stanisław Wojciechowski, marszałek Józef Piłsudski, premier Władysław Grabski, marszałkowie Sejmu i Senatu oraz przedstawiciele duchowieństwa wszystkich wyznań. Wśród bicia dzwonów kościelnych trumnę opuszczono do grobowca pod kolumnadą Pałacu Saskiego, zaprojektowanego przez rzeźbiarza Stanisława Kazimierza Ostrowskiego, do którego włożono też akt erekcyjny i ziemię z pozostałych 14 pól bitewnych oraz srebrny wieniec od prezydenta RP. Gdy dzwony przestały bić, oddano 24 salwy artyleryjskie, a grobowiec przykryto płytą nagrobną. Mimo późniejszych dramatycznych losów Polski i zburzenia Pałacu Saskiego Grób Nieznanego Żołnierza pozostał symbolem, który szanowali także komuniści, a od 1989 r. jest specjalnym miejscem pamięci narodowej.

Grób Nieznanego Żołnierza uświadamia, że los narodu to nie tylko to, co jest tu i teraz, co każdy z nas widzi przed sobą, że dotyczy nas także los tego nieznanego chłopca ze Lwowa, tak jak dotyczą nas i chrzest Polski, i znak Polski Walczącej, i królowa Jadwiga, i wyprawy polskich polarników, i osady polskie w Teksasie, i cierpienia sybiraków, i budowa Gdyni, i rozpacz Września 1939 r., i Hakata, i Gułag, i pamięć Polaków w Kazachstanie, i wygrane oraz przegrane powstania, i Mikołaj Kopernik, i Romuald Traugutt pod szubienicą na stoku Cytadeli, i spolszczeni Tatarzy i Ormianie, i Żydzi, których tylko część się zasymilowała, a większość wymordowali Niemcy, i muzyka góralska, i koncert skrzypcowy Karola Szymanowskiego, i poezje Juliusza Słowackiego, i nadzieje Solidarności, i zdrajcy z Targowicy, i napisy wyryte przez skazańców na ścianach więzień, i sukcesy Igi Świątek, i tysiące innych rzeczy. ©℗

Grób Nieznanego Żołnierza uświadamia, że los narodu to nie tylko to, co jest tu i teraz, że dotyczy nas także los tego nieznanego chłopca ze Lwowa, tak jak dotyczą nas i chrzest Polski, i znak Polski Walczącej, i królowa Jadwiga, i budowa Gdyni, i rozpacz Września 1939 r.

eprasa.pl 46513f5f87

CZY CHCĘ?

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Przed wcieleniem Polski do Unii Europejskiej było referendum. Przed opuszczeniem Unii też będzie referendum, no chyba że będziemy mieli takie szczęście, że Unia padnie samodzielnie lub zostanie rozwiązana. Są znaki na niebie i ziemi, że tak się stać może. Europa zrobiła się niewydolna ekonomicznie, sama sobie szkodzi i ogólnie standard życia spada. A do tego najazd obcych niszczycieli; antychrześcijańskich agresywnych hord.

Referendum przed wcieleniem Polski do UE miało miejsce w roku 2003 i wtedy nie było ważne, jak konkretnie sformułowano pytanie, bo ludzie mieli w głowach własne pytanie akcesyjne: Czy chcę żyć tak, jak żyją ludzie na Zachodzie? Odpowiedź TAK oznaczała wejście do UE.

W referendum dotyczącym opuszczenia Unii ludzie będą mieli w głowach to samo pytanie: Czy chcę żyć tak, jak żyją ludzie na Zachodzie? Odpowiedź NIE będzie oznaczała polexit.

***

Zachód, te ich piękne zabytkowe miasta, których nie rozwaliła druga wojna światowa, ach, jakie piękne miasta, taki Paryż… Czy chciałbym dzisiaj mieszkać w Paryżu, Marsylii albo w Sztokholmie? Stanowczo nie! Tam są całe dzielnice, gdzie biały człowiek nie ma wstępu. Człowiek kolorowy może sobie spacerować, gdzie tylko chce, może łazić pośród ludzi białych, ale na odwrót się nie da. Człowiek biały, gdyby wybił szybę w sklepie, będzie słusznie aresztowany i poniesie karę. Człowiek kolorowy może wybijać, pod warunkiem że nie będzie to szyba jego kolegów prowadzących kebab, bo wtedy oni mu wymierzą sprawiedliwość muzułmańską. Jednak szyba w biznesie prowadzonym przez ludzi białych, przez rdzennych mieszkańców Zachodu, lub w katolickim kościele – za takie szyby kary nie ma, a policja jest wycofana.

Czy chciałbym mieszkać w jednym tych z pięknych miast Zachodu, gdzie policja boi się wchodzić do niektórych dzielnic? A czy chciałbym jako rolnik mieszkać w Holandii? Kiedyś ten kraj miał rolnictwo i ogrodnictwo na najwyższym poziomie i jeździło się tam na saksy popracować przy najlepszych tulipanach. Teraz Holandia zmusza swoich rolników do likwidacji gospodarstw. Płacą im odszkodowanie i potem masz zlikwidować krowy, a także produkcję mleka oraz sławnych na cały świat holenderskich serów. Chcesz żyć jak w Holandii?

***

W Polsce wprowadzane są zachodnie standardy. Kiedyś bym się ucieszył, bo w Niemczech Zachodnich mieli doskonałe autostrady, ale teraz „zachodnie standardy" polegają na zwężaniu ulic w mieście, aby wymusić na ludziach rezygnację z jazdy samochodem. W Warszawie ten unijny baran zlikwidował kilka pasów ruchu – były cztery, a są dwa. Zamiast poszerzać ulice dla naszej wygody, on je zwęża i buduje ścieżki dla rowerów. Były cztery pasy, są dwa, liczba samochodów taka jak wcześniej na czterech pasach, lecz stłoczona, czyli korek i jadąc rowerem, wdychasz spaliny z tych stojących w korku aut. Standard unijny, który przyszedł z Zachodu. To ja już nie chcę żyć tak, jak żyją ci idioci na Zachodzie.

***

Unia Europejska dawno temu rozpoczęła się jako Europejska Wspólnota Węgla i Stali. I wtedy chodziło o ROZWÓJ gospodarczy krajów Zachodu. Palono węgiel, wytapiano stal, budowano fabryki, maszyny, także czołgi. Rozwój polegał też na tym, że gdy się pojawiało więcej samochodów, budowano więcej dróg; gdy się pojawiały szybsze samochody, budowano drogi dostosowane do szybszej jazdy. Rozwój oznaczał: więcej, szybciej, mocniej. Zachód był silny, bo się dynamicznie rozwijał, a Wschód (w tym Rosja i Chiny) bał się Zachodu.

Czy chcę żyć tak, jak żyją ludzie na zachodzie Europy? Kiedyś tak, dzisiaj zdecydowanie nie. Po co jeszcze jesteśmy w Unii, która nas tłamsi? Dławi rozwój gospodarczy, zabrania palić węgiel i wytapiać stal. Rozwój gospodarczy wyjechał z Europy na inne kontynenty, a w Unii zamyka się fabryki, kopalnie, gasi produkcję rolną. Gdy brakuje prądu, nie budują nowych elektrowni, lecz każą ograniczyć zużycie i oszczędzać. No przecież tak było w Polsce za komuny i chcieliśmy od tego uciec.

***

Co nam dziś daje Unia? Łatwiej stwierdzić, co nam zabiera, czego nam zabrania. A do tego jeszcze ta ich bezczelna pogarda… Gdy Polacy w referendum w roku 2003 głosowali za wejściem do UE, nikomu do głowy nie przyszło, że 20 lat później unijne urzędasy będą besztać polskich premierów lub stawiać ich do kąta. Polskiego premiera besztać ma prawo naród polski, ale nie jakaś Niemra z Brukseli, na którą nikt w Polsce nie głosował. Tak uważam.

Żadna z polskich partii nie nawołuje otwarcie i wprost do opuszczenia Unii. Wszyscy się boją? Ktoś powinien przynajmniej zadawać narodowi pytania: Czy w obecnym stanie rzeczy chcesz być w Unii? Mogłoby się okazać, że istnieje duża grupa wyborców, która wybiera polexit. Naród miał prawo zmienić zdanie. W roku 2003 wydawało się nam, że Unia to dobry pomysł, ale teraz naoglądaliśmy się Unii od środka, mamy praktykę i być może naród chciałby opuścić tę organizację. Czemu nikt nawet nie podejmuje rozmowy na ten temat? A jeszcze lepiej, gdyby ktoś wziął kalkulator i policzył, czy członkostwo w UE nam się opłaca.

W kwestii imigrantów bycie w UE nam się nie opłaca. W sprawach rolnych też nie, bo rolnictwo w UE idzie do likwidacji i podpisano umowę na kupowanie żarcia z Mercosur, zamiast postawić na produkcję własną. Kopalnie węgla – poza Unią byłoby nam lepiej, bo moglibyśmy kopać węgiel i palić węglem, bez ograniczeń i płacenia za CO_2. Gdy zadaję znajomym pytanie ogólne o to, czy nadal Unia nam się opłaca, odpowiadają z wahaniem, że jednak nadal chyba tak. Ale gdy pytam o przykłady tej opłacalności, nie potrafią ich wskazać. Nie umieją powiedzieć, w jakim konkretnie aspekcie życia polexit spowodowałaby pogorszenie sytuacji w stosunku do tego, co mamy teraz. ©℗

eprasa.pl 46513f5f87

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

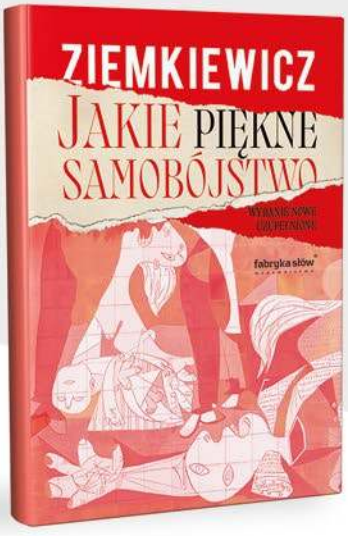

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ:
„JAKIE PIĘKNE SAMOBÓJSTWO"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1555~~ ZŁ

544,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 1011 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 46513f5f87

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

ROCZNA SUBSKRYPCJA DoRzeczy+ GRATIS

Zainwestuj w akcje Do Rzeczy S.A

Twoje media. Wspólna sprawa.

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka"). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom Maklerski INC S.A.

eprasa.pl 46513f5f87